

Prolog

Cisza.

Całkowita cisza.

Tak intensywna, że ciarki przechodzą po plecach; co jakiś czas przerywana przytłumionymi odgłosami wybuchających bomb i pocisków. Na niebie raz po raz rozbłyskują łuny eksplozji, a gęste chmury dymu ograniczają widoczność. Jeszcze kilka godzin temu świat wydawał się taki spokojny w zachodzącym wrześnie słońcu! Teraz rozpętało się piekło.

Pięć trupio bladych twarzy wpatruje się w głośnik wbudowany w czarną skrzynkę radia. Czekają na jakiegokolwiek onaki życia z łądu. Jednak pudło uparcie milczy.

- Próbuje dalej - pada rozkaz.

Radiooperator Sławomir wzdycha głęboko. Jego anielska cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę. Wie, że to strata czasu, ale nie ma odwagi powiedzieć tego kapitanowi Henrykowi. Przekreśla więc gałkę po raz setny, znów bez powodzenia. Żadnego odzewu.

Dwanaście godzin wcześniej okręt podwodny ORP „Orzeł” stacjonował w swojej bazie na Oksywiu w Gdyni. Członkowie załogi spędzali czas z przyjaciółmi, śmiejąc się i żartując, choć wiedzieli, że nieuchronnie zbliża się wojna. Sądzieli jednak, że konflikt będzie raczej przypominał I wojnę światową, która rozgrywała się głównie w okopach. Wprawdzie zginęło w niej wielu żołnierzy, ale walki toczyły się na polach bitew, a działania bojowe nie dotyczyły właściwie cywilów.

- Nie wygląda to dobrze - stwierdził ponuro kapitan, którego podwładni sami zdawali sobie doskonale sprawę z własnego położenia. - Albo mamy zepsute radio, co jest mało prawdopodobne, albo nie działa urządzenie w bazie. Choć sądząc po tym, co widzieliśmy dotychczas, to raczej sama baza została zniszczona.

Zrozpaczeni członkowie załogi nie chcieli w to uwierzyć. Wydarzenia zaskoczyły ich, ale szybko mieli zrozumieć, na czym polega nowoczesna wojna. Dwa dni wcześniej niemiecki pancernik „Schleswig Holstein”, uzbrojony w działa kalibru 280 mm, przybył z „kurtuazyjną” wizytą do Gdańska.

Następnego dnia okręt podpłynął 400 metrów w górę rzeki i otworzył ogień w kierunku Westerplatte. Wtedy nadleciały bombowce nurkujące i zaatakowały port wojenny w Gdyni, niszcząc go całkowicie. Broniła się Poczta Polska w Gdańsku, ale Niemcy wkrótce oblali budynek benzyną i podpalili.

W kwaterze głównej marynarki panowała panika. „Orzeł” został wysłany na patrol po Zatoce Gdańskiej. Załoga widziała, co dzieje się dokoła. Dochodziły do niej również wieści o atakach, które agresorzy przypuścili w innych miejscach. Marynarze zaczęli rozumieć, że ta niespodziewana poranna inwazja to w istocie dokładnie przemyślana operacja, przeprowadzana przy pomocy świetnie wyposażonej i licznej armii czołgów i żołnierzy. Powoli uświadamiali sobie znaczenie słów wypowiedzianych przez kapitana.

Bali się - nie o siebie, ale o swoje rodziny i przyjaciół. Niemcy systematycznie niszczyli kraj.

Właściwie nie funkcjonowała łączność, a marynarze zdawali sobie sprawę, że polska armia nie jest w stanie stawić czoła siłom najeźdźcy, a lotnictwo praktycznie nie istnieje. Każdy chciał wierzyć, że obrońcy wytrzymają, ale w głębi serca wiadano, że losy wojny są przesądzone. Pomimo nieuchronności porażki podświadomie myśleli o przyszłości. Niektórzy miotali się w rozterce - chcieli walczyć, ale jednocześnie wiedzieli, że nie ma to sensu. Inni obawiali się następstw

przystąpienia do boju. Jednak serca większości członków załogi przepelniała heroiczna wizja - ich mężny kapitan z pewnością poprowadzi swych dzielnych wojowników do samotnej bitwy z przeciwnikiem. Niezależni i nieuchwytni, pragnęli nękać wroga.

Nie mieli pojęcia, w jaki sposób miałyby się to odbyć lub czy w ogóle rysuje się przed nimi jakaś przyszłość. Wszystko zależało od kapitana.

- Na razie będziemy nadal wypełniać rozkazy, patrolować morze i zatapiać niemieckie okręty - zawyrokował kapitan, jakby czytając w ich myślach. Sprawiał wrażenie pewnego siebie i zdeterminowanego. - Plany dalszej walki opracujemy później.

Przywitano te słowa z radością, choć tu i ówdzie dał się również usłyszeć cichy szmer powątpiewania.

Załoga tworzyła zgrany zespół zawodowych marynarzy. Należeli do niego między innymi porucznicy Piotr i Tomasz, doświadczeni podoficerowie - Tadeusz, Marcin i Stefan; mąci - Jakub, Feliks czy wybuchowy Michał, oraz entuzjastycznie nastawieni i gotowi do poświęceń kadeci - Eryk, Marek i Jarek. Na okręcie służyło również wielu ochotników oraz zwykłych, ciężko pracujących szeregowych żołnierzy. Wszystkim im zależało, aby „Orzeł” stał się najlepszą łodzią podwodną w całej flocie.

Choć łączyła ich teraz determinacja, aby walczyć z nieprzyjacielem, każdy odczuwał również lęk. Czekali ich ważne i trudne wyzwania, ale wciąż myśleli o tym, co dzieje się w kraju oraz o swoich rodzinach, z którymi nie mieli kontaktu.

Porucznik Bogdan, zastępca kapitana, martwił się o swoją ciężarną żonę. Pierwszy mechanik Jerzy zostawił w domu swą młodszą siostrę, aby opiekowała się umierającym ojcem. Porucznik Piotr dopiero co się rozwiódł, a inny oficer zdał sobie niedawno sprawę, że do załogi dołączył człowiek, który odbił mu narzeczoną. Ktoś obawiał się, że Niemcy zabijają mieszkającą na wsi rodzinę, a jeden z marynarzy właśnie odkrył, że cierpi na klaustrofobię, i z przerażeniem myślał o nadchodzących miesiącach, które musiał spędzić zamknięty w stalowej puszcze pod powierzchnią morza. Wszyscy mieli swoje problemy.

Postanowili, że będą kontynuować walkę - ale jak mieli to zrobić? Bez portu, bez źródła paliwa, bez wsparcia z powietrza... Samoloty przeciwnika bezustannie patrolowały Bałtyk, a woda była w wielu miejscach zbyt płytka dla łodzi podwodnych. Przyszłość nie wyglądała zbyt optymistycznie.

- Z powrotem na stanowiska. Kurs na obszar patrolowy, pół naprzód - rozkazał kapitan, a na jego twarzy podwładni dostrzegli uśmiech. Sprawiał wrażenie pewnego siebie.

Rozdział I

Marynarze nie wiedzieli jednak, że ich dowódca martwi się najbardziej z nich wszystkich. Kapitan nie bał się walki z przeciwnikiem czy przeciwności, na jakie musi natrafić samotny okręt

podwodny - ufał swoim ludziom. Jego lęk dotyczył problemów osobistych - chorował przez ostatnich kilka dni. Ból brzucha narastał i wydawało mu się, że to zapalenie wyrostka robaczkowego - choć obawiał się czegoś jeszcze gorszego. Chciał zgłosić się do szpitala, ale Niemcy uderzyli i nadszedł rozkaz wypłynięcia. Miał przeczucie, że jego choroba może okazać się śmiertelna. Bardzo cierpiał.

Wydarzenia ostatnich kilku godzin sprawiły, że odsunął te myśli na bok. Teraz jednak perspektywa samotnego rejsu przez Bałtyk napawała go przerażeniem. Wydawało mu się, że trudności, jakie się przed nim piętrzą, są nie do pokonania.

Wiedział, że musi opracować plan dalszego działania i na jakiś czas zapomnieć o trapiących go problemach. Odczuł nawet ulgę, że niemiecki atak zakończył trwającą od miesięcy niepewność.

Postanowił wypełnić rozkaz i patrolować zatokę, zatapiając każdą wrogą jednostkę, na jaką natrafi. Okręt miał pozostać w ukryciu aż do zmroku, a następnie wypłynąć na powierzchnię i naładować akumulatory.

Gdy zapadł zmierzch, okręt wynurzył się. Kapitan sprawdził wcześniej dokładnie okolice przez peryskop. Łagodne morze i niezbyt wysoka fala ucieszyły go. Wiedział, że o tej porze roku pogoda na Bałtyku zmienia się bardzo szybko, a warunki mogą być bardzo trudne.

Powrócił myślami do wypadków ostatnich dni. Kiedy Niemcy złamali postanowienia traktatu monachijskiego i zajęli Czechosłowację, przypuszczał, że dokonają kolejnego natarcia - zwłaszcza że Francja i Wielka Brytania właściwie nie zareagowały. Następny logiczny cel stanowiła Polska.

- Wszystko w porządku? - to pytanie zaskoczyło dowódcę, tak pochłoniętego swymi rozważaniami, że nie usłyszał nadejścia Bogdana. Porucznik dołączył do niego na mostku.

- Tak, w porządku - odpowiedział. Pierwszy oficer spojrzał na kapitana z niedowierzaniem. Wiedział, że Henryk nie czuje się zbyt dobrze. Widział go trzymającego się za brzuch z grymasem bólu na twarzy, kiedy myślał, że nikt nie patrzy.

- Cholerny bałagan, mówię ci - stwierdził kapitan.

- Nie można powiedzieć, żeby to była niespodzianka. Spo dziewałem się tego, odkąd podpisano ten fatalny traktat wersalski. To chyba prawda, że pretekstem dla kolejnej wojny jest zawsze traktat pokojowy kończący poprzednią. Stworzenie z Gdańska wolnego miasta pod kontrolą nieskutecznej Ligi Narodów tylko przyspieszyło rozwój wydarzeń - zawyrokował Bogdan.

- Pewnie masz rację, choć wojna z Rosją 1920 r. z pewnością pogorszyła jeszcze sytuację. Dzięki zajęciu zachodniej Ukrainy i części Białorusi urosliśmy w siłę, stając się tym samym zagrożeniem i celem dla każdego, kto pragnie dominować w Europie, a takich agresywnych państw nie brakuje na kontynencie - kapitan postanowił podzielić się z przyjacielem swoimi przemyśleniami. - To jednak w żadnym razie nie usprawiedliwia tej napaści.

- To prawda - odrzekł Bogdan - ale w ten sposób potwierdza się teza, że prawdziwym powodem ataku była obojętność pozostałych mocarstw. Jak tylko Niemcom udało się w Czechosłowacji, my byliśmy następni w kolejce.

Obaj pamiętali żądanie Hitlera, aby Polska *zrzekła* się jakichkolwiek praw do Gdańska i zgodziła się na przeprowadzenie eksterytorialnego korytarza z Prus do Rzeszy. Oczywiście żądania te

spotkały się z odmową; Brytyjczycy i Francuzi wsparli Polaków w ich decyzji, zapewniając, że przyjdą z pomocą w razie agresji Niemiec. Rozmówcy zdawali sobie sprawę, że ta inwazja oznacza koniec niepodległości.

- Cóż za ironia - westchnął kapitan - pamiętasz, jak pięć lat temu Piłsudski sugerował Francuzom i Brytyjczykom, że powinni dokonać ataku prewencyjnego? Hitler nie miał wtedy jeszcze całkowitej kontroli nad państwem, a na podejmowanie decyzji wciąż mieli wpływ ludzie, którzy pamiętali, jak wyglądała poprzednia wojna i jak drogo za nią zapłacili. W tamtym czasie niemiecka armia liczyła zaledwie 200 tysięcy żołnierzy, nie stanowiła więc wielkiego zagrożenia. Marszałek sądził, że Francja powinna zająć Nadrenię i rozbroić Niemców. W tym samym czasie Polacy uderzyliby na Śląsku, Pomorzu i w Prusach Wschodnich. Nie cenił zbyt wiele Brytyjczyków - uważał, że za dużo gadają, a za mało robią.

- Myślę, że krótka i zwycięska wojna byłaby lepsza niż długie i straszne zmagania. To miałyby sens. Wódz sądził, że Anglicy będą oburzeni, ale nic nie zrobią; obchodzą ich bowiem przede wszystkim pieniądze, jakie zarabiana handlu z Niemcami. Więcej nadziei pokładał w Francuzach, którzy wykazywali pewną skłonność do współpracy.

Bogdan pokiwał głową, ale nie odezwał się.

Stali tak w milczeniu, patrząc na horyzont. Wydawało im się, że są świadkami całkowitego zniszczenia Gdyni i okolic. Nawet z tej odległości słyszeli odgłosy wybuchów i walk. Obawiali się, że tak potrzebny Polsce port przestał istnieć.

Błyski eksplozji i czerwona luna bijąca z płonących budynków oświetlały tych dwóch oficerów. Podwładni zawsze uśmiechali się, kiedy widzieli ich razem. Kapitan był smukły i wysoki,

a jego zastępca niski i przysadzisty. Razem tworzyli ciekawy widok. Kiedy posłaniec przekazywał załodze rozkazy, zawsze pytał: „Chcecie dłuższą czy krótszą wersję?”.

Dowódca emanował godnością i autorytetem. Pochodził z zamożnej rodziny, odebrał staranne wykształcenie. Kiedy wydawał polecenia, wyrażał się ściśle i precyzyjnie, będąc spokojnym, że zostaną wypełnione co do joty. Nigdy nie upewniał się później, czy jego rozkazy wykonano. Jeśli, co zdarzało się bardzo rzadko, coś poszło nie tak, nie unosił się gniewem, by nie narazić na

szwank swojej reputacji. „Mam nadzieję, że to się już więcej nie powtórzy” - oto największa reprimenda, jaką mogli otrzymać winowajcy, którzy jednak drżeli przed groźbą ukrytą w tych słowach.

Zastępca stanowił jego całkowite przeciwieństwo. Krępy Bogdan miał w sobie niespożytą energię, mimo licznych strapień i problemów. Nie było dla niego rzeczy zbyt trudnej lub niemożliwej do zrobienia, a swoim entuzjazmem zarażał innych, dopingując ich do jeszcze większego wysiłku. Jego rozkazy również wykonywano bez szemrania. Przemawiał spokojnym głosem, w którym dało się jednak słyszeć nutkę surowości. Nie pozwalał dwa razy popełnić tego samego błędu. Członkowie załogi szanowali i podziwiali obu oficerów - to jednoczyło i umacniało cały zespół.

* *

Bogdan zszedł na dół, zostawiając kapitana samego - nie licząc dwóch wartowników, którzy koncentrowali się na swoich zadaniach. Wrócił myślami do swojej żony Doroty. Co mogło się teraz z nią dziać? Wzięli ślub dziesięć lat wcześniej, ale do tej pory nie mieli dzieci. Wiele razy starała się go przekonać, aby porzucił służbę w marynarce i zatrudnił się w firmie jej ojca. Od jakiegoś czasu rozważał tę ewentualność, jednak nie chciał siedzieć całymi dniami w biurze i czuwać nad produkcją jakichś części do maszyn. Kochał morze i wolność, którą mu ono dawało. Kochał marynarkę, z jej dyscypliną i braterstwem. Jednak kochał również Dorotę i chciał spędzać z nią więcej czasu. Teraz nie miał już wyboru. Jego żona została na lądzie sama z ojcem - jej matka umarła kilka lat temu. Jaka przyszłość czekała ich w zrujnowanym kraju, rządzonego przez bezwzględnych nazistów?

W ogóle nie bał się o siebie - martwił się jedynie o nią. Co się z nią teraz stanie? Ich małżeńskie szczęście, które stanowiło tak ważną część jej życia, legło właśnie w gruzach. Czy nie zagubi się gdzieś w ogarniętym wojną kraju? Czy nigdy więcej nie mieli już spędzać spokojnych wieczorów w domu? Żartować, śmiać się, rozmawiać, czytając nawzajem w swoich myślach? Czy wspólne noce pełne napiętności również odeszły w przeszłość? Tak pragnął, aby znalazła bezpieczne schronienie. Zdawał sobie również sprawę, że wiele zależy od jego położenia - gdyby coś mu się stało, rozpadłyby się marzenia o wspólnej przyszłości. Czy przeżyje wojnę?

Znów spojrzął na linię horyzontu. Czy mogli coś jeszcze uczynić? Czy „Orzeł” powinien zaatakować niemiecki pancernik? Wiedział, że to niemożliwe, ponieważ wrogi okręt stacjonował w porcie, a poziom wody na tym obszarze był zbyt niski, aby okręt podwodny mógł się zanurzyć. Na powierzchni zostaliby zniszczeni, zanim zdołaliby odpalić torpedę. Ale czy nie warto spróbować?

Okręt nieprzyjaciela powinno się oczywiście zbombardować, jednak polskie siły były całkowicie nieprzygotowane do inwazji, choć wszyscy wiedzieli, co Niemcy planują. Udało się wystawić do walki jedynie połowę wojska, ponieważ Francja i Wielka Brytania odradzały wcześniejszą mobilizację, aby nie denerwować nazistów. Lotnictwo właściwie nie istniało - składało się z kilku starych i wysłużonych samolotów. W marynarce stan pogotowia

ogłoszono nieco wcześniej i wysłano kilka okrętów na Bałtyk lub do Wielkiej Brytanii, zanim rozpoczął się atak.

Westchnął ciężko. Przyszłość „Orla” leżała w jego rękach, ale on nie czuł się gotów, aby stawić temu czoła.

* * *

Okręt płynął wynurzony pośród spokojnego morza. Pod pokładem, w dusznym i gorącym półmroku, pełniący wachtę siedzieli na swoich stanowiskach. Wyglądali na wyczerpanych i zmartwionych. Porozumiewali się półsłówkami, pogrążeni każdy we własnych myślach o przyszłości. W napięciu oczekiwali rozkazu natychmiastowego zanurzenia.

- Mówiłem, że wydarzy się coś zabawnego - powiedział na gło kadet Jarek.

- Nie miałeś na myśli niczego w tym rodzaju; poza tym, to wcale nie jest zabawne - przerwał mu Grzegorz, który zawsze chciał wszystko precyzować. Jarek zignorował go i mówił dalej.

- W sierpniu kilkakrotnie byłem w Gdyni, dostarczałem mel dunki. Ostatnim razem miałem złe przeczucia. W stoczni pano wała całkowita cisza. Nic nie mąciło tafli wody i wszystkie za budowania na brzegu odbijały się w niej. Wszystko się zmieniło, kiedy wpłynął „Schleswig Holstein” i rzucił kotwicę 150 metrów od *nabrzeża* - oznajmił Jarek, zadowolony, że znajduje się w cen trum uwagi.

- Słyszeliście te pierdoły, które wygadywał Hitler? - wtrącił się radiooperator Sławomir.

- Nie wiem skąd, przecież nie mamy radia - odparł Grze gorz.

Podobnie jak Jarek, Sławomir nie zwrócił na to uwagi. Miał przezwisko „Grubas”, ponieważ był bardzo wysoki oraz chudy i ciągle narzekał, że nie może przytyć. Życzliwe usposobienie

zjednywało mu przyjaciół, ale nieczęsto się uśmiechał - właściwie tylko przy jedzeniu.

„Grubas” kontynuował swój ą opowieść:

- Hitler powiedział, że pierwszy dzień wojny będzie pierw szym dniem dwudziestego wieku, i że oni są awangardą nowej epoki. To wielka odpowiedzialność, ale na zawsze zniszczą wszystkie pozostałości po dziewiętnastym stuleciu. Mówił, że to ostatni dziewiętnastowieczny konflikt, a *zarazem* pierwsza dwu dziesiątowieczna wojna. To wielki dar dla świata i nigdy nie zosta nie zapomniany.

- Stek bzdur - skomentował Grzegorz. - Chyba pomylił się trochę w liczeniu; już od dawna mamy dwudziesty wiek.

- W każdym razie nasze radio działa - stwierdził Sławomir. - Oprócz tego odebrałem raport, w którym mówią, że Gdynia znajduje się pod ostrzałem. Na miasto naciera dwieście bombow ców, a z morza bombarduje je pancernik i niszczyciele.

- Trawler „Mewa” osiadł na plaży, wcześniej zginęła cała za

łoga. Bombowce nurkujące zrównały z ziemią bazę na Oksywiu. Przed koszarami zbierają się tłumy, domagając się wydania broni. Oficerowie formują bataliony kosynierów, ponieważ nie dla wszystkich wystarcza karabinów - tym razem to Sławomir czuł się ważny. Wśród zebranych rozległ się jęk.

- Może wcale nie chcemy o tym słuchać? - ktoś spytał.
- Mnie to nie dziwi - wtrącił się Jan, drugi radiotelegrafista.

- Zeszłej nocy na prawie każdym domu w Gdańsku wisiała swastyka.

• Wszyscy nas opuścili - powiedział z goryczą porucznik Tomasz, który jako jedyny z całej załogi nosił brodę, szczególnie

imponującą przy krzaczastych brwiach i ciemnych oczach. Kiedy się denerwował, zawsze nerwowo dotykał lewego ucha.

• Nie pozwolono nam zmobilizować naszych sił. Moi kumple w armii powiedzieli mi, że zaledwie 45 procent żołnierzy było przygotowanych do walki. To daje około 1,7 miliona słabo uzbro-

jonych ludzi przeciwko 16 dywizjom pancernym i zmotoryzowanym - prawie 4000 czołgów i 4000 samolotów. Naszym największym problemem są sojusznicy - Francja i Wielka Brytania.

• Co więcej - powiedział Bogdan -jakiś drań kartograf sprzedał Niemcom plany fortyfikacji Śląska.

- Skąd to wiesz? - spytał Tomasz.
- Mam kolegę w wywiadzie, który mi o tym opowiedział.

Rząd starał się to zatuszować.

Z pomieszczenia, w którym zainstalowano radio, znów wyszedł Sławomir.

- Nad Westerplatte rozpętało się piekło - oznajmił.

nie przyczółka. Przygotowania zakończono tuż przed wybuchem wojny.

Teraz ten niewielki teren rozrywały eksplozje, a południowy kraniec półwyspu skrywała chmura gęstego dymu. „Schleswig Holstein” wystrzeliwał w kierunku polskiego posterunku grad pocisków, z których wiele padało w pobliżu jedynego działka, jakim dysponowali obrońcy. Kanonierom obsługującym tę armatę udało się w pewnym momencie trafić w pokład pancernika. Chwilę później na niebie pojawiły się bombowce, chcące za wszelką cenę pozbyć się zagrożenia dla okrętu.

Była godzina 4.00, 2 września 1939 roku.

Przed 1914 r. na Westerplatte znajdowała się jedynie plaża dla turystów. Ten wąski półwysep ciągnie się przez kilometr w głąb Zatoki Gdańskiej, zajmując powierzchnię około 8 hektarów. Jego piaszczyste wydmy porastały wtedy drzewa sosnowe. Na cyplu znajdowała się stara baza wojskowa. Ten skrawek ziemi przyznano Polsce w wyniku postanowień traktatu wersalskiego. Założono tam Wojskową Strażnicę Tranzytową, port w Gdyni wybudowano jednak w rekordowym tempie, więc w okresie II Rzeczypospolitej ten obszar nie pełnił szczególnie ważnej roli.

Stacjonował tam niewielki garnizon polskich żołnierzy, co symbolicznie podkreślało prawa

Polaków w Gdańsku. Niemieckie władze miasta miały prawo dokonywać inspekcji na półwyspie. Od czasu do czasu również Wielka Brytania i Francja przysyłały kontrole wojskowe, żeby upewnić się, że nie wznosi się tam żadnych umocnień, które mogłyby zostać potraktowane jako prowokacja w stosunku do Niemców. Stary fort zniszczono.

Pod koniec 1938 r. komendantem składnicy został major Su-charski, który w tajemnicy rozpoczął rozbudowę i fortyfikowa-

Okręt podwodny sunął teraz cicho po wodzie, ukryty w mroku. *Zalodze* wydawało się, że nastąpił koniec świata. W powietrzu unosił się szary dym. Odgłosy walki tworzyły ogłuszającą, szaloną kanonadę, która ani na chwilę nie ustawała.

Wartownicy w napięciu obserwowali okolice, wypatrując znaków, które świadczyłyby o zbliżającym się zagrożeniu - z powietrza lub wody. Jednak, poza pojedynczym samolotem, nie dostrzegli nic niepokojącego. Wtem nagle zza horyzontu wyłoniło się kilka maszyn, które kierowały się w ich stronę.

- Wszyscy na stanowiska, opuścić mostek. Alarm zanurzeniowy! - wydał rozkazy kapitan.

Bogdan oraz jeden z sygnalistów szybko wypełnili polecenie. Jednak drugi wartownik, siedemnastoletni Bartek, wolałby raczej zostać na powierzchni i stawić czoła przeciwnikowi niż znaleźć się pod wodą, zamknięty w okręcie podwodnym. Miał już pewność, że cierpi na klaustrofobię.

Wstąpił do marynarki pod wpływem chwili, radosnego podniecenia, na fali zauroczenia przemowami o patriotyzmie i wojnie. Miał jasne włosy i chłopcęjaszczę twarz, na której odbijały

się wszystkie emocje. Tak bardzo pragnął uczestniczyć w zbiorowych zmaganiach! Oficer, który go rekrutował, przydzielił Bartka do służby w marynarce wojennej i wysłał na szkolenie. Chłopak szybko ukończył trening dla sygnalistów, a jego wybitne zdolności i entuzjizm zyskały uznanie przełożonych.

Chaos panujący podczas mobilizacji oraz brak jasnych przesłanek do oceny sytuacji spowodowały, że dowództwo podjęło kilka pochopnych decyzji. Gdy przyszedł rozkaz wysłania okrętów w morze, okazało się, że na „Orle” brakuje ludzi. Potrzebowano sygnalisty, a osiągnięcia Bartka na tyle go wyróżniały, że oddelegowano tam właśnie jego.

Z początku wszystko szło dobrze. Zameldował się do służby w bazie na Oksywiu. Na okręcie powitał go Bogdan i przekazał pod opiekę kadetowi Jarkowi, który miał wprowadzić chłopca do załogi i pomóc mu *znaleźć* się w nowej sytuacji. Młody, dobrze prezentujący się oficer - oto przewodnik, o jakim marzył Bartek.

• Byłeś już kiedyś na okręcie podwodnym? - spytał z werwą Jarek.

• Nie - odparł nerwowo Bartek.

• Jest w porządku. Trochę mało tu miejsca, ale można przy wykąć.

Bartek nie wyglądał na przekonanego.

• Jaka funkcja? - zapytał kadet.

- Sygnalista.

- Fajnie, to tak samo jak ja. - ucieszył się Jarek. - Chodź pod pokład - dodał, kierując się w stronę kiosku. Zszedł pod drabinie, a za nim niepewnie podążył świeżo upieczony adept marynarki podwodnej.

- To oczywiście kiosk - powiedział Jarek, wskazując jednocześnie na dwa peryskopy, stanowisko kontroli torped i koło sterowe. - To tutaj najczęściej się dzieje - tu dowodzi się okrętem i tu spędzamy większość czasu.

- Mało tu miejsca - skomentował Bartek.

- Prawie w ogóle! - odparł Jarek. - Musisz się przyzwycząić do tego, że od innej osoby zawsze będzie cię dzielić najwyżej metr. Prywatność nie istnieje. Jak będziesz chciał się podrapać w tyłek, to lepiej upewnij się, że to twój, bo może wyniknąć głu pnia sytuacja! - zażartował, po czym zaniósł się śmiechem.

W Bartku narastało przerażenie. Wiedział już, że popełnił straszliwy błąd, zgłaszając się do służby na okręcie podwodnym. Właz kiosku zamykał się nad nim. Czuł, że nie będzie w stanie żyć w tak ograniczonej przestrzeni. Musi poprosić o przeniesienie.

- Czy wielu zmienia zdanie i rezygnuje? - zapytał z na dzieją.

- Co? Już masz dosyć? Jeszcze nic nie zobaczyłeś! - krzyknął Jarek. - Przyzwyczaisz się. Poza tym, już jesteśmy na morzu - nie możesz stąd wyjść. Nie wiemy nawet, kiedy i do jakiego portu teraz zawiniemy. Ale nie martw się - przywykniesz. Niedługo zupełnie zapomnisz jak wygląda normalne życie i pogodzisz się z ciasnotą. Też miałem pewne wątpliwości, ale od kiedy pierwszy raz wszedłem na pokład, to wiedziałem, że nie zamieniłbym „Orła” na żaden inny statek. To moje życie. Tworzymy zgraną paczkę, dobrze się rozumiemy i jesteśmy z tego dumni. Musisz pamiętać, że okręty podwodne różnią się znacznie od jednostek nawodnych. Nie uświadczysz tu wojskowego drylu ani służbowych procedur. W gruncie *rzeczy* stanowimy pływającą broń

- przekonywał z entuzjazmem. - Jesteśmy platformą dla torped
- to one są tu najważniejsze oraz trafienie nimi w okręt nieprzyjaciela. Cała reszta się nie liczy.

Ani jedno słowo z całej tej przemowy nie trafiło Bartkowi do przekonania.

- Chodźmy dalej - zachęcał Jarek. - To jest stanowisko dowodzenia, serce okrętu. Tutaj podejmuje się wszystkie decyzje. Jak widzisz, mamy żyrokompas - cudowny wynalazek XX wieku. Naprawdę precyzyjny sprzęt. Tu są stery głębokościowe, których używamy podczas zanurzania. Pracą balastów kieruje się stąd, a tam - powiedział, wskazując na niewielkie drzwi - jest radio stacja. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, do czego służy. A to - dodał, kierując się w stronę kolejnych drzwi - kambuz, gdzie kok

przygotowuje jedzenie. Gotuje na kuchence elektrycznej, ale kiedy jesteśmy w morzu, nie mamy regularnych posiłków. Po prostu, kiedy nie masz akurat wachty, przychodzisz tu i starasz się zdołać coś do jedzenia. Jak już mówiłem, nie obowiązuje nas żaden harmonogram - zwyczajnie, zawsze robimy to, co trzeba zrobić. Fascynujące, prawda?

Bartek nie uważał tego określenia za trafne. Pomyślał sobie, że bardziej pasowałoby „przerażające”.

Przeszli w stronę rufy, mijając po drodze kolejne drzwi. Jarek pokazał mu mesy oficerów oraz matów. Wkroczyli do maszynowni i obejrzeni dwa wielocyldrowe silniki, dwa wały napędowe śruby oraz główne akumulatory. W następnym pomieszczeniu znajdowały się silniki elektryczne.

- Używamy diesli, kiedy płyniemy wynurzeni, a silników elektrycznych pod wodą. Nie można włączać diesli, kiedy nie ma stałego dopływu powietrza, bo inaczej wszyscy by się podusili w kilka sekund. Ładujemy akumulatory, kiedy jesteśmy na powierzchni. Na początku może ci się wszystko mylić, ale nie martw się, szybko się połapiesz - Jarek popisował się swoją wiedzą. Rola przewodnika wyraźnie przypadła mu do gustu.

- Tutaj mamy przedni przedział torpedowy, na rufie jest jeszcze jeden. W każdym znajdują się po cztery wyrzutnie. Nasz okręt różni się trochę od innych, ponieważ dysponujemy podwójnymi wyrzutniami torped, zamontowanymi na zewnątrz kadłuba.

- Mogłeś nie zauważyć, ale właśnie przeszliśmy przez jedną z mes marynarzy - wyjaśnił Jarek zdumionemu Bartkowi, który teraz uważnie rozejrzał się. Otaczała go plątanina najróżniejszych rur i kabli, zaworów, pojemników ze sprężonym powietrzem, ładunków głębinowych, manometrów i wszelkich innych wskaźników. Zauważył wystające ze ściany małe półki, ale na szczęście zanim zdążył o nie zapytać, zrozumiał, że to koje.

Jarek spojrział w tym samym kierunku. - To wspólne koje. Można opuścić górną tak, żeby tworzyła oparcie, kiedy siedzi się na dolnej. Jeśli wyłoży się to wszystko szmatami, to powstaje całkiem wygodna kanapa. Robimy tak jednak tylko w porcie, ponieważ w trakcie rejsu na tych kojach śpią ci, którzy akurat nie mają wachty. Koje mają tę zaletę, że można bardzo łatwo zjeść śniadanie w łóżku - wystarczy sięgnąć ręką po leżące na stole jedzenie.

Wskazał teraz na małe szafki. - W tych schowkach trzymamy nasze *rzeczy* osobiste. Nie są zbyt pojemne, ale wystarczają, bo i tak nie mamy zbyt dużo bagażu.

- Gdzie przechowuje się ekwipunek? - zapytał Bartek, choć czuł, że robi mu się coraz bardziej niedobrze.

- Gdzie się da. Pomiędzy urządzeniami, sprzętem, torpedami. Wszędzie, gdzie jest miejsce. Mamy tu również niewielką chłodnię, a pod nami są zbiorniki na wodę pitną i destylowaną do akumulatorów.

-A gdzie się myje i robi pranie?

-Nie myjemy się. Mamy mało wody, więc używamy jej tylko do picia. Jeśli mamy szczęście, to co trzy, cztery dni możemy się przemyć wodą morską. Szybko zorientujesz się, że nie pierzemy tu ubrań.

- A co jest do jedzenia?

- Ziemniaki, chleb, który jest specjalnie zapakowany, żeby można go było jeść przez dwa tygodnie. Pierwszy raz piecze się go na ładzie, a później jeszcze raz w kambuzie. Mamy też warzy-

wa, konserwy, wodę pitną oraz papierosy, upchane we wszystkie szczeliny pomiędzy przyrządami, sprzętem, torpedami i wyposażeniem. Jemy też suchary, choć akurat w nich lubią się gnieździć robaki. Ach, powinieneś się również zapoznać z toaletami.

- To są i toalety? - zapytał Bartek z sarkazmem, który jakoś umknął Jarkowi.

- Tak, choć są inne niż na większości statków. Nasze znajdują się zawsze pod poziomem morza - odwrotnie niż gdzie indziej. Muszla wypełnia się wodą morską, a jak otworzy się zawór w kadłubie, to sprężone powietrze wypycha zawartość na zewnątrz. Ale nie można z tego korzystać poniżej 30 metrów - z powodu ciśnienia. Wtedy przydają się puste puszki i pojemniki.

- Można palić?

- Tylko na powierzchni i czasem w maszynowni. Nie ma sensu palić pod pokładem, ponieważ po jakimś czasie zaczyna brakować tlenu, więc nie zapalisz zapalki ani nie zaciągniesz się. Zadowolony?

- Nie użyłbym raczej tego słowa - odparł Bartek, pewien, że nigdy nie poczuje się tu zadowolony. A jednak czuł dumę, że został podwodniakiem.

Rozdział 2

Okręt zszedł na głębokość 25 metrów i wykonał gwałtowny skręt w kierunku portu, aby uniknąć bomb i ładunków głębin wych, zrzuconych przez nadlatujące samoloty. Atmosfera by napięta do granic możliwości; członkowie załogi w milczeniu oczekiwali pierwszego ataku, nie wiedząc, czego się spodziewać. W jaki sposób odczują eksplozje, zamknięci w stalowej pusce w głębinach morza? Nie umieli sobie tego wyobrazić - nigi wcześniej nie doświadczyli czegoś podobnego.

Choć nic takiego się nie wydarzyło, marynarze nie potrafi się rozluźnić - uczucie niecierpliwego wyczekiwania potęgowało się. Wydawało im się, że lada chwila coś się stanie. Po pięć minutach - tyle powinno trwać natarcie - nastroje powoli zaczęły się zmieniać. Odczuwano pewne rozczarowanie, które tuszowała rozmowa.

- Cisza na okręcie - rozkazał kapitan. - To jeszcze nie koniec.

Ale właściwie wszystko już ucichło.

- Musieli mieć inne zadania - powiedział Bogdan - albo]
prostu nas nie zauważyli.

Kapitan pokiwał głową. Wciąż jednak pozostawało pytar - co dalej? Oficerowie patrzyli pytającym wzrokiem na swoje; dowódcę.

Dla niego przyszłość wyglądała trochę jak dziwna wizja w teatrze - scena jest pusta, brakuje aktorów, scenografii, sceneriusza. Nikt nie wie, co się zdarzy za chwilę lub jak długo potrwa. A w tej sytuacji nie wiadomo nawet, czy wrócą bezpiecznie do domów. Mieli przed sobą Bałtyk, 370 tysięcy kilometrów kablem drutowym w pełnej nieznanych niebezpieczeństw, min, jednostek nieprzyjaciela, samolotów, sztormów, mierzni i płycizni, na które okręt podwodny nie mógł się zapuścić. Kapitan zdawał sobie sprawę, że to na nim i tylko na nim spoczywa odpowiedzialność za los ludzi i okrętu. Wcale nie pomagało mu to w podjęciu decyzji. Westchnął głęboko, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

- Róbmy po prostu to, co do nas należy, czyli szukajmy niebezpiecznych jednostek i zatapiajmy je. Przepłyniemy przez zatokę, żeby zorientować się w sytuacji. Chcę zaraz dostać raport o stanie paliwa oraz prowiantu. Wtedy będziemy mogli ostatecznie zdecydować o naszych planach.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, do pomieszczenia wpadł radiotelegrafista.

- Odebrałem dziwną wiadomość, kapitanie - poinformował.

Dowódca spojrzął na podaną mu kartkę i przeczytał: „Zostaliśmy zaatakowani przez ścigacze, potrzebujemy natychmiastowej pomocy, 54°50' N 19°30' E.” Bez podpisu.

- Kto to może być? - zastanawiał się Bogdan. - Wszystkie jednostki są zajęte minowaniem zatoki.

Pozostałe cztery okręty podwodne w polskiej flocie - „Sęp”, „Ryś”, „Żbik” i „Wilk” - wypłynęły z Gdyni przed „Orłem”. Dwa z nich zostały wysłane do Wielkiej Brytanii.

Kapitan i Bogdan podeszli do mapy i nanieśli pozycję wzywającego na ratunek okrętu. Sprawdzili również własną.

- Jesteśmy 80 kilometrów od niego - powiedział Bogdan.

- Ustawić kurs i cała naprzód - odparł kapitan. - Powiedzcie w maszynowni dokąd płyniemy, żeby się skoncentrowali.

Gdy zbliżali się do wyznaczonego rejonu, okręt wynurzył się na głębokość peryskopową. Dowódca dokładnie obejrzał okolicę.

- Nic nie widać - poinformował załogę.

Przez następne trzy godziny szukali nadawcy rozpaczliwego komunikatu. Na próżno. Nie znaleźli ani śladu obecności jakiegось innego okrętu podwodnego. Nic.

Nagle kapitan krzyknął:

- Opuścić peryskop! Alarm zanurzeniowy! Prawo na burt
Zbliża się samolot!

Okręt zanurzył się i zmienił kurs tak gwałtownie, że ludzie* ledwo utrzymali się na nogach.

Wtedy w pobliżu kadłuba spadła bomba i statkiem rzucił w bok. Zanim członkowie załogi zdążyli się zorientować, o co chodzi, druga eksplozja posłała ich w przeciwnym kierunku. Jeden po drugim wybuchły ładunki głębinowe. Wewnątrz okrętu wrowało stłuczono szkło, a zawory

zaczęły przeciekać. Włączył się awaryjne oświetlenie i czerwona poświata dodawała tej scenie jeszcze więcej grozy. Ogłuszający hałas nie ustawał.

Rzeczywistość okazała się dużo gorsza niż nawet najbardziej pesymistyczne wyobrażenia. A jednak nie wybuchła panika. Nie wzruszona postawa kapitana, który wydawał polecenia tak same rzeczowym tonem jak zawsze, pomogła utrzymać dyscyplinę. Skoro dowódca się nie boi, to dlaczego mielibyśmy my - myślano.

• Zanurzenie 50 metrów! - rozkazał kapitan. Okręt znów gwałtownie opadł.

- Jaka głębokość? - spytał Piotra dowódca.
- Około 75 metrów.
- Zejdźmy na dno i zaczekajmy.

Manewr wykonano. Zapadła cisza, więc członkowie załóg znów pograżyli się we własnych myślach i lękach. Powrócił smu tek i troska o najbliższych.

Feliks nie martwił się jednak o rodzinę. Jego matka i ojciec zginęli w wypadku, kiedy miał osiem lat. Wychowywali go dziadkowie; oni jednak również umarli - babcia odeszła, kiedy wstąpił do marynarki, a dziadek niedługo później. Feliks obawiał

się przede wszystkim o swojego najlepszego przyjaciela - czuł się wobec niego winny.

Jego druh wabił się Szopen i był małym, wesołym szpicem z długimi uszami i smukłym pyskiem. Za każdym razem, kiedy pies ziewał lub szczekał, wydawał z siebie melodyjny pisk - stąd imię. Nie wiadomo jednak, czy miał to być komplement dla kompozytora, czy krytyka jego twórczości.

Feliks kochał swojego przyjaciela i zabierał go wszędzie ze sobą. Zapewne miną lata, zanim będzie mógł go znów zobaczyć; do tego czasu Szopen może już nie żyć. Pomimo smutku nie zwierzył się kolegom ze swoich zmartwień - z pewnością by go nie zrozumieli. Ich trapiły dużo poważniejsze problemy.

Przyglądał się teraz uważnie towarzyszom - byli jego jedyną rodziną. Wszyscy czuli wielką rozpacz, ale każdy starał się to ukryć, żartując i śmiejąc się.

Waldemar myślał przede wszystkim o konsekwencjach decyzji, którą podjął, być może, trochę zbyt pośpiesznie. Wstąpił w przeddzień wojny na ochotnika do marynarki — wydawało mu się, że jest silny i gotowy do poświęceń.

Ten skromny chłopak pochodził z małej miejscowości na Pomorzu. Niezbyt dbał o siebie, a jego ogorzała od słońca twarz okalała burza nieuczestnych kręconych blond włosów. Niesiony falą entuzjastycznego patriotyzmu zaciągnął się do wojska, aby bronić ojczyzny. Podobnie jak wielu jego kolegów zdawał sobie sprawę, że siły lądowe i powietrzne, ale też flota nawodna, nie mają zbyt wielkich szans w starciu z Niemcami. Tylko okręty podwodne mogły zadać cios najeźdźcom. Jego rodzina od pokoleń uprawiała rolę, ale podczas egzaminów okazało się, że Waldemar wykazuje uzdolnienia techniczne. Wyszkolono go na mechanika i pracował teraz przy silnikach diesla. Dobrze dogadywał się z resztą załogi i czuł się szczęśliwy.

Gdańsk i Gdynia zrobiły na nim wielkie wrażenie. Wiedział, że nie mógłby mieszkać nigdzie indziej niż w Polsce. Najlepiej

czuł się w swoim domu w Skórczu. Teraz zadumał się na chwilę, wspominając okolice, z których pochodził. We wrześniu kończyły się zazwyczaj żniwa, a pola mieniły się złotymi odcieniami w zachodzącym słońcu.

Wieczorami rodziny zbierały się w domach. Starzy wspominali przeszłość i narzekali. Młodzi

mówili, że niedługo wszystko się zmieni - choć nigdy nie określili dokładnie, kiedy miałyby się to stać.

Kobiety pracowały tak ciężko, że przed trzydziestką wyglądały już na sterane przez życie. Nie było prądu i bieżącej wody, w zimie cierpiano od mrozu, a na wiosnę z powodu głodu. W restauracjach w Gdańsku widział ludzi, którzy siedzieli przy suto zastawionych stołach. Znajdowało się na nich więcej jedzenia, niż chłop jadł przez tydzień. Mieszkańcy miasta czerpali wodę z kranu w ścianie, nie musieli chodzić po kilka kilometrów do rzeki. Waldemar nie skarżył się jednak - był przekonany, że prawdziwe życie toczy się wśród natury. Czuł dumę, że nauczył się stawiać czoła przeciwnościom. W przyszłości, kiedy skończy się wojna, pewnie będzie jeszcze gorzej. Obawiał się tego, co może zastać po powrocie do domu.

Obok niego siedział Zygmunt, nazywany „Wielkim”. Miał jowialne usposobienie, co cechuje ludzi o pokaźnej tuszy. On również nie martwił się zbytnio swoim wyglądem i raczej z dystansem podchodził do swojego ciała. Jego twarz przypominała gruszkę - miał wielką szyję i obfity podbródek. Tą metaforą można również określić jego tułów - potężny korpus spoczywał na ogromnych biodrach. Nigdy się nie cesał, więc włosy sterczały mu na wszystkie strony. Wyglądały jak rozrzucony stóg siana, który Zygmunt co jakiś czas przyklepywał dłonią. Miał kilka denerwujących nawyków - na przykład dokańczał cudze wypowiedzi. Wykrzykiwał zbyt wcześnie puentę, paląc dowcip. Jego rodzice mieli w Kwidzynie sklep wielobranżowy. Nie wiedział, co się teraz z nimi działo.

Feliks znów zapragnął poczuć się panem sytuacji.

- Zobaczycie, skopiemy im w końcu tyłki! - zakomunikował.

Przyjęto te słowa sardonycznym okrzykiem.

- To prawda - powiedział z emfazą. - Zabijcie im oficerów, a wygracie wojnę. Niemiecki żołnierz nie potrafi samodzielnie myśleć, po prostu wykonuje rozkazy. Jeśli zabraknie oficerów, nie będą wiedzieli co robić.

- Nie można zabić wszystkich oficerów - zaproponował Jakub. - Oni kryją się za szeregowcami; tak jest w każdej armii na świecie.

- Czy ja się kiedyś chowałem za ciebie? - dobiegł ich głos Tomasza.

- Nie miałem na myśli oficerów marynarki - wyjąkał zawstydzony Jakub.

Rozmowie przysłuchiwał się również starszy bosman Tadeusz - dwudziestopięcioletni pogodny mężczyzna. Zawsze wesoły i optymistycznie nastawiony, wzbudzał sympatię u swych podwładnych. Jednak w razie potrzeby potrafił pokazać srogie oblicze. Ten przysadzisty ekstrawertyk w każdej sytuacji potrafił znaleźć jej pozytywny aspekt. Nosił krótko przystryżone włosy, co dodawało mu surowości.

Obserwował uważnie rozmówców, wyczekując momentu, żeby włączyć się do dyskusji. Zauważył jednak Bartka, jednego z sygnalistów, który siedział przerażony w kącie. Miał zamknięte oczy i kurczowo ścisnął wystającą rurę. Cały dyszał z wysiłku.

- Wszystko w porządku? - zapytał uprzejmie.

- Tak, w porządku - odpowiedział cicho Bartek.
- Źle wyglądasz. Co się stało?
- Bardzo mi przykro - wyszeptał chłopiec, zerkając nieśmiało spod zmarszczonych brwi na Tadeusza - ale trochę się boję. Nie mogę przestać.

- Boisz się? Ja jestem przerażony! - odpowiedział bosman, uśmiechając się lekko.

Zdziwiony sygnalista spojrzął raz jeszcze na swojego rozmówcę. - Pan?

- Oczywiście. Ten, kto mówi, że się nie boi, albo kłamie, albo postradał zmysły. Musisz po prostu pogodzić się z tą sytuacją i mieć nadzieję.

- To nie wszystko - rzekł Bartek, przekonany, że teraz wreszcie będzie mógł powiedzieć prawdę i zrzucić z siebie ciężar. Sądział, że może uda się załatwić przeniesienie, choć nie wiedział za bardzo, jak miałyby się to odbyć. Mówił ściszym głosem, żeby nikt inny go nie usłyszał.

- Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie wyszliśmy w morze. Czułem się dobrze na powierzchni, nawet jak zszedłem pod pokład, ponieważ włazy pozostawały otwarte, więc nie czułem się zamknięty. Ale kiedy zanurzyliśmy się i wszystkie wejścia zostały zatrzasknięte, miałem wrażenie, że napiera na mnie cały świat. Wpadłem w panikę, chciałem wrzeszczeć i natychmiast się wydostać, ale powstrzymały mnie wybuchy. Wtedy zdałem sobie sprawę, że już nigdy stąd nie wyjdę, więc przyszedłem tutaj, żeby po cichu umrzeć.

- Niewiele możemy teraz z tym zrobić, ale pamiętaj, że nie wolno ci wyzionąć ducha na służbie, bo staniesz do raportu i zo staniesz ukarany - powiedział współczująco Tadeusz. - Nie wy dostaniemy się stąd przez jakiś czas, więc musisz starać się przetrwać. Myśl o czymś innym, o szerokich przestrzeniach. Skąd pochodzisz?

- Z Kwidzyna, tak jak Zygmunt, ale nie znałem go wcześniej.

- Miasto leży nad Wisłą, prawda? Wokół znajdują się rozległe zielone pola i lasy? Kiedy będzie ci się zdawało, że świat zamyka się wokół ciebie, zaniknij i wyobraź sobie, że patrzysz na

rzekę, za którą rozciągają się dalekie, piękne widoki. Staraj się patrzeć jak najdalej za horyzont. Przypomnij sobie jakieś charakterystyczne obiekty w terenie. Zapomnij o wszystkim innym i skoncentruj się.

Tadeusz patrzył na bladego jak ściana chłopaka z niepokojem, ale myślał również o tym, że w załodze jest słaby punkt.

Bartek przytaknął na znak zrozumienia.

-Nie jesteś tu sam, musisz o tym pamiętać. Tworzymy drużynę, która działa wspólnie. Wszyscy wiedzą, jak czuje się człowiek podczas pierwszego rejsu i będą się starali ci pomóc.

Powiedz dokładnie, czego się boisz? - zapytał, a następnie sam sobie odpowiedział w zamyśleniu:

- Ludzie, którzy twierdzą, że mają klaustrofobię, mówią, że lękają się, ponieważ kiedy świat zamyka się wokół nich, nie wiedzą, jak uciec.

Bartek znów skinął głową.

- Pomyśl o tym. Wiesz dobrze, że ściany okrętu podwodnego nie napierają na ciebie, podczas gdy tutaj siedzisz. Jeśli miałoby się tak stać, to tylko w wyniku eksplozji ładunku głębinowego, ale wtedy nie zdążysz tego nawet zauważyć.

- Wiem, ale wydaje mi się, że nie mam czym oddychać... - wtrącił nieśmiało młody sygnalista.

- Ale oddychasz. Gdybyś służył na małym statku nawodnym jak trałowiec lub mino wiec, też byś się tak czuł?

Bartek zaprzeczył, potrząsając głową.

- A mieszkałbyś i pracował w mesie, która wyglądałaby do kładnie tak samo jak ta. Dwanaście lub piętnaście osób żyjących razem w przestrzeni o wymiarach sześć na pięć metrów, ciasnej, pozbawionej tlenu i cholernie niewygodnej. Gdyby taka jednostka została zaatakowana, mógłbyś uciekać. Ale dokąd? Zapewne wy skoczyłbyś do morza i utonął. Co gorsza, kiedy jesteś na statku na powierzchni, nieprzyjaciel widzi cię jak na dłoni i może strzelać do woli. Nie masz się jak obronić. Z okrętem podwodnym sprawa wygląda zupełnie inaczej. Przeciwnik nie ma pojęcia, gdzie się znajdujemy, więc musi zgadywać. Zazwyczaj myli się i chybia. Tak naprawdę tu jesteś dużo bezpieczniejszy- zakończył swoją przemowę Tadeusz.

Nagle zatrzęsła nimi potężna eksplozja. Świat zawirował i wszyscy przewrócili się. Zaraz jednak zaczęli się podnosić i sprawdzać, czy nic nie zostało uszkodzone.

- Widzisz, mówiłem ci, znów spudłowali - zauważył Tadeusz, kiedy Bartek już odchodził.

Michał, który zawsze chciał wszystko wiedzieć, przez co często pakował się w kłopoty, podszedł do bosmana i cicho spytał:

- Jakiś problem?
- Co masz na myśli? - odburknął Tadeusz.
- Myślałem, że pęka. Obserwowałem go uważnie i sądzę, że może zrobić coś głupiego. Nie może się uspokoić, wydaje się przerażony.

- Nie twoja sprawa - zdenerwował się bosman. - Pilnuj lepiej swojej roboty i uważaj, żebyś ty czasem nie „pękł”. Zostaw go w spokoju i ani pary z gęby, bo inaczej pogadamy!

Michał kiwnął głową i odszedł, garbiąc się.

Wybuchy nie ustawały przez następne pół godziny, choć marynarze zdążyli się już przyzwyczaić i nie budziły one w nich takiego strachu jak na początku. Stopniowo zaczęli

czuć się bezpiecznie. W końcu hałasy ustały. *Zapadła* cisza, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz okrętu. Czy to już koniec?

Kapitan zdawał sobie sprawę, że to może być tylko pozorny spokój. Wiedział, że Niemcy są przebiegli - mogli zaprzestać ataku i czekać na powierzchni, licząc na to, że Polacy sądząc, iż niebezpieczeństwo minęło, włączą silniki i wynurzą się na głębokość peryskopową. Wtedy stanowiliby łatwy łup. Dowódca nie miał jednak zamiaru podejmować pochopnych działań.

Rozdział 3

Dwie godziny później kapitan uznał, że czas się rozejrzeć. Od jakiegoś czasu z powierzchni nie dochodził żaden dźwięk.

- Głębokość peryskopowa, tylko powoli - rozkazał.

Większość członków załogi odetchnęła z ulgą, gdy igła głębokościomierza zaczęła się wznosić. Wielu obawiało się, że tak długie leżenie na dnie może skończyć się utknięciem w błocie. Operacja trwała wieki, ale w końcu okręt dźwignął się tuż pod powierzchnię wody.

- Peryskop w górę - wydał polecenie dowódca, łapiąc jedno cześnie za uchwyty, aby spojrzeć tak szybko, jak będzie to tylko możliwe. Obrócił urządzenie o 360°, omiatając nim dokoła horyzont.

- Chryste - wyszeptał - peryskop w dół.

Zwrócił się do Bogdana:

- Tam jest kilkanaście statków, w tym dwa niszczyciele. Na szczęście znajdują się kawałek stąd, na północny-zachód.

Bogdan milczał, wnosząc brwi ze zdziwienia.

- Nie możemy tu zostać - ciągnął dalej dowódca - musimy odpłynąć na wschód.

- Na wschód? - zdumiał się porucznik. - Jest pan pewien?

- Tak?

-Ale tam są nasze pola minowe - powiedział niepewnie Bogdan.

Kapitan spojrzał na pierwszego oficera.

- Jesteś pewny?

- Całkowicie. Oglądałem mapę w bazie. Mam przyjaciela w dowództwie, odwiedziłem go kiedyś i zerknąłem na jego biurko. Zobaczyłem zaznaczone dwa pola minowe, ale nie wiem na wet czy to nasze, czy niemieckie. Nie znam ich dokładnej pozycji, nie pamiętam też, jak są rozległe. W każdym bądź razie znajdują się teraz pomiędzy nami a zatoką. Cały problem w tym, że woda jest tu tak płytka, że musielibyśmy ślizgać się po dnie.

- „Sep” i „Ryś” rozstawiały ostatnio jakieś miny, ale nie mamy

jak ich o to zapytać. Co wiecie o minach, zwłaszcza naszych? Jak się je układa, według jakiegoś wzoru czy przypadkowo? Są przy mocowane czy po prostu wyrzucone za burtę i dryfują? Na jakiej głębokości? - spytał rzeczowo dowódca.

Oficerowie spojrzeli po sobie skonsternowani.

- Rozmawiałem kiedyś z członkiem załogi minowca, Sawickim z „Sępa” - powiedział Tomasz, dotykając nerwowo lewego ucha. - Dyskutowaliśmy o sposobie stawiania min. Doszliśmy do wniosku, że w razie wojny zostaniemy zaatakowani przez jednostki nawodne, a nie U-booty. Sądzę zatem, że miny zostały położone na płytszych wodach; przynajmniej ja bym tak zrobił. Krążą jednak plotki, że Niemcy używają min magnetycznych, a stalowe kadłuby przyciągają takie ładunki. Jeśli to prawda, to mamy kłopoty.

- Dziękuję - odparł szorstko kapitan. - To ja decyduję, kiedy mamy kłopoty.

- Tak naprawdę powinniśmy się zastanowić, ile min może tam być, jeśli to nasi je rozkładali - zauważył Bogdan.

- Wiemy, że do minowania wysłano „Sępa” i „Rysia”. Każdy z nich miał około 20 ładunków - powiedział Jerzy.

- Nie zapominajmy o trałowcach, które przewożą znacznie więcej - dodał Tomasz.

- W takim razie leży tam około setka - podsumował dyskusję Jerzy. - Ale chyba lepiej wylecieć na własnej minie niż na nie mieckiej, prawda? Przynajmniej nie damy im satysfakcji.

Przyjęto te słowa jękami, wymuszonymi uśmiechami i tłumionym chichotem.

- Nie damy rady przejść. To tak jakby ślepiec szedł wąskim i krętym mostem bez barierek - rzekł oficer Franciszek.

- Będziemy musieli przedrzeć się przez pole minowe - powiedział obojętnie dowódca, ignorując poprzedni komentarz. - Niech Opatrzność nas prowadzi. Głębokość tutaj wynosi 30-50 metrów - dodał rzeczowym tonem. - Zejść na 40 metrów, kurs 350°. Powoli naprzód, zamknąć wszystkie śluzy i włazy.

Wydawszy rozkazy, spojrział z wściekłością na Franciszka. Miało to *oznaczać*, że od tej pory będzie mu się bacznie przyglądał. Oficer opuścił wzrok.

Kapitan przywołał do siebie sternika Stefana i bosmana Jacka.

- Teraz wy przejmujecie okręt - powiedział, patrząc im w oczy i próbując dodać

odwagi. - Stefanie, nie będzie łatwo sterować. Wiem, że masz nerwy ze stali, więc na pewno sobie poradzisz. Jacku, miej wszystko na oku i uważaj na ludzi. Sądzę, że będą spokojni, ale pokaż im, że w nich wierzysz.

Obaj zasalutowali.

Stefan i Jacek poznali się w szkole podstawowej i od razu z stali przyjaciółmi. Okazało się, że mają wspólne zainteresowań dorównywali sobie również poziomem intelektualnym. Koch sport, a w wolnym czasie chodzili do portu w Gdyni patrzeć statki - obaj chcieli zostać marynarzami. Poszli do tego same liceum. Uczyli się słabo, ale ich nową wspólną pasją stało i chodzenie na randki z dziewczynami. Wylecieli ze szkoły ró nocześnie. Wciąż często odwiedzali port i marzyli o morski rejsach.

Wstąpili na ochotnika do marynarki, ku rozpaczy swoich i rodziców, którzy pragnęli, aby synowie wykazali trochę więcej a bicipi i wybrali bardziej perspektywiczną profesję. Razem ukończyli szkolenie i wtedy poznali kobiety, które zostały ich żonami Stefan poślubił Ewę, a Jacek - Teresę. Oczywiście nikogo i zdziwił fakt, że były one siostrami.

Różnili się jednak - zarówno wyglądem, jak i charakterem Stefan odziedziczył wzrost po ojcu i mierzył 2 metry. Jacek bardzo starał się mu dorównać, ale urosł tylko na 1,70 m. Stefan 1 kościsty, szczupły, miał brązowe oczy i włosy. Jacka cechów muskularna budowa ciała, a jego blond włosy i wesole, ziele oczy zdradzały swobodny styl bycia i otwartość na świat. Ste: natomiast służył z uporem i niecierpliwością.

Równocześnie otrzymali stopień mata. Gdy wystosował apel, wzywający do wstąpienia do służby na okrętach podwodnych, zgłosili się razem.

Kiedy wchodził na pokład „Orła”, kapitan bacznie się przyglądał.

- Widzę, że znacie się już - powiedział, patrząc w dołki na ich mundurach.

• Od piętnastu lat, panie kapitanie - odparł Stefan.

• Trzymamy się razem, odkąd się poznaliśmy - dodał Jacek.

- Dlatego chcieliśmy dołączyć do załogi „Orła” w tym samym czasie. Dobrze nam się pracuje we dwójkę.

- To może okazać się przydatne - rzekł dowódca. - Potrzebujemy dwóch starszych matów - sternika i bosmana. Muszą się do tego dobrze rozumieć, żeby cały okręt chodził jak trzeba. Jak chcecie się podzielić tymi funkcjami?

Stefan uśmiechnął się. - Myślę, że ja mógłbym zostać sternikiem, kapitanie. Potrafię poprowadzić okręt. Jacek lepiej pracuje z ludźmi i zna się na sprzęcie - będzie lepszym bosmanem.

Przyjaciół skinął głową na znak zgody.

Sprawiali wrażenie nierozłącznych, choć taka opinia zaczynała im powoli doskwierać. Ich przyjaźń nie opierała się na solidnych fundamentach. Jacka męczyło to od jakiegoś czasu; myślał sobie, że szał bracia syjamscy, których łączy niechęć do innych. Poza tym czuł się indywidualistą i chciał być tak postrzegany. Stefanowi wydawało się z kolei, że jeśli nie odłączy się od Jacka, to zablokuje sobie możliwość awansu. Nie chcieli już być wciąż kojarzeni tylko ze sobą nawzajem.

- Wybrałeś sobie trudniejszą robotę - uśmiechnął się kapitan
- wody Bałtyku są płytkie i niebezpieczne. Załoga zachowuje się przyzwoicie, a z tego co wiem, to i sprzęt *działa* poprawnie. Wi tajcie na okręcie, panowie.

Stefan nie miał nawet pojęcia, jak trudne miało się okazać jego nowe zajęcie.

Atmosfera nerwowego napięcia ogarnęła cały okręt. Bartek wciąż kurczowo trzymał się rury, jakby zrósł się z nią na dobre. Cały czas intensywnie wpatrywał się w tarczę zaworu.

Tylko Tadeusz się nie przejmował. Spacerował spokojnie, próbując dodać innym otuchy. - Nie przejmujcie się, chłopaki; skoro jesteście wciąż przytomni, to znaczy, że żyjecie. Oddychajcie głęboko, to zdrowe - przemawiał do swych towarzyszy. Kilku zdobyło się na słaby uśmiech.

Doświadczenie, któremu zostali poddani, z pewnością nie należało do najprzyjemniejszych. Siedzieli zamknięci w stalowej puszcze, nie mieli pojęcia, dokąd płyną ani co tam na nich czeka, w każdej chwili mogli zginąć. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, problemy, o których myśleli - wszystko mogło zostać w jednej chwili wymazane. Byli zdani na łut szczęścia. A może na Boga? Ale dlaczego Bóg miałby okazać miłosierdzie załodze „Orła”, podczas gdy ich bliscy przeżywali nieznaną katusze? Dlaczego Bóg miałby wysłuchać ich prośb, skoro w większości przypomnieli sobie o Nim dopiero teraz? Każdy myślał w duchu, czy zasługuje na ocalenie. Rachunek sumienia nie wypadł najlepiej, a przez głowy przewijały się wszystkie popełnione błędy i grzechy. Ci przerażeni ludzie liczyli jednak na to, że może ich winy nie są na tyle poważne, żeby otrzymali za nie wyrok śmierci. Z drugiej jednak strony ich matki, ojcowie, siostry i bracia nie uczynili nic tak złego, aby zasłużyć na los, jaki spotkał ich z rąk Niemców.

Pierwszy mechanik Jerzy pilnował maszyn, ale w głębi serca myślał o swoim ojcu, który leżał na łożu śmierci, kiedy „Orzeł” wyszedł w morze. Z pewnością już umarł, ale przynajmniej z przyczyn naturalnych, choć miał dopiero 55 lat. Przeszedł przez życie godnie. Ale co się działo z Krystyną, siostrą? Niedawno skończyła 24 lata, dopiero wchodziła w dorosłość. Była delikatną i niewinną, młodą kobietą. Co się z nią stanie?

A Magda, żona? Jeśli nie zginie od bomby czy kuli, to wypełni ochno wszelkie rozkazy, zgodzi się na każde nowe przepisy, byleby tylko mogła dalej wieść spokojne życie. Jerzy bardzo ją kochał, ale nie miał co do niej żadnych idealistycznych złudzeń. Był pewny, jak zareaguje. Choć smuciła go ta myśl, to wiedział, że zgodzi się na wszystko. Naprawdę wszystko.

38

Posuwali się powoli, ale spokojnie naprzód. Nagle rozległ się dźwięk, jakby ktoś ciągnął metalową kratę po żwirze. Wszyscy zamarli z przerażenia. Feliksowi skojarzyło się to z czymś innym.

- To brzmi jakby pies drapał, że chce wejść do środka - po wiedział drżącym głosem.
- To go wpuść - odparł rozdrażniony Michał. - To nie żaden cholerny pies, ty durniu, to łańcuch kotwiczny od miny.
- Mój pies zawsze tylko raz pukał, kiedy chciał, żeby mu otworzyć drzwi - Feliks ciągnął niezrażony.

- Zamknij się i przestań opowiadać o tym głupim psie. One nie pukają w drzwi - Michał zaczynał się naprawdę denerwować.

- Mówię ci, że to mina.

Wszyscy nagle zamilkli. Kilka metrów od nich znajdował się ładunek wybuchowy. Gdyby nastąpiła eksplozja, nie mieliby szans.

Cisza.

Oczekiwali na śmierć.

Czuli, że wisi nad nimi miecz Damoklesa, który w każdej chwili może opaść. Znów ten dźwięk. Spływali potem. Niektórzy wyobrażali sobie dokładnie kształt kadłuba okrętu podwodnego, usiłując przypomnieć sobie, czy są tam jakieś wystające części, o które mógłby zahaczyć się łańcuch, przyciągając minę. Michał spowodował, że wszyscy skoncentrowali się na niebezpieczeństwie.

Wtem znów ktoś się odezwał.

- Skąd wiadomo, że się umarło? - zapytał cicho starszy mat Jakub, znany hazardzista, ale bardzo bystry członek załogi. Nie wyróżniał się wyglądem, a jego wesołe usposobienie przyciągało do niego ludzi. Często rozpoczynał rozmowy.

- O czym ty mówisz, do cholery? - nerwowo zareagował Michał, zły, że ktoś przejął kontrolę nad sytuacją.

W przednim przedziale torpedowym siedziało osiemnastu ludzi, którzy prawie gotowali się z gorąca. Z rur ściekała skroplona para, a przegrzane przewody i urządzenia podnosiły jeszcze temperaturę. Wilgoć wyciskała z marynarzy siódme poty. Wszyscy wpatrywali się w dziób, znajdujący się parę metrów przed nimi. Wyobrażali sobie, że powoli dopływa do zakotwiczonej miny. Oni zginęliby pierwsi, choć różnica wyniosłaby najwyżej sekundę.

- Skąd wiadomo, że się umarło? - powtórzył z naciskiem Jakub. - Albo inaczej, czy wiesz, że nie żyjesz, i że już nigdy nie zobaczysz nikogo znajomego?

- Czemu ciągle o tym gadasz? - warknął Michał, będąc sam na skraju załamania nerwowego.

- Ja to bym chciał zobaczyć dziewczyny, które poznałem - wtrącił się dziesiętnastoletni Kamil, który słynął ze swojego entuzjazmu dla płci przeciwnej. W gruncie rzeczy wciąż myślał i mówił tylko o jednym. Jego blada, pokryta krostami twarz i pozbawione wyrazu oczy stanowiły wyraźne świadectwo jednostronnych zainteresowań. Zapewne nigdy wcześniej nie rozważał żadnych poważniejszych kwestii.

- To przecież proste pytanie. Teraz żyjesz, a za chwilę umierasz. Czy wtedy budzisz się nagle gdzie indziej? W jakimś innym świecie i myślisz sobie: „O kurde, jestem martwy?” - zastanawiał się dalej Jakub.

- Co o tym myślisz, Łukasz?

Dwudziestosiedmioletniego starszego mata Łukasza traktowano z szacunkiem, ponieważ był jednym z najstarszych spośród niższych stopniem marynarzy. Przed wojną chciał zostać księdzem, ale jego życie potoczyło się inaczej - nieuchronność konfliktu zmieniła przecież

losy milionów ludzi. Pochodził z Wejherowa, które słynęło niegdyś z tolerancji religijnej. Później Kościół protestancki podupadł, a miasto stało się silnym ośrodkiem katolickim. Jego rodzice, pobożni katolicy, wychowali go w wierze - uczęszczał z nimi na prawie każde nabożeństwo. Na początku napędzał go ich entuzjazm, ale gdy dorósł, zaczął zadawać pytania - matka i ojciec nigdy tego nie robili. Cierpienie

i śmierć, o których mówiło się w kontekście nadchodzącej wojny, nie pomagały w wyjaśnieniu wątpliwości młodego chłopaka. Teraz siedział zatopiony w myślach i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to do niego skierowano pytanie.

- Ty chciałeś zostać księdzem, prawda? - spytał Jakub.

- Rozwahałem to, ale teraz to nieważne.

- Co masz na myśli? - drażył dalej Jakub. Łukasz zdążył się już przyzwyczaić, że towarzysze stroją sobie z niego żarty, kiedy rozmowa schodzi na tematy religijne. Zazwyczaj zbywał takie pytanie opryskliwym: „Zapytaj papieża!”.

- To zależy, w co wierzysz - zaczął tłumaczyć. - Jeśli myślisz, że istnieje jakieś życie po śmierci...

- Ja to bym oczekiwał, żeby ktoś tam na mnie czekał i powie dział mi co i jak. Wtedy bym się dowiedział, że jestem martwy - wtrącił Zygmunt.

- To zależy, czy wierzysz w niebo i piekło - dodał ktoś z głębi przedziału, oddalony od rozmówców.

- Teraz jesteśmy w piekle - mruknął ktoś inny - gdziekolwiek indziej byłoby niebo. Kilka osób zaśmiało się cicho, ale generalnie traktowano tę rozmowę poważnie.

- Mam ciekawą teorię na ten temat - włączył się kadet Marek. - Sądzę, że kiedy umierasz, to stajesz przed św. Piotrem. On patrzy na to, co robiłeś na ziemi, i jeśli uważa, że byłeś dobrym człowiekiem, to wpuszcza cię do nieba. Ale jeśli sprawowałeś się marnie, to mówi ci, że nie zasłużyłeś jeszcze na nagrodę i odsyła z powrotem, dając jeszcze jedną szansę. Innymi słowy - idziesz do piekła. - Marek uśmiechnął się, dumny ze swojego odkrywczego pomysłu.

- To oznacza, że z czasem wszyscy dobrzy ludzie trafią do nieba, a wszyscy źli pozostaną na ziemi, więc kiedyś będą tu mieszkać same skończone łajdaki. Będzie zabawnie - stwierdził wesoło Michał. - Większość z nas chyba trochę tu posiedzi.

- Cóż to za nudny świat, w którym żyją tylko dobrzy ludzie - podsumował Eryk. - Koszmar.

Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni.

- A ty co myślisz, Grzegorzu?

- Dlaczego ja?

- Pochodzisz z tego samego miasta co Łukasz. Jesteś wie

rzący?

- To, że ktoś urodził się w Wejherowie, to wcale nie znaczy, że musi być wierzący - odparł lekceważąco Grzegorz. - Miałem studiować prawo, a mój ojciec twierdzi, że nie można jedno cześnie wierzyć w Boga i być prawnikiem. Chciałem mieć stałą i niezłe płatną pracę oraz żonę i dzieci, do których mógłbym wracać.

- I po to wstąpiłeś do cholernej marynarki?

- Bardzo śmieszne. Zgłosiłem się, żeby walczyć, bo czułem, że powinienem. Flota wydawała mi się najbardziej rozsądna. Słyszałem, że najmniej biurokracji i dyscypliny jest na okrętach podwodnych - Grzegorz był prostym mieszczuchem, któremu wydawało się, że służba na morzu będzie bezpieczniejsza niż w armii lądowej czy siłach powietrznych. - Nie miałem zamiaru godzić się maszerować tylko po to, żeby zostać zastrzelonym przez jakiegoś drania z karabinem. Nie marzyłem też o szybowaniu w przestworzach w jakimś pudełku. Gdyby Bóg chciał, żebyśmy latali, to dałby nam skrzydła. Tutaj można przynajmniej dopłynąć w jakieś bezpieczne miejsce albo po prostu utonąć. Słyszałem, że to całkiem miłe doświadczenie.

- Znasz kogoś, kto się utopił? - spytał sceptycznie Jakub.

- To znana prawda - odparł ostro Michał.

- Mówię poważnie z tą śmiercią - nalegał Jakub, starając się odzyskać kontrolę nad rozmową. - Nie mogę sobie wyobrazić, że mnie tu nie ma.

- Jeśli cię tu nie było, to nie mógłbyś sobie tego wyobrazić - Michał znów zaczynał się denerwować.

- Pomyślcie o tym. Jeśli następny ładunek głębinowy eksploduje obok, to po nas. Koniec. I co potem?

Do rozmowy dołączył dwudziestoosmioletni Waldemar, który chciał trochę rozładować napięcie. - Powinniście się cieszyć, że to nastąpi tak szybko. W piechocie albo lotnictwie, jeśli dosięgnie was strzał, możecie być sami, śmiertelnie ranni, więc się w konwulsjach, oślepnąć lub ogłuchnąć. My nie mamy tego problemu. Giniemy razem i błyskawicznie.

-Ale możesz się obudzić na tamtym świecie głuchy lub ślepy - zauważył Grzegorz.

- Nie, to zbyt skomplikowane dla mnie - powiedział Łukasz.

- Ja sądzę, że jak zginiesz, to jest po wszystkim. I tyle.

- Być może - upierał się Jakub - ale czy wiesz, że to już? Skąd masz, cholera, wiedzieć, że już wszystko za tobą?

- Stawiam tygodniową pensję, że nic nam nie będzie - rzekł Jakub trochę niższym tonem, wyraźnie odzyskując rezon. Urodził się w Ostródzie, ale niewiele wiedział o pochodzeniu swojej rodziny. Jego dziadków przesiedlili tam po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, a w tym rejonie mieszkali zarówno Polacy, jak i Niemcy. Był jednak Polakiem i czuł się z tego dumny.

Miał jednak ambiwalentne podejście do wojny. Z jednej strony martwił się oczywiście o swoich bliskich, ale z drugiej czuł pewną ulgę - jako nałogowy hazardzista miał wiele długów, a teraz, kiedy służył na „Orle”, te problemy już go nie trapiły. Zapewne nie będzie musiał tych długów szybko spłacać -jeśli w ogóle.

Ostatnio zakładał się, że Niemcy nie napadną na Polskę w 1939 roku. Ci, którzy przyjęli to wyzwanie, nie domyślili się podstępu - zapewne dlatego, że byli wtedy pijani. Jeśliby przegrał, to odpłynie na okręcie, zanim przyjdzie do spłaty. Za to w razie wygranej z pewnością pojawi się, żeby odebrać pieniądze.

- Typowe - warknął Kamil. - Jeśli zginiemy, to nie będziesz nam mógł oddać, a jeśli nam się uda, to my będziemy musieli ci płacić.

- Ale przecież będziecie zadowoleni, że żyjecie - śmiał się Jakub.

- Naprawdę jesteś głupkiem - rzekł Michał. - To, czy zginie my, czy przetrwamy, nie ma najmniejszego znaczenia.

Cisza.

Nikt nie chciał kłócić się z Michałem. Choć lubili go, to wiedzieli, że nie znosi sprzeciwu. Ten nerwowy chłopak zachowywał się jak bokser, który nie ma z kim walczyć. Jego postura wzbudzała respekt, choć nikogo by raczej nie uderzył. Jednak energia, jaką wkładał w dyskusje, onieśmielała rozmówców.

- Są ludzie, którzy wierzą, że na tamym świecie spotkasz osoby, które znałeś, kiedy żyłeś na ziemi.

- O Boże, mam nadzieję, że to nieprawda - powiedział Michał. - Jeśli zobaczyłbym mojego ojca, to bym go zabił.

- On już by nie żył - zauważył Jakub.

- Coś bym na pewno zrobił - wypalił wściekły - za to, jak mnie kiedyś potraktował.

Znow zapadła cisza; wszyscy myśleli o bliskich, których spotkają po śmierci. Wciąż powracała do nich refleksja, że nie wiedzą, co dzieje się z ich rodzinami i przyjaciółmi, którzy zostali na lądzie, kiedy wybuchła wojna. I że mogą się już nigdy nie dowiedzieć.

Nagle wszystko stało się jeszcze bardziej poważne i smutne.

Okręt posuwał się naprzód. Napięcie powoli opadało.

* *

Na górze również nie działo się dobrze. Kapitan czuł się bardzo źle i właściwie nie panował nad sytuacją. Był poważnie chory. Zanim wpłynęli na miny, siedział zamknięty w swojej kajucie, gdzie raz na jakiś czas odwiedzał go pierwszy oficer. Od kilku godzin znajdował się jednak w sterowni - blady, ponury i cierpiący. Swoim oficerom zakomunikował, że nie chce o tym rozmawiać.

Powiedział, że poradzi sobie, a oni mają raczej przejmować się wykonywaniem rozkazów i przeprowadzeniem „Orla” przez pole minowe.

Okrętem dowodził Bogdan, współpracując przy tym z Jerzym i Piotrem, zastępcą kapitana.

Usiłował przypomnieć sobie to, co zobaczył na mapie w bazie, ale wszystko, co pamiętał, to dwa ciemniejsze obszary. Nie zaznaczono tam układu, ilości czy typu min.

- Niewiele możemy teraz zrobić. Płynmy powoli naprzód i miejmy nadzieję, że nam się uda. Jeśli będziemy zmieniać kurs na ślepo, możemy wpakować się w kłopoty. Nie wiemy przecież nic o tym polu minowym. Nie mamy wyboru - oznajmił Bogdan swym towarzyszom, którzy skinęli głowami na znak zgody.

Następne pół godziny upłynęło w całkowitej ciszy. Nikt nawet nie drgnął. Poczucie zagrożenia zrodziło niedorzeczny lęk - podświadomie myśleli, że jeśli się poruszają, to mogą w ten sposób skierować okręt na minę.

Znów usłyszeli ten dźwięk - kadłub ocierał się o łańcuch. Tym razem brzmiało to jak pisanie kredą po tablicy. Napięcie sięgało zenitu.

Oficer torpedowy Tomasz podszedł do mapy, aby sprawdzić pozycję. Mat Marcin cały czas tam siedział. Nie zamienili ani słowa; traktowali się nawzajem jak powietrze. Cała załoga za-uważała już, że coś jest między nimi nie tak.

Marcin miał kwadratową twarz i podbródek przypominający bryłę granitu. Wyglądał na twardego faceta. Jego wielkie uszy odstawały trochę, więc niektórzy nazywali go za plecami „Słonikiem”, choć każdy wypierał się jak mógł, gdy Marcin o to pytał. Pomimo surowej powierzchowności w rzeczywistości był człowiekiem łagodnym. W młodości miał zostać bokserem, odnosił

nawet pewne sukcesy w tym sporcie, ale zarzucił to, ponieważ nie sprawiało mu przyjemności robienie krzywdy przeciwnikom. Nigdy nie przyszło mu natomiast do głowy, że jemu mogłoby się coś stać - zazwyczaj wychodził z potyczek bez szwanku.

Teraz jednak inne kwestie zaprzętały mu głowę. Choć bronił się przed wspomnieniami, one wciąż powracały do niego.

Myślał o swoim przełożonym, Tomaszu, i jego dziewczynie, Alinie. Od wielu lat byli parą, ostatnio nawet zaręczyli się i snuli plany małżeństwa, ku radości swoich rodzin.

Pewnego dnia Marcin został zaproszony na przyjęcie do domu swojego przyjaciela i tam poznał dziewczynę imieniem Alina. Od razu przypadli sobie do gustu. Zaczął się do niej zalecać, a ona nie pozostawała obojętna - imponował jej, sprawiał wrażenie twardego faceta, który wie, czego chce. Tomasz stopniowo schodził na dalszy plan. Wesele było już prawie związane na ostatni guzik, kiedy w końcu zdecydowała się go porzucić. Uciekła z Marcinem. Nie powiedziała nic Tomaszowi, który domyślał się jednak już wcześniej, że dzieje się coś niedobrego.

Załamał się i wyrzucał sobie, że służba w marynarce pochłonięła go tak dalece, iż zapomniał o wszystkim innym. Kiedy w końcu spotkał Marcina, stracił panowanie nad sobą i rzucił się na niego z pięściami. Przegrał jednak walkę i stracił dziewczynę.

Kilka dni przed rejsem przydzielono go na „Orła”. Wtedy z przerażeniem stwierdził, że na okręcie służy również Marcin, przez którego jego życie legło w gruzach.

Kiedy kapitan powitał Tomasza i chciał przedstawić sobie obydwu mężczyzn, ci stanęli naprzeciw siebie tak zdumieni, że nie byli w stanie wydusić z siebie słowa.

Wydarzenia ostatnich miesięcy przemknęły Tomaszowi przed oczami - ukochana narzeczona, straszna prawda, o której dowiedział się zbyt późno, poniżenie. Marcina przeszły uczucie grozy - zaczynała się wojna, a on znajduje się na okręcie i musi

się stosować do surowej dyscypliny obowiązującej w marynarce. A jego bezpośrednim przełożonym został człowiek, któremu ukradł żonę, którego pobił i zniszczył mu marzenia. Wpatrywali się w siebie, nie mogąc oderwać oczu.

• Widzę, że się znacie - raczej stwierdził, niż zapytał kapitan. Od razu spostrzegł, że coś jest nie tak. Obaj kiwnęli głowami, wciąż nie odwracając od siebie wzroku.

• Z pewnością w przeszłości coś się między wami wydarzyło - zauważył dowódca. Nie chcę o tym wiedzieć. Powiem tylko jedno: jeśli czujecie do siebie jakąś niechęć, musicie natychmiast o tym zapomnieć. Niedługo wybuchnie wojna. Naszym jedynym celem musi być wypełnianie rozkazów i walka z nieprzyjacielem. Mamy się stać skuteczną maszyną do zabijania, w której każdy powtarzam, każdy - zna swoje miejsce. Absolutnie nic nie może stać temu na drodze. Słyszycie mnie?

-Tak jest! - odpowiedzieli natychmiast.

Obaj zastosowali się do tego rozkazu, ponieważ wiedzieli, że nie mają wyboru; trzymali się jednak z dala od siebie. Inni członkowie załogi szybko zorientowali się, że ci dwaj się nie znoszą, ale choć krążyły najróżniejsze plotki, nikt nie odważył ich o to zapytać.

Jednym z tych, którzy dostrzegli antagonizm między obydwoma mężczyznami, był bosman Kazik. Interesowało go to szczególnie, ponieważ dotyczyło mata i oficera. Kazik, jako zawodowy marynarz, wysoko cenił zasady; zdążył już jednak przywyknąć do tego, że na okrętach podwodnych dyscyplina trochę się rozluźnia, ponieważ służba jest bardziej niebezpieczna niż gdzie indziej. Potrafił być bardzo surowy, ale sprawy na „Orle” rzadko tego wymagały.

Tylko raz musiał użyć całego swojego autorytetu - kiedy Michał wściekł się na Jakuba po tym, gdy ten wtrącił się do jego kłótni z Kamilem, mówiąc: „Do Michała trzeba mieć cierpliwość - myślę, że naszło go to, co *zdarza* się każdego miesiąca”.

- Co masz na myśli? - warknął Michał.

-Nic. To z sympatii. Wiem, że to trudne chwile - dodał Jakub, tylko pogarszając sprawę. Michał zamachnął się na niego, ale Jakub zdążył na szczęście w porę odskoczyć. Kazik widział całe zdarzenie. Podwładny zaatakował wyższego stopniem przełożonego, musiał więc zostać ukarany. Nakazano mu przez tydzień czyścić toalety, zarówno oficerów, jak i marynarzy. Michał robił to wielokrotnie, w ramach normalnych obowiązków, ale ciężko zniósł poniżenie, jakie stanowiła kara.

Kolejna godzina minęła spokojnie i wszystkim wydawało się, że niebezpieczeństwo minęło.

- Chyba już przepłynęliśmy - powiedział Bogdan cierpiące mu kapitanowi. - Czy sądzi pan, że powinniśmy wynurzyć się i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza?

Dowódca odwrócił się do niego z wyrazem cierpienia na twarzy. - Zróbmy tak, jak mówisz.

Rozkaz wynurzenia wzbudził wśród załogi wiele emocji. Z początku wszyscy zareagowali z radością i ulgą - mieli dość oddychania powietrzem przesyconym zapachem potu, gnijącego jedzenia, wilgotnych ubrań i niemytego ciała. Równocześnie jednak obawiano się tego, co może

na nich czekać na powierzchni - statków nieprzyjaciela lub min.

Dziób okrętu unosił się powoli i majestatycznie. Załoga przeżyła atak przeciwnika, długi okres pozostawania pod wodą na dużej głębokości oraz przeprawę przez pole minowe. Wreszcie chcieli poczuć się bezpiecznie.

„Orzeł” wyróżniał się na tle innych jednostek. Zbudowano go w Holandii, a fundusze pochodziły częściowo ze składek publicznych. Przekazany polskiej marynarce wojennej w lutym 1939 r., był największym i najnowocześniejszym okrętem podwodnym

operującym na Bałtyku. Polacy w tamtym czasie bardzo potrzebowali dużej jednostki podwodnej na tym trudnym akwenie. „Orzeł” został tak skonstruowany i wyposażony, aby mógł nie dopływać do żadnego portu przez 30 dni. Okazało się to zbawienne i w dużym stopniu przyczyniło się do powodzenia jego misji. Okręt miał 1110 ton wyporności na powierzchni, mierzył 84 metry, był szeroki na 6,7 metra; gdy płynął po powierzchni, jego kadłub był zanurzony na 4,17 metra. Mógł zejść pod wodę na głębokość 80 metrów i przepłynąć ponad 1000 kilometrów z prędkością 10 węzłów na powierzchni, a 160 kilometrów - w zanurzeniu.

W normalnych warunkach członków załóg okrętów podwodnych dobierano bardzo skrupulatnie, starając się, aby ludzie pasowali do siebie nawzajem. Osoby, które chciały służyć na takiej jednostce, powinny być niezawodne, opanowane, zaradne, łatwo przystosowywać się do nowych sytuacji i oczywiście ukończyć z oceną celującą odpowiednie szkolenia. Jednak wypadki potoczyły się tak szybko, że większość wakujących na „Orle” miejsc została uzupełniona w pośpiechu. Złośliwi mówili, że jeśli rekrutujący oficer zajrzał ci w ucho i nie widział na wylot, to zostałeś przyjęty.

Na szczęście jednak załoga szybko utworzyła zgraną drużynę, a większość z jej członków spełniała wymagane kryteria. Tragiczne wydarzenia, których byli świadkami, połączyły ich emocjonalnie.

Właściwie jedynym dysonansem w tej harmonii był konflikt pomiędzy Tomaszem i Marcinem, ale obaj traktowali swoją pracę poważnie i nie pozwolili, aby osobiste animozje przełożyły się na ich stosunki służbowe.

Na okręcie służyła jeszcze jedna „para” - Eryk i Marek; w przeciwieństwie jednak do tych pierwszych była to para przyjaciół. Ci dwaj osiemnastoletni kadeci często rozładowywali napiętą atmosferę. Ich przyjaźń intrygowała kolegów, ponieważ obaj byli jednocześnie podobni i różni. Obaj bardzo serio podchodzili do swojej pracy, ale Eryk sprawiał wrażenie beztróskiego, a Marek poważnego, choć i on czasem się śmiał.

Kiedy ktoś pytał Marka, dlaczego jest kadetem, ten zaczynał tłumaczyć, że w przyszłości chciałby zostać zawodowym oficerem. Jego zdaniem, naukę należało zacząć od poznania codziennych spraw, kłopotów i obowiązków marynarzy niższych stopni. Pytający musiał następnie wysłuchać, że od oficera wymaga się bardzo wiele - musi się znać na sztuce żeglarskiej, nawigacji, prowadzeniu okrętu, działach i torpedach, minach, elektryce, matematyce, sygnalizacji, łączności i wielu innych dziedzinach. Dopiero osoba, która nabędzie całą tę wiedzę, może - wyjaśniał Marek - stać się zawodowym oficerem.

Większość słuchaczy już w połowie takiego wykładu żałowała, że podniosła tę kwestię.

Można powiedzieć, że obaj przyjaciele wynieśli charakter z rodzinnych stron. Eryk, podobnie jak Jarek, urodził się i wychował w Sopocie. Marek pochodził z Tczewa, oddalonego o

35 km od Gdańska. Miasto to stanowiło niegdyś jedną z twierdz Zakonu Krzyżackiego, choć od tego czasu już podupadło; jednak wydaje się, że ta tradycja ukształtowała naszego kandydata na oficera.

Większość członków załogi, w tym oficerowie, mówili o nich „koszmarne bliźniaki”. Obaj mieli irytujący zwyczaj odnoszenia się do rozmówcy, choć przejawiał się on w różny sposób. Wesole, niebieskie oczy Eryka zawsze sięgały gdzieś ponad ramionami jego interlokutora - chyba po to, żeby niczego nie przegapić. Natomiast Marek wpatrywał się swoimi spokojnymi, brązowymi oczami zawsze wprost w osobę, do której się zwracał. Wiele osób

denerwowało się wtedy i czuło nieswojo, nie chcąc brać udziału w takiej walce na spojrzenia. Marek sądził, że dzięki temu może ocenić, czy ktoś mówi prawdę. Za ich plecami żywo dyskutowano o tym, co dzieje się, kiedy ci dwaj rozmawiają ze sobą.

Marek odebrał staranne wykształcenie dzięki zabiegom swojego ojca i własnej determinacji. Natomiast Eryk snił się chyba po nocach dyrektorowi swojej szkoły, który na próżno próbował wbić mu do głowy fizykę, matematykę i biologię. Chłopak sam siebie opisywał jako „średniaka” jeśli chodzi o osiągnięcia naukowe, a nikt nie chciał się z nim spierać w tej materii. Teraz jednak znajomość przedmiotów, co do których nie wykazywał wcześniej specjalnego zainteresowania, miała się okazać niezwykle istotna podczas pełnienia służby.

Różniło ich również podejście do cudzoziemców. Eryk szczerze nienawidził Niemców, a wybuch wojny umocnił go tylko w jego przekonaniu. Marek natomiast nie znosił Rosjan i twierdził, że przez setki lat próbowali oni zniszczyć Polskę.

Łączyło ich jednak bardzo wiele - zamiłowanie do dziewcząt, dobrej zabawy, jedzenia i szachów. Obaj sądzili, że nie mają sobie równych w zalotach, tańcach i grze, ale tak naprawdę nie wyróżniali się w żadnej z tych dziedzin.

Starali się spędzać jak najwięcej czasu w sterowni - sercu okrętu podwodnego. Wierzyli, że najlepiej uczyć się w praktyce, więc z uwagą obserwowali manewry zanurzenia i wynurzenia. W tym pomieszczeniu znajdują się wszystkie najważniejsze instrumenty pokładowe - żyrokompas oraz ster głębokościowy, którego używa się przy schodzeniu pod wodę i wychodzeniu na powierzchnię i który podczas tych czynności trzeba dobrze zgrać z zalewaniem balastów lub wtlaczaniem do nich powietrza. Są tu również pompy kontrolujące trym, czyli ogólną równowagę i stabilność okrętu. Obaj zgadzali się co do tego, że warto tu przebywać.

Okręt wypływał na powierzchnię. Członkowie załogi, zamknięci pod wodą od wielu godzin, pozostający w ciągłym strachu i napięciu, poczuli przyływ ulgi. Wszystko działo się powoli i wpisywało się w naturalny rytm morza. Sprężone powietrze, wtlaczane do balastów, wydawało charakterystyczny syk, a w kadłub zaczęły uderzać fale. Kiedy wynurzył się kiosk, otwarto właz i do środka wpadło upragnione świeże powietrze.

Włączono diesle. Hałas pracujących silników przeciął ciszę. Marynarzy owionęła bryza, kiedy motory zaczęły zasysać do wewnątrz tlen.

W normalnych warunkach na mostek powinien teraz wyjść kapitan, oficer wachtowy i dwóch wartowników.

Marynarze wyszli jako pierwsi, ale okazało się, że dowódca nie jest w stanie wspiąć się po drabince. Z powodu bólu brzucha nie mógł nawet postawić nogi na szczeblu. Najmniejsza próba

ruchu kończyła się grymasem bólu, który wprawiał patrzących w wielki smutek i zakłopotanie. Kapitan bez słowa skinął na oficera wachtowego, porucznika Franciszka, który podążył na mostek.

Dowódca pozostał na dole i patrzył teraz błagalnie na pierwszego oficera, który szybko pojął, o co chodzi. Zwrócił się więc do oficera torpedowego, który stał obok:

- Musimy mu pomóc. Idź pierwszy i złap go za rękę. Ja podeprę go z tyłu.

To była smutna scena - dumny i dostojny oficer, który potrzebuje pomocy, aby dostać się na mostek własnego okrętu i spełnić swój obowiązek. Ci, którzy patrzyli na tę sytuację, odwrócili wzrok i zajęli się czym innym. Tomasz szybko wspiał się na górę, ukląkł i podał kapitanowi dłoń, podczas gdy Bogdan pchał dowódcę od dołu. Zazwyczaj tę drogę przebywało się w trzy sekundy - tym razem trwało to dobre kilka minut. Oficer wachtowy

i sygnaliści *zdażyli* się już upewnić, że okrętowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Kapitan już wcześniej podjął decyzję, co dalej. Rozkazał teraz obrać kurs na zatokę i płynąć połową maksymalnej prędkości naprzód. Świeże powietrze orzeźwiło załogę.

Po dziesięciu minutach pierwszy oficer poprosił o pozwolenie na zejście z mostka. Chciał porozmawiać z Jerzym i Tomaszem.

- Panowie, mamy problem - zaczął. - Kapitan czuje się coraz gorzej, musimy coś z tym zrobić.

Obaj przytaknęli, zdając sobie doskonale sprawę z powagi sytuacji.

- Gdzie jest sanitariusz? - spytał Bogdan.
- Na rozkaz! - zameldował się Leszek.

Tej chwili obawiał się najbardziej na świecie. Nie miał pojęcia o medycynie, a został sanitariuszem - choć nie z własnej winy; zapomniano po prostu o tym stanowisku w ferworze pospiesznych przygotowań. Już po wypłynięciu zdano sobie sprawę, że przydałby się ktoś z odrobiną wiedzy o lecznictwie. Dowódca rozpytywał wśród załogi, zastanawiając się, czy znajdzie się ktoś odpowiedni. W końcu trafił na Leszka.

- To prawda, że twój ojciec jest lekarzem? - zapytał go.
- Tak - odrzekł zapytany, zastanawiając się, o co chodzi i co ma do rzeczy zawód jego rodzica. Nie miał zbyt bliskiej relacji ze swoim ojcem, prawie ze sobą nie rozmawiali.
- Masz jakieś pojęcie o tej profesji?
- Żadnego. Nigdy się tym nie interesowałem, ponieważ nie chcę zostać lekarzem - odparł Leszek, mając nadzieję, że to założy tę dyskusję.

• Trudno - uśmiechnął się kapitan - potrzebujemy sanitariusza i ty nim zostajesz na czas tego rejsu. Wciąż jesteś kadetem, ale będę cię nazywał sanitariuszem - dodał, mając nadzieję, że chłopak potraktuje to jako awans. - Z pewnością coś podłapałeś, słuchając ojca. Mamy tu gdzieś książki - przejrzyj je, zobacz, jakim dysponujemy sprzętem i jakie lekarstwa są na wyposażeniu. Zaczynasz od zaraz - dodał, odprowadzając zakłopotanego Leszka.

Od tego czasu nowy sanitariusz opatrzył kilka skaleczeń i siniaków, wydał parę pigułek na biegunkę i przeziębienie, ale nie miał jeszcze do czynienia z niczym trudnym. Przeczytał podręczniki medyczne od deski do deski. Nauczył się, co to menstruacja, i był pewny, że

będzie wiedział co zrobić, jeżeli któregoś z członków załogi dotknie ta przypadłość - dwie aspiryny załatwią sprawę. Postanowił też, że za nic nie będzie leczył hemoroidów. Teraz jednak sprawa wydawała się poważna.

Bogdan spojrzał na niego.

- Badałeś ostatnio kapitana, co mu powiedziałeś?
- Że nie jestem pewien, co mu dolega, ale obiecałem, że zaj

rzę do książek.

- I co tam wyczytałeś?

• Nie wiem, naprawdę nie wiem. Mam pewne podejrzenia...

• Jakie? - przerwał mu oficer.

• Wygląda mi to na tyfus. Silne bóle głowy i gorączka. Kapitan mówił też, że czuje się bardzo słaby. Zauważyłem wtedy, jak go badałem, że ma jakąś wysypkę pod pachami. W podręczniku podają, że tak się ta choroba objawia.

• Czy to poważne?

• Tak. Tyfus zabił kilka milionów ludzi podczas I wojny światowej. Z tego co wiemy, nie mamy nawet żadnego lekarstwa na pokładzie.

• Zupełnie nic?

- Nie. Dysponuję tylko podstawowymi środkami: bandażami, plastrami, aspiryną, maścią na poparzenia i tak dalej.

- Dziękuję ci - powiedział Bogdan lekceważąco. - Bardzo nam pomogłeś.

Leszek odszedł zmieszany, myśląc: „Boże, mam nadzieję, że się nie mylę”.

Po pół godzinie kapitan zszedł z mostka, znów wspierając się na swoich oficerach, i wrócił do kajuty. Uśmiechnął się słabo, kiedy Bogdan przyszedł do niego, i powiedział: - Nie wygląda to dobrze, prawda?

- Nie, panie kapitanie. Rozmawiałem z Leszkiem, który ostatnio pana badał.

Dowódca skinął głową.

• Nie jest do końca pewien - kontynuował Bogdan - ale sprawdził w książkach i wydaje mu się, że może pan mieć tyfus. Mówi, że to poważne.

• Muszę powiedzieć, że czuję się okropnie - z bólem powiedział kapitan.

• No więc - zaczął niepewnie pierwszy oficer - widać, że bardzo pan cierpi. Sądzę, że byłoby nieuczciwie oczekiwać od pana, aby dowodził pan w takim stanie okrętem. To w dużej mierze kwestia możliwości poruszania się. Jeśli, na przykład, pan znajdowałby się na mostku, a musielibyśmy wykonać manewr awaryjnego zanurzenia, to stanęlibyśmy przed wyborem - ratować pana czy okręt. Pan z pewnością wybrałby okręt, ale ja nie

chciałbym zostać zmuszony do podjęcia takiej decyzji.

- Jestem przekonany, że pański wybór byłby słuszny - uśmiechnął się dowódca.

- Chciałbym zapytać, czy zgodziłby się pan, abym przejął na jakiś czas pańskie obowiązki, oczywiście tylko w wymiarze fizycznym. Mógłby pan odpoczywać w kabinie do czasu, aż na stałaby poprawa. Zdawałbym panu regularnie raport i konsul towałbym się przed podjęciem każdej istotnej decyzji. Musimy jednak jak najszybciej zapewnić panu właściwą opiekę.

- Chcecie się mnie pozbyć? - znów zażartował kapitan.

- Myśleliśmy o tym, ale za dużo byłoby z tym kłopotów - odparł Bogdan, uśmiechając się szeroko. - Na razie pozostawimy pana przy życiu. Ale powinniśmy się zastanowić, jak można by odstawić pana do szpitala.

- Sądzisz, że Leszek ma rację? - dowódca spoważniał.

- Chyba można na nim polegać - odpowiedział szczerze oficer - traktuje swoje obowiązki poważnie. Przeczytał różne podręczniki medyczne, które mamy na pokładzie, i twierdzi, że ma pan wszystkie objawy.

- Aż tak źle? - kapitan zmarszczył brwi.

- Oczywiście nie możemy być pewni, ale chyba trzeba zakładać najgorsze. Najważniejsze teraz to uzyskać dla pana odpowiednią pomoc medyczną.

W tym momencie do kajuty wszedł pierwszy mechanik Jerzy. Minę miał nietęgą.

- Mamy problem - powiedział.

O, Boże! Tylko nie to - pomyślał Bogdan.

Jerzy spojrzał na kapitana i przypomniał sobie o swoim ojcu, którego zostawił umierającego na łodzi. Teraz kolejna osoba, którą uważał za autorytet, wygląda, jakby miała niedługo odejść.

Tuż przed wypłynięciem Jerzy przybył do portu i nadzorował ostatni przegląd silników i części zamiennych, kiedy wywołano go do telefonu. Dzwoniła jego siostra. Powiedziała mu, że lekarze twierdzą, iż ojciec długo już nie pożyje. Chciał jeszcze przed śmiercią zobaczyć syna. Jerzy znalazł się w sytuacji bez wyjścia - zaczynała się wojna, jego okręt miał zaraz wypływać, a umierający tata prosił go, aby przy nim pozostał. Pytał sam siebie, co jest dla niego ważniejsze - miłość do ojca i spełnienie jego ostatniego życzenia, czy obowiązek wobec ojczyzny.

Tak naprawdę nie miał wyboru. Mógłby wrócić do domu i pożegnać się z ojcem. Gdyby jednak porzucił okręt w krytycznej sytuacji, nigdy by sobie nie darował, że opuścił towarzyszy w potrzebie. Dla ojca nie było już ratunku, a Jerzy stanowił niezwykle ważne ogniwo w załodze.

Odpowiadał za dwa potężne wielocylindrowe silniki diesla, które napędzały dwie główne śruby i ładowały akumulatory. Obsługiwał również dwa elektryczne silniki, dzięki którym okręt mógł płynąć pod wodą, a także sprężarki powietrza, których używano podczas wypychania wody z balastów przy wynurzaniu, wystrzeliwania torped oraz wyrównywania trymu. Dbał również o sprzęt, służący do odparowywania i skraplania ciekłego paliwa.

- To sprężarka - wyjaśnił - jest mocno popękana. Również ewaporator się zepsuł. Sądzę, że te uszkodzenia powstały pod czas ostatniego wybuchu ładunku głębinowego.

- Dasz radę to naprawić?

- Nie na morzu, panie kapitanie. Musielibyśmy wpłynąć do stoczni. Nie trwałoby to długo, ale nie możemy tego zrobić teraz.

- Co się stanie, jeśli to nie będzie działać?

- Skuteczność okrętu bardzo się zmniejszy, aż w końcu sta niemy na dobre. Myślę, że przy odrobinie szczęścia dalibyśmy radę dopłynąć do jakiegoś neutralnego portu.

Dowódca odwrócił się do pierwszego oficera, uśmiechając się szeroko. - Bogdanie, teraz ty dowodzisz. Zajmij się tym.

- Dziękuję bardzo, kapitanie - odparł Bogdan.

Rozdział 4

Kapitan wstał z wyraźnym trudem. - Chciałbym teraz odpocząć. Przejmij okręt - powiedział do Bogdana. Nie chciał wprawiać oficerów w zakłopotanie; teraz pewnie będą rozprawiać nad jego losem. Jerzy i Bogdan wyszli, kierując się w stronę mesy.

Oficerowie zebrali się razem. Dołączył do nich Franciszek, który wcześniej pełnił wachtę na mostku. Pozostali wciąż nie mogli się do niego przyzwyczaić. Kiedy pierwszy raz pojawił się na pokładzie „Orła”, Michał od razu ocenił, że wygląda jak „cholerny nauczyciel”.

Rzeczywiście, często widziano tę zgarbioną postać czytającą książkę. Cechowało go również podręcznikowe podejście do sytuacji. Michał nie pomylił się - Franciszek przez ostatnich osiem lat pracował jako nauczyciel w liceum w Sopocie. Studiował historię i rozumiał sytuację międzynarodową. Doszedł do wniosku, że wojny z Niemcami nie da się uniknąć, więc wstąpił do wojska, chcąc niejako uprzedzić fakty. Żył i pracował blisko morza, toteż zaciągnął się do marynarki. Nie miał pojęcia o działach i broni, więc postanowił nauczyć się nowych umiejętności w szkole artyleryjskiej. Wyróżniał się i został zauważony - zdobył kwalifikacje, a jego pozycja społeczna przekonała ostatecznie władze. Otrzymał awans - Polska potrzebowała zdolnych oficerów.

- Zdecydowałem, co powinniśmy zrobić - powiedział Bogdan - ale chciałbym zasięgnąć jeszcze waszej opinii. Musimy ja! najszybciej dostarczyć kapitana do szpitala, więc na nic zda si[^] zawinięcie do jakiegoś niewielkiego portu na wybrzeżu. Powinniśmy też dokonać napraw, a do tego potrzebujemy stoczni. Cc myślisz, Piotrze? - spytał.

- Sztokholm - padła szybka odpowiedź. - Z pewnością mają tam dobry szpital. Sądzę, że inne uszkodzone jednostki również tam popłynęły. Moglibyśmy uniknąć internowania, gdybyśmy zo

stawili dowódcę w pontonie przy brzegu, choć myślę, że Szwedzi zgodziliby się go odebrać z okrętu, gdybyśmy ich poprosili. Jeśli dowiedzą się, w jakim jest stanie, to chyba okażą współczucie. W końcu są po naszej stronie, prawda?

Bładobłękitne oczy Tomasza błędziły po pomieszczeniu, jak gdyby oficer myślał zupełnie o czymś innym. Jednak teraz spojrział na mówiącego z niesmakiem. - Zastanowiłeś się nad tym, w jaki sposób mielibyśmy go załadować na ponton lub na jakikolwiek inny statek? Poza tym w Sztokholmie chyba nie ma morskiej stoczni - to w sumie cywilny, pasażerski port.

— W grę wchodzi jeszcze Ryga, choć nie wiem, czy Łotysze okażą się pomocni - zasugerował Andrzej - oni czasem dziwnie się zachowują. Nie wiem, czy ich stocznia dysponuje sprzętem, który potrzebujemy. Otwartą kwestią pozostaje również to, czy jedynie sympatyzują z Niemcami, czy też są im podporządkowani. Wszystkie porty, do których moglibyśmy zawinąć, znajdują się w odległości od 300 do 400 kilometrów, co oznacza w najlepszym wypadku trzy do czterech dni żeglugi, w zależności od pogody i aktywności nieprzyjaciela. W ciągu dnia i tak musimy pozostawać zanurzeni, chyba że będzie bardzo kiepska widoczność.

Inni oficerowie spojrzeli na niego zdziwieni, zastanawiając się, dlaczego mówi takie oczywistości. Andrzej był odpowiedzialny za to, aby praca na okręcie przebiegała bez zarzutu. Stanowił również obiekt drwin, ponieważ miał w zwyczaju dotykać wszystkiego, obok czego przechodził, niczym pan na włóściach podczas inspekcji.

- Noce stają się coraz dłuższe - zauważył Tomasz. - A jaka prognoza pogody?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Bogdan - z tego co wiem, Sławomirowi nie udało się złapać żadnej od dość długiego czasu. Pewnie wszyscy mają co innego na głowach.

- Dzisiaj mamy zachmurzone niebo i spokojne morze, choć robi się trochę zimno - rzekł Tomasz, który jako ostatni pełnił służbę na mostku. - Miejmy nadzieję, że taka pogoda się utrzyma.

- Tallin - powiedział nagle i niespodziewanie Jerzy. - Myślałem dużo o tym i wydaje się, że to jedyna możliwość, a zarazem całkiem rozsądna. Porządny port, z małą, ale dobrze wyposażoną stocznia, która odpowiada zresztą potrzebom ich niewielkiej, ale nowoczesnej floty. Wydaje mi się, że Rosjanie używali kiedyś Tallina jako bazy dla marynarki wojennej. Z pewnością w okolicy znajduje się szpital, a Estończycy powinni być dla nas w miarę mili, bo nie lubią Niemców.

- A kto lubi? - wtrącił się Piotr, zdziwiony, że powściągliwy i cichy zazwyczaj mechanik zdecydował się na tak długi wykład. Inni oficerowie milczeli, zastanawiając się nad tą propozycją.

- *Zgadzam się całkowicie* - odezwał się w końcu Bogdan, po raz pierwszy od początku rozmowy. - To nie tylko najlepszy wybór, ale pewnie jedyny, jaki mamy. Musimy ustalić warunki czasowego azylu w neutralnym porcie. Zawołajmy Ryszarda, on wyjaśni nam na pewno kwestie prawne.

Ryszard spodziewał się wezwania i czekał tuż za drzwiami. Teraz szybko dołączył do

dyskutantów. Służył już długo w marynarce jako starszy bosman sztabowy i miał opinię człowieka, który wie wszystko - choć sam się nie wywyższał. Był samoukiem, pożerał książki i znał się na bardzo wielu dziedzinach. Nazywano go „prawnikiem pokładowym”, ponieważ regulacje morskie nie miały dla niego tajemnic.

Pochodził z Poznania i każdemu swojemu rozmówcy tłumaczył, że czas powstania tego miasta sięga początków państwa polskiego, i że Poznań zaliczał się zawsze do głównych miast w Polsce - kiedy wzrosło znaczenie Krakowa, podupadło Gnie-

zno, ale Poznań pozostał bardzo istotnym ośrodkiem. Ryszard również chciał sprawiać wrażenie, że jego obecność jest bardzo ważna.

Miasto ucierpiało w wyniku inwazji szwedzkiej w XVII wieku, a później zostało włączone do Prus i zmieniło nazwę na „Po-sen”. Dopiero w 1918 roku znów powróciło do swojej pierwotnej nazwy. Ryszard świetnie znał historię swych rodzinnych stron, był z niej dumny i zawsze bardzo chętny, aby zanudzić słuchaczy na śmierć opowiadaniem wszystkich szczegółów.

Wśród załogi miał przydomek „Profesor”. Przewisko ukuto po pewnym przypadkowym, choć znamionym wydarzeniu. Podczas pełnienia służby na mostku jeden z wartowników wskazał na bardzo jasny obiekt na niebie i wykrzyknął: „Patrzcie, jaka jasna gwiazda!”

- To nie gwiazda - powiedział swobodnym tonem Ryszard - to planeta Wenus, czasem mylnie nazywana gwiazdą wieczorną. Jedno z najjaśniejszych ciał niebieskich, druga planeta od Słońca. Łatwo rozpoznać, że to nie gwiazda, ponieważ nie migocze, ma stałe światło. Gwiazdy migoczą, ponieważ znajdują się w bardzo dużej odległości od Ziemi.

Jakub spojrział na niego z szacunkiem. - A ty co, profesor? - zapytał, śmiejąc się.

- Nie, po prostu to wiem - odrzekł Ryszard. Ale przewisko zostało.

Bosman zwrócił się teraz do Bogdana, zadowolony, że znów może się pochwalić swoją wiedzą.

- Zgodnie z porozumieniem, podpisanym przez państwa neutralne w 1907 roku, uzbrojone okręty krajów znajdujących się w stanie wojny mogą ubiegać się o dwudziestoczterogodzinny azyl w neutralnym porcie, w celu przeprowadzenia niezbędnych napraw, przywracających zdolność do żeglugi, ale nie mogą w ten sposób zwiększać swojej zdolności bojowej. Państwo neutralne decyduje o tym, które naprawy są konieczne. Taki okręt nie może opuścić portu, jeśli nie upłynęły 24 godziny od odejścia ostatniego statku handlowego, pływającego pod banderą nieprzyjaciela.

• Dziękujemy ci - uśmiechnął się pierwszy oficer - wiedziałem, że będziesz miał o tym jakieś pojęcie.

• Jeżeli dobrze pamiętam - ciągnął dalej Ryszard, niezrażony ironią Bogdana - prawo Estonii, wprowadzone w zeszłym roku, zabrania okrętom wojennym i uzbrojonym okrętom podwodnym państw znajdujących się w stanie wojny wpływania na estońskie wody terytorialne. Jeśli jednak okręt podwodny został zmuszony przez pogodę lub uszkodzenia do wejścia na zakazany obszar,

musi ujawnić swoją obecność międzynarodowym kodem sygnałowym. Musi również opuścić te wody, jak tylko ustanie przyczyna, która zmusiła go do tego manewru. Tak, właśnie tak to chyba szło.

- Jesteś krynicą wiedzy - powiedział oficer, kładąc Ryszardowi rękę na ramieniu - bardzo nam pomogłeś.

- To chyba przesądza sprawę; kierujemy się na Tallin, cała naprzód. Jaką możemy rozwinąć prędkość, Jerzy?

- Pięć węzłów pod wodą, dziesięć na powierzchni. Wiem, że powinniśmy dotrzeć tam jak najszybciej, z powodu kapitana, ale musimy myśleć perspektywicznie i oszczędzać paliwo. Nie wiadomo, kiedy będziemy mogli uzupełnić zapasy - odparł mechanik.

- Zgoda, informuj mnie o wszystkim na bieżąco, szczególnie nie o zużyciu paliwa. Chcę dostawać co godzinę raport o stanie okrętu i prognozie pogody. Kiedy zbliżymy się do Tallina, będziemy musieli powiadomić tamtejsze władze, wyjaśnić naszą sytuację i liczyć na to, że ją zrozumieją. Chciałbym, żebyś został moim zastępcą; to jedyna zmiana organizacyjna, jaką proponuję w zaistniałej sytuacji - zwrócił się do Piotra, który skinął głową. Wszyscy spodziewali się tej decyzji.

Wysoki i szczupły Piotr przypominał trochę orła - jego głowę wieńczyła korona blond włosów. Nigdy nie przypatrywał się

bezczyinnie temu, co się dzieje. Zawsze opanowany i świetnie poinformowany, niewiele mówił, a odzywał się tylko wtedy, kiedy miał coś do powiedzenia. Nie brał udziału w zwyczajowych pogawędkach w mesie czy na pokładzie. Inni oficerowie oraz marynarze niezwykle go szanowali, a on odplącał im wielkim przywiązaniem do okrętu, kapitana i Bogdana.

Teraz nowy dowódca złożył ręce i rzekł: - Dobra, do roboty. Porozmawiam z kapitanem i powiem mu o naszych planach - wstał, uśmiechnął się i wyszedł.

Piotr był jednym z najbardziej doświadczonych oficerów na pokładzie. Zdecydował teraz, że natychmiast przejmie nowe obowiązki. Udał się na mostek, aby wypytać Franciszka o sytuację. Czuł się zadowolony z nowej, odpowiedzialnej funkcji. Miał nadzieję, że pozwoli mu to zapomnieć o wydarzeniach ostatnich tygodni.

Na kilka dni przed wypłynięciem na „Orle” otrzymał list od swojej żony Marty, która pojechała wcześniej do jego matki, obawiając się wojny. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio dostał list; w gruncie rzeczy nie mógł sobie przypomnieć, czy w ogóle kiedykolwiek przyszła do niego jakaś poczta. Nie znał nikogo, kto chciałby do niego napisać lub miał na tyle ważną wiadomość, żeby to uczynić.

Piotr trzymał jednak w ręku szarą kopertę, na której znajdowało się jego nazwisko i którą najwyraźniej podrzuciła mu pod drzwi osoba prywatna, jako że do wioski, w której mieszkał, nie dochodziła poczta. Charakter pisma zdradzał pośpiech i zdenerwowanie. Marta przepraszała go bardzo, ale miała nadzieję, że zrozumie. Spotkała kogoś innego, nieznanego mu. Zakochała się w tym człowieku, a przecież miłości się nie planuje, ona się po prostu przytrafia. Chciała go

poślubić, ale do tego potrzebowała oczywiście rozwodu. Sądziła, że Piotr się zgodzi. Przecież nie ma sensu pozostawać w związku, jeśli nie kocha się drugiej osoby. A poza tym, zawsze czuła się bardzo samotna, kiedy mąż wyjeżdżał.

Kiedy minął już szok, pierwszą reakcją Piotra było: „Boże, nigdy w życiu nie dam jej rozwodu. Nie pójdzie jej tak łatwo. Będę walczył”. Od tego czasu wciąż o tym myślał, a jego nastawienie ciągle się zmieniało - od silnego postanowienia „po moim trupie” do współczującego „niech jej będzie”. Nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji.

Teraz jednak skupił się na bieżącej sytuacji. Miał swoje przekonania i często nie *zgadzał* się z pierwszym oficerem, ale mimo to stanowili parę dobiych przyjaciół. Uważał, iż to bardzo dobrze, że Bogdan przejął dowodzenie. Przyszłość rysowała się niepewnie, ale nie znał człowieka, który byłby lepiej przygotowany do radzenia sobie z trudnościami.

„Orzeł” płynął teraz na północny wschód, opuszczając Zatokę Gdańską. Przez cały czas niemieckie trałowce przeszukiwały akwen. Powierzchnię morza patrolowały również samoloty. Wiele razy zdarzyło się, że okręt musiał dokonać awaryjnego zanurzenia, bo podczas tych kilku godzin w środku nocy, kiedy wypływano na powierzchnię, aby naładować akumulatory, zauważano zbliżający się statek nieprzyjaciela. Jasny, jesienny księżyc nie ułatwiał sytuacji, bo choć jeszcze nie był w pełni, pomagał przeciwnikowi, oświetlając wodę i bezchmurne niebo.

Pewnej nocy wartownikom na mostku wydawało się, że w bladej księżycowej poświacie dostrzegają kształt „Sępa”, bliźniaka „Orła”. Od tak dawna nie widzieli żadnej polskiej jednostki! Wszyscy skierowali swoje lornetki na czarną, niewyraźną plamę, która jednak znikła, zanim mogli się jej dobrze przyjrzeć.

- Co wiesz o Morzu Bałtyckim? - spytał Jerzego, który wyszedł pooddychać trochę świeżym powietrzem, pełniący wachtę Tomasz.

- Wiem, że nie jest to dobre miejsce dla okrętu podwodnego, gdy toczy się wojna. Na wschodzie znajdują się niezbyt nam

przychylne państwa neutralne, a na zachodzie - śmiertelny wróg, który zajął w dodatku wybrzeże południowe.

- A poza tym? - uśmiechnął się Tomasz.

- Są tu cztery duże wyspy, ale dla nas najistotniejsze to Bornholm i Gotlandia. Średnia głębokość waha się między 30 a 60 metrów, ale sporo tu również mielizn. Wiatr może sprawiać kłopoty, szczególnie jeśli wieje ze wschodu, a zrywa się niespodziewanie. Na akwenu znajdują się trzy duże zatoki - Fińska, Botnicka i Ryska. My kierujemy się w stronę Zatoki Fińskiej. Prawą burtą miniemy dwie mniejsze wyspy, leżące niedaleko wybrzeży Estonii - wyjaśniał Jerzy.

- Wszystko jasne - odparł Tomasz. - Ale co, jak już opuścimy Tallin?

- W tym cały problem. Możemy kręcić się po Bałtyku i polować na Niemców, aż skończą nam się torpedy, paliwo i jedzenie, albo spróbować dokonać niemożliwego - przedrzeć się na Morze

Północne, przez wąskie cieśniny pomiędzy Danią a Szwecją, które z pewnością pełne są niemieckich okrętów wojennych.

- Nie myślimy o tym teraz - zdecydował Tomasz.

Na mostek wszedł Marcin. - Mam przejąć teraz wachtę? - spytał.

- Dlaczego nie - ostro odparł Tomasz - przecież przejąłeś także wszystko inne.

- Sądziłem, że na razie o tym zapomnimy. Rozwiążemy ten problem, kiedy to wszystko się skończy - cicho odpowiedział Marcin.

- Może tobie udaje się zapomnieć, ale mnie nie - warknął Tomasz. - Kurs 45°, prędkość dziesięć węzłów. Jeśli coś zobaczysz, to zgłoś to Bogdanowi. Nic więcej nie musisz wiedzieć - oficer odwrócił się, zdawszy wachtę.

Tadeusz stał trochę z tyłu, oddychając świeżym powietrzem.

Słyszał tę wymianę zdań i przywiodło mu to na myśl jego własne problemy osobiste, o których nie chciał pamiętać.

Sześć miesięcy temu zmarł mu ojciec i jego matka Irena została sama w małym domu w Lipnie, 25 kilometrów od Torunia, w którym mieszkał ze swoją żoną, Beatą. Dzwonił często do niej, ale martwił się, że żyje samotnie, zwłaszcza że zbliżała się wojna. Wymyślił jednak rozwiązanie, które wydawało mu się najrozsądniejsze: jego matka przeprowadziłaby się do nich, kobiety dotrzymywałyby sobie towarzystwa, a on nie musiałby się o nie zadrećcać. W teorii wszystko wyglądało dobrze, ale wkrótce okazało się, że idealny plan ma swoje wady, które z dnia na dzień kładły się coraz większym cieniem na stosunki panujące między nimi.

Po pierwsze, Irena wciąż krytykowała sposób, w jaki Beata* prowadziła dom. Skarżyła się synowi, wciąż na nowo wywołując napiętą sytuację: „Ja bym tego tak nie zrobiła”, „Uprzątnęłabym to inaczej”, itd. Tadeusz widział w oczach matki ciągłą dezaprobatę.

Gdy ta poczuła się bardziej pewnie, zaczęła otwarcie narzekać. Beata nie pozostawała jej dłużna, więc w domu wybuchały regularnie kłótnie. Czasem, gdy wracał po pracy, okazywało się, że kobiety nie odzywają się do siebie i w ogóle nie zauważają się nawzajem. Później, bez wyraźnego powodu, godziły się i sprzy miały przeciw niemu, krzycząc na niego za każde najdrobniejsze uchybienie. Potem wszystko zaczynało się od początku.

Tadeusz zastanawiał się, jak rozwiązać tę sytuację. Jeśli prze trwają wojnę, to czy będą chciały jeszcze razem mieszkać? Jedną nakże znał dobrze zarówno żonę, jak i matkę, i wiedział, że ich przekorne charaktery spowodują, iż teraz będą się opiekować sobą nawzajem. Westchnął ciężko - ze świadomością, że nigdy nie zrozumie kobiet.

Zamyślony oficer ocknął się na okrzyk wartownika: - Zbliżają się samoloty, na prawo od dziobu!

- Natychmiastowe zanurzenie! - wrzasnął Marcin, przynajmniej gładząc marynarzy i zbiegając z drabinki zaraz za Tadeuszem. Za trzaśnięciem właz w momencie, kiedy znajdował się już na równi

z powierzchnią wody. Dla postronnego obserwatora mogłoby się wydawać, że na okręcie wybuchła panika - członkowie załogi biegali we wszystkie strony, zajmując swoje stanowiska. W rzeczywistości jednak ćwiczone ten manewr setki razy.

Po kilku sekundach zapadła całkowita cisza; wszyscy siedzieli na swoich miejscach, a okręt stopniowo zanurzał się. Dotychczas wszystko szło zgodnie z planem, ale nagle zorientowano się, że coś jest nie tak. Głębokościomierz pokazywał, że wynurzają się, zamiast schodzić głębiej pod wodę. Coś pchało ich z powrotem na powierzchnię, gdzie czekały już jednostki nieprzyjaciela. Poczuł oddziaływanie fali, co znaczyło, że zbliżają się już do poziomu morza.

-Zanurzenie awaryjne! -wrzasnął Bogdan, usiłując przekrzyczeć wycie syreny alarmowej. Okrętem zatrzęsło tak, że wszyscy upadli na ziemię. Marynarze podnosili się powoli - poobijani, zdenerwowani i zdumieni.

Otwarto wszystkie zawory i rozpoczęło się nerwowe oczekiwanie. Z początku nic się nie działo - przez kilka kolejnych sekund, które niemiłosiernie się dłużyły, okręt pozostawał nieruchomy blisko powierzchni. Nagle jednak usłyszano hałas wlewającej się do balastów wody, który brzmiał tak, jak gdyby rzeka przerwała tamę. Głębokościomierz zareagował natychmiast, niczym termometr włożony do gotującej się wody - 10 metrów, 20, 30, 40, 60. Zanurzali się z wielką prędkością. W końcu strzałka wskaźnika zatrzymała się i wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Bóg jeden wie, co się stało - powiedział głośno Bogdan.

-Ale teraz już chyba w porządku. Wróćmy na 35 metrów - dodał już spokojnie. Okręt zaczął się powoli wznosić, a marynarze wrócili na swoje stanowiska, starając się uspokoić.

Dowódca polecił, aby część ludzi pozostała na posterunku, a reszta poszła coś zjeść i odpocząć. Wszyscy wiedzieli, że teraz należało się jeszcze bardziej skoncentrować i trzymać nerwy na wodzy. Upewniał ich w tym głos Bogdana - nowy kapitan nie dawał po sobie poznać, że wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

Na dolnym pokładzie, niedaleko kambuza, gdzie o tej porze panował zazwyczaj spokój, siedział Leszek, opierając się o skrzynki z jedzeniem. Podszedł do niego zdenerwowany Kamil.

- Mogę z tobą pogadać?

- Pewnie, o co chodzi?

- To sprawa osobista.

-Więc?

- Moglibyśmy pójść gdzieś, gdzie można spokojnie porozmawiać?

- Co? Na okręcie?

- Musi być gdzieś takie miejsce; może tu, koło sprężarki?

Przeszli cicho i schowali się za urządzeniem. Wokół nich nie było nikogo.

- Z czym masz problem? - spytał Leszek.

- Bardzo mnie swędzi - odpowiedział zmartwiony marynarz.

- Gdzie?

- Tani, na dole - wyjaśnił tajemniczo Kamil.

- Na dole gdzie?

- Mój mały... - syknął, zawstydzony.
- Twój mały? Znaczący członek?
- Tak.
- Ale jak swędzi?
- Mocno i ciągle. Nie mogę tego znieść. Jest cały czerwony.

To może być jakaś choroba.

- Wcale mnie to nie dziwi; wiem, jak się prowadzisz - stwierdził Leszek.

Kamil słyszał z aktywności seksualnej, przejawianej podczas postoju okrętu w porcie. Zawsze chwalił się tym i opisywał swoje podboje ze wszystkimi szczegółami. Miał pewną ulubioną historię, którą opowiadał przy każdej okazji. Wrócił kiedyś na pokład z podrapaną twarzą. Nikt nie pytał dlaczego, bo nie chcieli o tym słuchać; ale oczywiście natychmiast wszystkich poinformował. Z wielką lubością rozwodził się nad tym, jak to poszedł do łóżka z dwiema kobietami. Kochał się najpierw z jedną, zasnął, a potem kochał się z drugą. Okazało się jednak, że się pomylił i była to ta sama. Wtedy ta druga rzuciła się na niego z pazurami, sina z wściekłości.

- Daj mi obejrzeć - rzekł Leszek.
- Chyba jesteś nienormalny, nic ci nie pokażę. To sprawa osobista.

• Nie bądź głupi. Skąd mam wiedzieć, jak cię wyleczyć, jeśli nie zobaczę. Wiem, jak wyglądają, sam mam takiego.

Kamil z ociąganiem opuścił spodnie, patrząc jednocześnie w górę.

• Chryste - szepnął Leszek po chwili - schowaj go, bo przez straszysz delfiny. Wygląda okropnie.

- Co mam robić?

• Nie mam zielonego pojęcia. Sugerowałbym, aby go umyć, ale nie możemy marnować słodkiej wody. Spróbuj wymoczyć go w morskiej wodzie. Nabierz do pojemnika następnym razem. Dam ci też trochę wazeliny do nałożenia. Miejmy nadzieję, że to pomoże, ale nie jestem pewien. Żaden ze mnie lekarz - powiedział ze złością Leszek.

• Masz się chyba nami zajmować, nie? W końcu zostałeś sanitariuszem.

• Mam się opiekować tymi, którzy naprawdę są chorzy, a nie tymi, którzy złapali syfa.

Kamil odszedł zmartwiony, zawstydzony i nieszczęśliwy. Za to Leszek uśmiechał się w duchu i myślał: „Każdy w końcu dostaje za swoje”.

W tylnym przedziale torpedowym znajdowało się około 20 ludzi, którzy rozmawiali półgłosem. Nagle usłyszano krzyk - Zepsuł mi się zegarek! Nie mogę go nakręcić!

• Na morzu dzieją się gorsze rzeczy - skomentował ktoś zjadliwie.

• To nie jest śmieszne. Muszę wiedzieć, która godzina. Poza tym, to pamiątka rodzinna. Marynarz Grzegorz chciał zostać

prawnikiem, ale los sprawił inaczej. Był bardzo drobiazgowy i trochę nadęty, jak przystało na przedstawicieli tej profesji.

- Przecież to żadna różnica, która godzina, jak jesteśmy pod wodą. Nie znam nawet dzisiejszej daty. Co mnie obchodzi twój cholerny zegarek! Sam jestem na skraju załamania nerwowego. Nie będziemy o tym gadać! - zdenerwował się kadet Eryk.

- Daj go Janowi, on w cywilu pracuje jako zegarmistrz, może ci naprawi, jak go poprosisz - wtrącił się ktoś bardziej uprzejmy.

Wszyscy spojrzeli na radiotelegrafistę, który właśnie skończył służbę. Jan świętował niedawno dwudzieste drugie urodziny. Był człowiekiem pełnym energii i zapału. Wyróżniał się wyglądem, ponieważ jego złamany nos sterczał na dwie strony; zdobył tę niezbyt miłą pamiątkę, kiedy ktoś chciał odbić mu dziewczynę, a on próbował temu przeszkodzić. Miał ciemne, bystre i ruchliwe oczy; widział wszystko, co się działo, nic nie stanowiło dla niego zaskoczenia.

Naprawdę pochodził z zegarmistrzowskiej rodziny. Tą profesją parał się jego ojciec, dziadek, pradziadek i chyba wszyscy przodkowie w linii męskiej. Żartował, że jego rodzina kontroluje czas. Właściwie wszystkie dowcipy, jakie opowiadał, związane były z mierzaniem czasu.

Urodził się w Szczecinie, ale jego matka i ojciec nigdy nie widzieli morza, choć mieszkali 50 kilometrów od wybrzeża. Nie zraziło go to jednak. Gdy zbliżała się wojna z Niemcami, wstąpić do marynarki, chcąc bronić ojczyzny.

Sądził, że dzięki temu pozna również kawałek świata. Oczywiście rodzina nie ucieszyła się zbytnio z tego wyboru, obawiając się o ciągłość zegarmistrzowskiej tradycji i nie dostrzegając zupełnie faktu, że wojna zapewne zniszczy wszelkie przejawy dawnego stylu życia. Ale Jan uczynił tak, jak postanowił i zaciągnął się do służby na okrętach. Wydawało mu się, że do naprawy zegarków potrzeba podobnych umiejętności co do obsługi radiostacji, więc zdecydował się zostać radiooperatorem. Miał również nadzieję, że ten zawód wiąże się z prestiżem.

- Mój ojciec jest zegarmistrzem, ja nie. Tak naprawdę wiem o tym bardzo niewiele. Jeśli nie możesz go nakręcić, to zapewne pękła sprężyna. Niewiele mogę na to poradzić.

- Mógłbyś chociaż zajrzeć i upewnić się, że to sprężyna.
- Dobra, pokaż.

Otworzył kopertę i spojrział na mechanizm. - Zepsuta - zawyrokował - ale może jest nadzieja. Bez lupy nic więcej się nie dowiem, ale może być tak, że odczepiła się po prostu końcówka sprężyny. Mógłbym to naprawić, gdybym miał młotek i dłuto.

-Co?!

- Żartuję przecież. Gdybym miał lupę i maleńkie szczypce, to pewnie dałbym radę coś z tym zrobić, ale nie sądzę, że dysponuję takimi narzędziami na okręcie podwodnym.

- Dlaczego nie zostałeś zegarmistrzem, skoro to rodzinna tradycja w twoim domu?

- Pomyśl tylko: każdy członek mojej rodziny, łącznie z psem, zajmuje się zegarkami. Jeśli mój pies leżałby teraz u twoich stóp, to podniósłby się, gdybyście tylko zaczęli o tym mówić, podrapał się i zaczął tykać. Nic innego nie ma dla nich znaczenia - matka i ojciec rozmawiają tylko o zegarach. Przy każdym posiłku! Je dyne osoby, jakie kiedykolwiek pojawiają się w ich dyskusjach,

również muszą mieć z nimi coś wspólnego. Zapewne nawet pod czas uprawiania seksu mierzą sobie czas! Dobiegają sześćdzie siatki i nigdy nie widzieli morza, choć mieszkamy rzut beretem od wybrzeża. Doszły mnie słuchy, że na świecie istnieją jeszcze jakieś inne miejsca oprócz Szczecina, więc gdy stało się jasne że wybuchnie wojna, zdecydowałem się wstąpić na ochotnika marynarki, zamiast czekać na powołanie do armii lądowej. Szkołę miałem na radiotelegrafistę i zgłosiłem się później do służby na okrętach podwodnych, żeby zobaczyć jakieś ciekawe miejsce na świecie. Zamiast tego oglądałem tylko morze, i to od środka. Właściwie jestem zadowolony, ale martwię się o moich dwóch młodszych braci. Nie wiem, co się z nimi teraz dzieje - doda w zamyśleniu.

Rozmowa ucichła. Słuchacze zaczęli wspominać swoich bliskich. Każdy się o kogoś obawiał...

Dwa następne dni minęły spokojnie. Prowadzono nieustannie obserwację, z mostka lub przez peryskop, wypatrując okrętów nieprzyjaciela; morze było jednak puste. Oficer torpedowy Tomasz martwił się, że jego ukochane torpedy nie zostaną już nigdy wystrzelone. Spędzał czas, chodząc po pokładzie i narzekając.

Około godziny 21 zauważyli pierwsze światła. Noc była cicha i spokojna, a niewielki wiatr marszczył jedynie powierzchnię morza. Wartownicy odczuli pewną ulgę, kiedy okazało się, że gdzieś jeszcze znajduje się cywilizacja. Zbliżali się do wybrzeży Estonii. Nie powitały ich salwy z dział ani wybuchy ładunków. Rozmawiano, grano w karty lub spano. Życie na pokładzie toczyło się bez zmian.

Tallin, stolica Estonii, to niewielki, ale ważny port we wschódniej części Morza Bałtyckiego. Założono go w XII wieku; należał najpierw do Danii, potem do Szwecji, a w końcu w 1710 r. zdobyli go Rosjanie. Przez ponad 100 lat stanowił bazę dla rosyjskiej floty bałtyckiej. Okręty wojenne zawijały tu bardzo często.

Zbudowano tu mały basen portowy w kształcie kwadratu o boku 400 metrów. Miał dwa wejścia szerokie na 30 metrów

Największą wadę stanowiła jednak mielizna na samym środku portu, przykryta stosem kamieni. Nie można więc było kotwiczyć w porcie, a statki cumowały tylko do nabrzeża.

Nadszedł czas, aby powiadomić rząd Estonii o przybyciu polskiego okrętu.

- Przekaż, proszę, kapitanowi moje pozdrowienia i poproś go o przybycie do sterowni - polecił Bogdan Markowi, który pełnił teraz funkcję pośłańca.

Dowódca wkroczył do pomieszczenia; wyglądał na wypoczętego. Powitał wszystkich.

- Zbliżamy się do Tallina, kapitanie. Powinniśmy wysłać sygnał i wytłumaczyć naszą obecność.

- Dobrze - odparł dowódca, z widoczną ulgą na twarzy. Jego męka miała dobiec końca. - Nadajcie komunikat takiej treści: *Tutaj polski okręt podwodny „Orzeł”. Mamy na pokładzie chorego, który potrzebuje opieki szpitalnej. Mamy również kłopoty z silnikiem. Zwracam się o pozwolenie na wejście do portu na za*

sadach dwudziestoczerogodzinnego azylu, zgodnie z konwencją genewską.

Sławomir zanotował te słowa i odszedł wypełnić rozkaz.

- Teraz możemy tylko czekać - powiedział kapitan, patrząc na pierwszego oficera.

- Nie sądzę, żeby robili nam jakieś problemy. Nie mogą od mówić przyjęcia chorego. Estończycy są po naszej stronie, nawet jeśli nie mogą tego głośno powiedzieć - odparł Bogdan.

Obaj doskonale zdawali sobie sprawę, jaką wrzawę rozpętali teraz wśród estońskich decydentów.

Na okręcie zapanował spokój; ludzie odpoczywali po tylu dniach ciągłego strachu i wyczekiwania na niebezpieczeństwo.

Po półgodzinie wartownik Jakub krzyknął: - Motorówka wypływa z portu! Trzy osoby na pokładzie, dwie w mundurze, jedna po cywilnemu.

- Idź po kapitana i przyprowadź go na mostek - rozkazał pełniący wachtę oficer Piotr.

Dowódca starał się sprawiać jak najlepsze wrażenie. Wspiął się po drabinie, znosząc cierpliwie ból. Oczy wszystkich zwrócił się w stronę nadpływającej łodzi, która podskakiwała na lekkim wzburzoną morzu.

Estończycy podpłynęli do burty i jeden z umundurowanych mężczyzn rzucił linę w kierunku marynarzy „Orła”. Wtedy drugi najwyraźniej wyższy stopniem, chciał postawić stopę na pokładzie okrętu podwodnego.

- Czekać - zimnym głosem powiedział kapitan - nie dostaliście pozwolenia na wejście na pokład. Czego chcecie?

- Mam polecenie odebrać prośbę o azyl na piśmie. Musi być sformułowana po polsku i po rosyjsku - odpowiedział głośno - Bez tego nie możemy udzielić wam pozwolenia.

- Zaraz, a dlaczego po rosyjsku? - zapytał z przekąsem dowódca. Mężczyzna w cywilu wzruszył ramionami, wyraźnie poirytowany.

Kapitan oczywiście znał zwyczaje dyplomatyczne i już wcześniej przygotował komunikat po polsku, niemiecku i rosyjsku. Nie wiedzieli przecież wcześniej, kto włada Tallinem.

Podano na motorówkę małą brązową kopertę. Łódź zawróciła w kierunku portu. Członkowie załogi „Orła” znów musieli czekać.

Wachtę przejął porucznik Andrzej - trzydziestodwuletni doświadczony oficer. Wyróżniał się wyglądem - był wysoki i szczupły, miał pociągłą twarz, prosty nos i wąską brodę. Gdy przechadzał się po okręcie, oglądał dokładnie każde urządzenie, tak jakby należało do niego. Sprawdzał, czy nikt przy nim nie majstrował. Starszy mat Jakub, którego żyłka do hazardu nie słabła ani na chwilę, wciąż chciał się zakładać o to, czego na początku dotknie Andrzej, gdy wejdzie do pomieszczenia. Choć wszyscy

wiedzieli, że Jakub nie stawiał swoich pieniędzy, jeśli nie był pewny wygranej, i że bardzo uważnie śledził wszystkie poczynania oficera, to niektórzy przyjmowali wyzwanie dla zabawy.

Na pokładzie wiało nudą - wciąż tylko rozkazy i polecenia - więc wszędzie szukano jakiegokolwiek rozrywki. W końcu mogło się tak zdarzyć, że Jakub by przegrał, a wtedy życie stałoby się weselsze i bardziej znośne!

Andrzej spojrział na żyrokompas, żeby upewnić się, że okręt znajduje się we właściwej pozycji, zerknął też do dziennika pokładowego, czy nie ma tam czegoś, co powinien wiedzieć. Uspokoił się i popatrzył w kierunku świateł Tallina. Przypomnił mu się jego rodzinny Słupsk i czas, kiedy zakochał się w swojej żonie. Powróciło do niego również poczucie winy i wspomnienie momentu sprzed kilku tygodni, kiedy żona go zostawiła. Choć to ona wyszła z inicjatywą rozstania, postanowili wspólnie, że rozejdą się na jakiś czas, na próbę. Z tego co wiedział, nie chodziło o innego mężczyznę. Twierdziła, że nudzi się z nim, i że oczekiwała więcej od tego małżeństwa. Nie łączyły ich już wspólne pasje, nie poświęcał jej wystarczająco dużo czasu - myślał jedynie o marynarce. Ona miała swoje zainteresowania, szkołę, gdzie uczyła, i inne sprawy, którymi się zajmowała, i z których czerpała satysfakcję. Zasugerował wtedy, że zbliżająca się wojna usprawiedliwia jego zwiększone zaangażowanie w sprawy obronności ojczyzny, ale nie przyjęła tego argumentu.

Nie myślał o niej ostatnio zbyt dużo, miał co innego na głowie. Czy zdecydowała się opuścić go, aby dać mu nauczkę? W głębi serca czuł, że nie ofiarował jej wystarczająco dużo miłości i poświęcenia, choć zasługiwała na to. Nie sądził, aby znalazła sobie kogoś innego. Wierzył, że jego ślepe zapatrzenie w marynarkę stanowiło jedyną przyczynę, dla której rozpadło się jego małżeństwo. Westchnął głęboko, zastanawiając się, co teraz się z nią dzieje. Słupsk nie miał znaczenia strategicznego, więc zapewne Niemcy zignorowali to miasto. Pocieszał się w ten spo-

sób, ale wiedział, że sam się oszukuje. To nie była kwestia ilości mieszkańców czy położenia; liczyła się tak naprawdę tylko jedna rzecz - jego żona pochodziła z żydowskiej rodziny.

Westchnął głęboko i powrócił myślami do bieżących wydarzeń. „Orzeł” znajdował się w nienajlepszym położeniu i wiele zależało właśnie od niego.

O 1.30 wachtowy ponownie zauważył zbliżającą się motorówkę. Tak jak poprzednio, łódź przewoziła dwóch umundurowanych mężczyzn i jednego cywila, który przekazał na pokład dokument. Podano go kapitanowi, który stał na mostku. Dowódca spojrział na Bogdana i odpieczętował kopertę.

- Mamy pozwolenie od władz Estonii na wejście do portu - ogłosił z ulgą. Podziękował posłańcom, którzy nie okazywali jednak żadnych emocji. Motorówka zawróciła.

- Sądzę, że powinniśmy teraz udać się do Tallina i ustalić warunki wpłynięcia. Bogdanie, pójdiesz ze mną. Piotrze, przejmij dowodzenie i nie wpuszczaj nikogo na pokład - wydał rozkazy kapitan.

Oficerowie, wraz z bosmanem Kazikiem, wsiedli do łodzi i skierowali się w stronę portu. Nie rozmawiali po drodze. Dowódca pomyślał z ulgą, że jego cierpienie wreszcie się skończy, natomiast Bogdan rozważał udręki i próby, które na niego czekają.

Na nabrzeżu oczekiwał na nich głównodowodzący estońską marynarką oraz polski attache wojskowy, w otoczeniu sporej grupki żołnierzy o twarzach bez wyrazu.

- Mogę potwierdzić, że macie pozwolenie na wejście do portu i wypłynięcie, jak tylko wasza sprężarka zostanie naprawiona - powiedział estoński oficer. - Jest jednak mały problem. Cumuje tu tymczasowo niemiecki frachtowiec; ma wyjść jutro rano. Zgodnie z konwencją o prawach i obowiązkach państwa

neutralnego podczas wojny morskiej jednostka walczącej strony może opuścić port dopiero w dwadzieścia cztery godziny po statku przeciwnika. Przykro mi z tego powodu, ale mam nadzieję, że to rozumiecie.

- Skoro tak stanowi prawo, to tak będzie - odparł kapitan „Orła”.

- Teraz - rzekł rzeczowo Estończyk - musimy zabrać pana do szpitala. Wygląda pan na bardzo chorego. Przepraszam za zwłokę, ale było to niezbędne. Musimy również przygotować się do naprawienia waszej sprężarki - dodał z miłym uśmiechem.

Dowódca odetchnął, ale ze ściśniętym sercem myślał o porzuceniu okrętu, znajdującego się w potrzebie. Zwrócił się do pierwszego oficera: - Bogdanie, zostałeś teraz oficjalnie kapitanem „Orła”. Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Bogdan ujął dłoń swojego przełożonego i spojrzał mu w oczy. - Mam wielką nadzieję, że dobrze się tu panem zajmą, i że powróci pan do zdrowia. Jestem tego pewien - powiedział, starając się nie okazywać nadmiernego wzruszenia. - To był dla mnie zaszczyt pracować z panem, bardzo wiele się nauczyłem. Mam nadzieję, że spotkamy się, kiedy to wszystko się skończy.

Odszedł o krok do tyłu i zsalutował. Obaj czuli ciężar tej chwili.

W tym momencie estoński lekarz położył kapitanowi delikatnie rękę na ramieniu. - Chodźmy już, muszę się panem zająć, wiele pan przeszedł. Spojrzał na Bogdana i powiedział: - Proszę się nie martwić, komandor będzie miał tu dobrą opiekę.

Polscy oficerowie uścisnęli sobie dłonie i Henryk wyszedł z pomieszczenia.

Bogdan zwrócił się do polskiego attache: - Muszę wracać na „Orła” i wprowadzić go do portu.

Zabrali na pokład motorówki estońskiego pilota i popłynęli w kierunku okrętu. Kiedy weszli na pokład, przy sterze stał Stefan. Bogdan podszedł do niego i szepnął mu na ucho: - Staraj się zapamiętać drogę, może nam się to przydać przy wychodzeniu.

Przy wejściu do portu przejął ich holownik. Załoga „Orła” z niepokojem patrzyła na piętrzące się na środku basenu skały. Nie można było rzucić kotwicy z dala od nabrzeża.

Piotr, który został teraz pierwszym oficerem, znajdował się na mostku razem z Andrzejem. - Zwróciłeś uwagę, że holują na; w stronę najdalszego i najbardziej osłoniętego fragmentu mola¹; - zapytał.

- Tak - odparł Andrzej - widzę to. Przyjrzyj się też okrętom które tu cumują. Tam stoi kanonierka, a z trzech pozostałych stron będzie nas otaczać pięć niszczycieli i dwa okręty podwodne.

Ryszard, który stał tam również i razem z nimi obserwował całą sytuację, wskazał na niemiecką fregatę, która miała wypływać następnego dnia.

- To ciekawe - powiedział - pomalowali komin na czarną zakrywając nazwę towarzystwa żeglugowego. Zamalowano również napis „Hamburg”, choć przebija on lekko przez farbę. Nie ma podniesionej żadnej bandery i nie widać nigdzie nazistowskich symboli. Co więcej, nie wygląda wcale, jakby załoga czy niła jakieś przygotowania do wypłynięcia.

Trzej mężczyźni patrzyli na okręt przeciwnika, zastanawiając się, co to wszystko może oznaczać.

Dokładnie tak jak przewidzieli, „Orzeł” został zacumowany najdalej od wejścia. Przytwierdzono go czterema solidnymi metalowymi linami do nabrzeża, jedną do niszczyciela, a z dziobu rzucono kotwicę.

- Chyba naprawdę im zależy, żebyśmy się przypadkiem nie urwali - zaśmiał się gorzko Piotr.

Rozdział 5

Morale załogi znacznie wzrosło. Kapitan *znalazł* się wreszcie pod dobrą opieką i miał duże szanse na wyzdrowienie. Naprawiano kompresor i wymieniono ewaporator. Powrót na Bałtyk wydawał się jedynie kwestią czasu. Ludzie rwali się wręcz do walki z nieprzyjacielem. Choć panowało powszechne przekonanie, że dowódca stanął na wysokości zadania i pomimo choroby wzorowo wypełnił wszystkie swoje obowiązki, to jednak od wypłynięcia z Gdyni koncentrowano się raczej na jego osobie niż na prowadzeniu wojny. Teraz „Orzeł” znów miał stać się maszyną do zabijania.

Uśmiechał się nawet Sławomir, choć nikt nie wiedział dlaczego. Może dlatego, że dostarczono na pokład dobrą estońską żywność i miał nadzieję, że trochę przybierze na wadze? Pewnie jak zwykle myślał o jedzeniu i o kobiecie, która je przyniosła. Tego wieczoru postawiono na stół pieczeń mięsną, zmieloną z kukurydzą, mąką i wodą, grubą kielbasę wieprzową w kiszce, dzban kwaśnego mleka, chleb razowy, ser, rzodkiew, słonecznik z miodem, ciasteczka pszenne, jabłka. Rozmarzony Sławomir westchnął, wyobrażając sobie tę ucztę.

Po raz pierwszy od wielu dni poprawiła się bardzo atmosfera na okręcie. Smród gnijących warzyw, spalin i potu ustępował miejsca świeżemu powietrzu, które wpadało przez właz. Członkowie załogi spędzali teraz czas w prawie luksusowych warunkach, w porównaniu do tych, w jakich żyli jeszcze niedawno.

Nie było pewności, czy uda im się wypłynąć z Tallina, więc hazardzista Jakub poczuł się jak ryba w wodzie.

- Przyjmuję zakłady, kiedy opuścimy Tallin - ogłosił. Słuchacze jęknęli.
- Każdy niech postawi dzienny żołąd i określi dokładną godzinę

nę, w której miniemy główki portu. Kto będzie najbliższej, zgarnie nagrodę.

-A jaka jest nagroda? - zapytał sceptycznie Michał.

- Dziewięćdziesiąt pięć procent zgromadzonej puli.

-A co z pozostałymi pięcioma procentami? - drażył podejrzliwie Michał.

- Zatrzymuję je jako pokrycie kosztów manipulacyjnych i organizacyjnych.

- Jakich cholernych kosztów?! Wynajmujesz może okręt ni biuro loterii? - włączył się Jarek.

- Nie bądź głupi. Muszę przecież zapisywać, kto ile dał, i wyplacić wygraną. Organizator zawsze dostaje prowizję - tłumaczy Jakub.

- A co, jeśli nikt nie zgadnie? - ciągnął Jarek.

- Wtedy pieniądze pozostaną pod moją opieką i przechodzi na następny zakład.

- Na miłość boską, Jakub, chyba masz nas za idiotów - warknął Michał. - Chociaż, potrzeba nam chyba trochę zabawy - powiedział, zwracając się do pozostałych. - Sądzę, że Grzegorz powinien się tym zająć. Jeśli chce zostać prawnikiem, to przyjdź mu się trochę praktyki. Niech wymyśli zasady. Jeśli nikt nie podaje poprawnej odpowiedzi, to unieważnimy zakład.

Słuchacze, zdziwieni, że Michał się z czymś zgadza, pokiwał głowami z aprobatą.

- Nigdy w życiu - oburzył się Grzegorz. - Nie jestem księgowym.

- Ale tobie ufamy - Waldemar uśmiechnął się do niego przyjaźnie - a Jakub to urodzony krętacz. Wszystko, co musisz zrobić to zapisać, kto podaje jaki czas. Potem, z pomocą oficera wachtowego, ustalisz, o której godzinie wypłynęliśmy i kto wygrał.

Grzegorz spojrzał błagalnie na Waldemara, ale zgodził się, choć wbrew sobie.

- Dobra - ucieszył się Jakub, jak gdyby nie słysząc obraźliwych słów pod swoim adresem. - To zaczynajmy. Weszliśmy w sobotę wcześniej rano; powiedzieli nam, że możemy zostać 24 godziny, czyli do niedzieli. Potem zdecydowano, że musimy poczekać, aż ten niemiecki statek odpłynie. Jeśli wyjdzie dzisiaj, to sądzą, że pozwolą nam opuścić port w poniedziałek około południa. Stawiam na godzinę 12.00 w poniedziałek.

- Chyba nie uda nam się tak szybko - wtrącił się Jarek. - Z pewnością będą się starali nas opóźnić, zawsze tak robią. Ja bym strzelał, że 17.00 w poniedziałek.

- Ja nie mam pojęcia - rzekł Waldemar. - Wszyscy chyba postradaliście rozumy. Postawię jednak na 14.30, w połowie między wami.

- Nie możemy pozwolić, żeby wygrał ktoś, kto w przyszłości będzie oficerem - powiedział Michał, mając na myśli Jarka. - Nie sądzę, żeby wszystko poszło tak gładko, jak myślicie. Estończycy na niczym się nie znają i sprawa na pewno się przeciągnie. Ja mówię: 21.00.

Do zakładu dołączyło się jeszcze kilka osób, podając godziny między 11.00 a 22.00.

Każdy miał jakiś argument, którym potwierdzał słusność swojego wyboru. Grzegorz pilnie notował, upewniając się co chwilę, czy dobrze usłyszał. Miał jednak wątpliwości co do uczciwości swoich towarzyszy, więc każdemu kazał się podpisać obok wyszczególnienia czasu, który obstał.

Rozgorzała dyskusja na temat wyjścia z portu, możliwych opóźnień i problemów. Marynarze „Orła” nie bawili się tak od wielu tygodni.

* *

Wkrótce jednak humory się popsuły.

Oficer wachtowy Piotr wszczął alarm. Zauważył, że w kierunku okrętu idzie grupa żołnierzy. Maszerowali wzdłuż pomostu.

- *Zbliża się jeden oficer i kilku uzbrojonych ludzi - wykrzyknął.* - Sprowadźcie kapitana na mostek.

Bogdan wszedł po drabinie i dopiął kurtkę. Dobrze czuł się w nowej roli. Estończycy zatrzymali się przy trapie.

- Mam dla was pilną wiadomość - powiedział jeden z nich. Złote galony i odznaczenia wskazywały, że to ktoś ważny. Marynarze „Orła” nie widzieli go wcześniej.

- Ty jesteś kapitanem? - zapytał szorstko, postępując parę kroków do przodu.

Bogdan skinął głową i odebrał dokument.

- Mam polecenie, aby powiadomić was, że okręt ma zostać internowany - mówił Estończyk, siląc się na bardzo oficjalny ton, jak gdyby ogłaszał śmierć jakiejś ważnej osoby. - Zostaniecie natychmiast rozbrojeni. Oficerów odeskortujemy do koszar, a załogę umieścimy w odosobnieniu. Postanowienie jest nieodwołalne.

Dowódca spojrział na pismo z wyrazem niedowierzania.

- To niedopuszczalne - warknął. - Dostaliśmy pisemną zgodę na pobyt w porcie przez 24 godziny w celu dokonania niezbędnych napraw. Ta zgoda miała być przedłużona o kolejną dobę, jeśli niemiecki statek wyszedłby przed nami w morze. Nie możecie cofnąć decyzji, którą podjął wasz głównodowodzący, w obecności polskiego attache wojskowego.

- Zmieniły się okoliczności, o czym się wkrótce przekonacie - odparł zadowolony z siebie Estończyk, patrząc w kierunku bazy portowego.

Oficerowie polskiego okrętu, którzy zebrali się teraz na mostku, aby wesprzeć kapitana, odwrócili się. Zobaczyli, że dwa estońskie niszczyciele i kilka kanonierek skierowały swoje

działała w stronę „Orła”.

- To hańba - wykrzyknął Bogdan. - Sądziłem, że jesteście naszymi przyjaciółmi. A wy nam grozicie!

- Nic nie możecie zrobić - odrzekł Estończyk z fałszywym uśmiechem - to rozstrzygnięcie jest ostateczne. Zostaniecie rozbrojeni. Natychmiast rozpoczniemy demontaż torped. Muszę te raz zabrać dokumenty okrętu oraz instrumenty nawigacyjne.

-A jeśli się nie zgodzimy, to nas zabijecie. Nie mogę uwierzyć, że to decyzja podjęta przez Estonię - gniewnie powiedział Bogdan, patrząc wprost w oczy oficera. Ten, unikając spojrzenia swego rozmówcy, wbił wzrok w ziemię, wyraźnie zażenowany.

Kapitan spojrzał znacząco na swojego zastępcę.

- Piotrze, zaprowadź, proszę, naszego gościa i jego towarzyszy do sterowni, a ja pójdę wziąć to, czego żądają.

Zeszli na dół, a Bogdan prędko pobiegł do swojej kajuty, zebrał wszystkie poufne dokumenty, podarł na małe kawałki i włożył do koperty. Zwrócił się teraz do Eryka, który nie odstępował go na krok.

- Idź jak najszybciej do wjazdu rufowego i wyrzuć to do wody za prawą burtę, tak żeby nikt cię nie zauważył.

Eryk oddalił się bezszelestnie.

Bogdan zebrał jakieś nieistotne papiery, włożył je do oficjalnej koperty i zabrał ze sobą do sterowni. W tym czasie Estończyk zdążył już zabrać mapy, sekstans i inne przyrządy. Wraz z kopertą przekazał je uzbrojonemu strażnikowi.

- Zanieś to do kwatery głównej - rozkazał.

Na pomost podjechał właśnie ciężki sprzęt i dźwigi. Obsługa ustawiała maszyny wzdłuż okrętu. Otwarto wlazy załadunkowe i robotnicy rozlokowywali się na stanowiskach. Obu trapów strzegli żołnierze.

* * *

Kiedy Estończycy opuścili „Orła”, wszyscy oficerowie zebrali się w sterowni. Panowała grobowa atmosfera.

- Majajakiś pretekst? - spytał Jerzego Bogdan.

- Nawet dwa. Wspominają o jakimś protokole neutralności który państwa bałtyckie podobno podpisały w 1938 roku, choi ja nic o tym nie wiem, a także o artykule 16. konwencji z 190' roku o prawach i obowiązkach państw neutralnych w czasie wojny morskiej. Krótko mówiąc, chodzi o to, że możemy pozostać w porcie przez 24 godziny, w celu dokonania napraw. Musimy; jednak poczekać do 48 godzin, jeśli przed nami wypłynie stąd okręt przeciwnika - niemiecki frachtowiec „Thalatta”. To oznacza, że jeśli oni odejdą jutro, wtedy gdy my powinniśmy, to musimy tu poczekać kolejne 24 godziny. Wtedy czas naszego postoju wydłuży się do 48 godzin, co łamie pierwotną umowę.

- To już wiemy - przerwał niecierpliwie kapitan.

- Ale to nie wszystko - kontynuował Jerzy. - W tym protokole zapisano, że okręt podwodny może wejść do portu neutralnego tylko w przypadku, jeśli pogoda nie pozwala na żeglugę lub jeśli uszkodzeniu uległ sprzęt nawigacyjny. Zepsuta sprężarka i ewaporator nie wpływają na naszą zdolność do żeglugi, więc w ogóle nie powinni byli nas tu wpuścić.

- To dyplomatyczny bełkot - warknął Piotr. - Nie może im to ujść na sucho. Ich dowódca wiedział, że coś jest nie tak, kiedy udzielił nam tej zgody.

- Nie sądzę, aby Estończycy mieli tu coś do powiedzenia
- dodał Ryszard, którego również zaproszono do tej rozmowy
- Musimy pamiętać, że to mały kraj, leżący pomiędzy dwiema potęgami, Niemcami i Rosją. Jeśli nie zdarzył się cud, to Polska została już dawno pokonana. Oni teraz najbardziej obawiają się Rosjan, a nie chcą również denerwować Niemców, którzy mogą ich w razie czego obronić. Estończycy znani są ze swojej sympatii do Polaków, co mogliśmy odczuć, kiedy wylądowaliśmy w portu. Powinni wtedy odstawić do koszar wszystkich oficerów
- taka jest zwyczajowa praktyka, ale nie zrobili tego.

- Twierdzisz więc, że zostali zmuszeni do podjęcia tej decyzji i zyskali dzięki temu poparcie Niemców? - spytał Piotr.

- Tak myślę. Sławomir mówił mi, że Rosjanie nadali radiem komunikat o tym, iż zatopiliśmy ich statek w Zatoce Fińskiej. To dla nich doskonały pretekst, żeby domagać się od Estonii, aby rosyjskie okręty mogły korzystać z ich portów.

- Nie wiem, czy ktoś zwrócił na to uwagę - powiedział Tomasz - ale kiedy Estończycy odchodzili, zdjęli z drzewca polską flagę. W tym samym momencie na niemieckim okręcie wciągnęli to na maszt barwy nazistowskie.

- To wszystko jest bardzo ciekawe - wtrącił się Bogdan - musimy sobie jednak przede wszystkim odpowiedzieć na podstawowe pytanie - co dalej?

- Ucieknijmy - rzekł stanowczo Piotr.

- Łatwo powiedzieć - odrzekł Tomasz. - Wygląda na to, że to niemożliwe.

- Takie sprawy to nasza specjalność - odparł Jerzy.

Zapadła chwila ciszy, podczas której oficerowie uświadomili sobie, czego dotychczas dokonali. To dodało im odwagi. Bogdan spojrzał po swoich podwładnych z uczuciem dumy. Pomyślał, że z tymi ludźmi wszystko się może udać.

- Po pierwsze, musimy się postarać zatrzymać na okręcie jak najwięcej sprzętu i broni. Piotr, Andrzej i ja opracujemy plan ucieczki. Spotkamy się później, żeby ustalić, co zostało na pokładzie, i zastanowić się, jak się wydostać. Do roboty - dodał,

patrzając na Tomasza, Jerzego i Franciszka - ratujcie, co się da.

Na pokładzie pojawił się oficer marynarki estońskiej wraz z dwoma marynarzami. Mieli nadzorować wyładunek torped. Pewnym krokiem podszli do stojaka.

- Co wy wyprawiacie - krzyknął ze złością Tomasz, podchodząc do nich.

- Zabieramy te torpedy - odpowiedział Estończyk. - Już kilka wyciągnęliśmy.

- Na miłość boską, nie możecie ich dotykać. Nie zostały rozbrojone.

- Zabraliśmy już przecież niektóre - odparł oficer, gestem pokazując swoim ludziom, aby zaczęły pracę.

- Tamte były w porządku, tych jeszcze po prostu nie zdążyłem rozbroić.

- A co to za różnica?

- Powiem ci, co za różnica - krzyknął Tomasz, wpadając w coraz większy gniew. - Jeśli uderzycie nimi o coś albo upuścicie, a nie będą rozbrojone, wybuchną. Jeśli eksploduje jedna, to wibracje zdetonują również pozostałe. Ty, ja i wszyscy inni wylecimy w powietrze i spadniemy na Tallin dopiero razem z deszczem. A wszystko nie potrwa nawet kilku sekund.

Estończyk cofnął się kilka kroków, wyraźnie zaniepokojony ostrzeżeniem.

- Jak długo zajmie ci rozbrojenie ich? - spytał niecierpliwie, chyba niezbyt przejmując się bezpieczeństwem swoich podwładnych.

- Jakaś godzinę, ale nie zrobię tego teraz. Jestem zbyt zmęczony, a nie może mi przy tym zadrzeć ręka. Zajmę się tym w poniedziałek rano - rzekł stanowczo Tomasz.

- A czemu nie jutro?

- Jutro jest niedziela. Nie wiem jak ty, ale ja jestem katolikiem i nie pracuję w niedzielę. Rano mamy mszę, zgodnie z poleceniem dowództwa polskiej marynarki wojennej. Nie wolno mi złamać przepisów. Przez resztę dnia muszę odpoczywać - odpowiedział Tomasz, patrząc swojemu rozmówcy prosto w oczy.

- Nie obowiązują cię teraz polskie przepisy, jesteś naszym więźniem i masz wypełniać nasze polecenia - oznajmił autorytatywnie Estończyk. - Dostałem rozkaz, aby zdemontować dzisiaj torpedy. Ja również nie mogę łamać przepisów.

- Czy naprawdę mam porozmawiać z twoim admirałem i donieść mu, że zachowujesz się nierozsądnie? Poprosiliśmy was o azyl, więc powinniście nas chronić. W ten sposób nie przekonasz mnie o swojej przyjaźni. Nie martw się, przysięgam na Boga, a jestem bardzo religijny, że te torpedy będą tym samym miejscu w poniedziałek rano. Zrobię wtedy wszystko co trzeba.

Estończyk wciąż nie wydawał się przekonany, ale nie miał zbyt wielkiego doświadczenia w

tego typu sprawach. Wzruszył ramionami i nakazał swoim ludziom, aby zeszli na brzeg. Tomasz odprowadził ich aż do trapu; jego serce waliło jak młot. Zastanawiał się w duchu, gdzie w torpedzie można by umieścić bezpiecznik.

Sławomir nie myślał teraz wcale o jedzeniu. Dłubał przy radiu, czując na plecach wzrok estońskiego strażnika.

Grzebał w środku śrubokrętem, sprawdzał przewody i wtyczki. W końcu westchnął głęboko i odszedł parę kroków. Spojrzał na żołnierza z wyrazem rozpaczony na twarzy. Estończyk uśmiechnął się z sympatią, choć nie bardzo wiedział, o co chodzi.

- To nie takie łatwe - zagadnął Sławomir. - Radio to bardzo skomplikowane urządzenie. Znasz się trochę na elektryce?

Strażnik pokręcił głową. Radiooperator zabrał się powoli do pracy. Najpierw ułożył starannie narzędzia, następnie zdjął obudowę. *Zajrzał* do środka i ostrożnie wyjął dwa kable, oglądając je dokładnie. Wymacał palcami miejsce, gdzie zniknęły wewnątrz mechanizmu.

- Potrzyj to - poprosił Estończyka, wkładając mu kable do ręki. - Obejrzyj sobie, jeśli chcesz.

Sławomir odwrócił się w stronę urządzenia. W prawej ręce trzymał śrubokręt, który teraz przyłożył do śrubki. Lewą ręką niezauważenie pstryknął włącznik.

Trzasnęło i z urządzenia buchnęły kłęby niebieskiego dymu. Porażony prądem Estończyk odskoczył z wrzaskiem. Pocien piekącą dłoń z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy.

Sławomir spojrzał na niego przerażony.

- Cholera, zepsułeś! - krzyknął ze złością.

Strażnik spojrzał na swoją przybrudzoną rękę. Oczekiwał w razów współczucia, a nie ataku. - Ja?

• Tak! Czemu trzymałeś te dwa kable?! - radiooperator wydmuchnął się naprawdę wzburzony.

• Przecież mi kazałeś! - odparł zszokowany Estończyk.

• Ale nie w jednej ręce, idioto. Naprawdę nie masz pojęcia o elektryczności? Chciałem, żebyś wziął je tak - Sławomir złapał ostrożnie końcówki przewodów, po jednej w każdą dłoń.

Żołnierz nie bardzo wiedział co ma powiedzieć, więc pocier; tylko obolałą rękę.

- Trudna sprawa - powiedział grobowym tonem Sławonii

- Będę musiał porozmawiać z twoim przełożonym.

Strażnik popadał w coraz większą rozpacz. Świat rozpadał się na kawałki. Jego zwierzchnik nie zwykł litować się nad podwładnymi. Wiedział, że czekają go kłopoty.

Radiooperator, świadom tego, co dzieje się w duszy Estończyka, przyszedł mu nieoczekiwanie z pomocą.

- Teraz już nic nie poradzimy. Stało się. Nie chcę, żebyś przeto miał jakieś problemy - zaczął życzliwie. - Nie zgłoszę tego ale muszę teraz sprawdzić radio i naprawić uszkodzenia. Dopiero potem będę mógł to wszystko zdemontować. Najlepiej, żeby zgłosił się teraz do lekarza. Porażenie prądem może mieć poważne konsekwencje zdrowotne, zwłaszcza dla serca. Idź i upewnij się, że z tobą wszystko w porządku. Powiedz w szpitalu, że mi;

łeś wypadek. Będę tu dalej pracował, kiedy cię nie będzie.

Strażnik, słysząc te słowa, odczuł wyraźną ulgę. Wiedział,; w takim razie nie spotkaj ą go z tego powodu żadne nieprzyjemni ści. Czym prędzej oddalił się. Wtedy odetchnął także Sławomir. Udało mu się uratować radio. Teraz musi tylko naprawić kable od klimatyzatora.

Rejs po otwartym morzu to w przekonaniu wielu ludzi spełnienie najbardziej romantycznych marzeń. Jednakże ci, którzy tak uważają, nie powinni nigdy schodzić do maszynowni, zwłaszcza na okręcie podwodnym. Tylko mechanik może dostrzec piękno tam, gdzie normalny człowiek widzi jedynie mnóstwo tłoków, zaworów i tarcz spowitych oparami oleju napędowego.

Trudno nawet z dystansu przyjrzeć się temu, co się tam dzieje, ponieważ jeśli ktoś już wejdzie do tego pomieszczenia, to staje się właściwie częścią silnika. Diesle stoją bardzo blisko siebie, a z każdego urządzenia ścieka smar, co ma świadczyć o tym, że działa ono poprawnie. Hałas, który wydają poruszające się z prędkością kilkuset suwów na minutę tłoki, wydaje się nie do zniesienia. Pracujący tu ludzie mają chwile wytchnienia jedynie wtedy, kiedy okręt płynie zanurzony, ponieważ wówczas używa się silników elektrycznych.

Tak wyglądała sceneria trzeciego aktu rozgrywającego się właśnie dramatu.

- Nie zajmujecie się silnikiem - estoński oficer zagadnął Jerzego.

-Nie.

• Dlaczego nie?

• Jak to?

• Przecież macie go unieruchomić?

• Dlaczego?

• Zostajecie rozbrojeni i internowani. Taki jest rozkaz.

• Silnik to nie broń. Nie ma go w rozkazie.

• Jest - odpowiedział stanowczo Estończyk, podając Jerzemu dokument.

- I gdzie tu jest napisane, że musimy unieruchomić silnik";

- spytał mechanik, oddając papier.

Oficer umiał oczywiście pisać i czytać, ale nie po angielsku a tym bardziej nie po polsku. Nadrabiał jednak miną i teraz pilnie studiował pismo.

• O, tutaj jest - „unieruchomić” - wskazał triumfalnie słowo w jednym z paragrafów.

• Unieruchomić to nie to samo co zdemontować - poinformował go Jerzy. - Okręt jest już unieruchomiony, ponieważ przycumowaliście go do nabrzeża i zabraliście cały sprzęt nawigacyjny - mechanik westchnął ciężko. Wzbierała w nim frustracja. - Te nie ma sensu, przecież i tak nigdzie nie odpłyniemy, skoro zo staliśmy przywiązani do jednej z waszych jednostek. Poza tym przecież nie będzie tu stał wiecznie. A może będziecie go chcieli mieć w przyszłości przy innej kei? - wytarł ręce w tłustą szmatę żeby zademonstrować, że na tym sprawa się kończy.

- Jeśli będziemy chcieli go przesunąć, to użyjemy holownik*

- odparł zniecierpliwiony Estończyk.

- W każdym razie - ciągnął niezrażony mechanik - nie zgram się na rozmontowanie silnika. Poza tym, nie mogę pracować bez instrukcji.

- Jakiej instrukcji?

- Instrukcji dla użytkowników silnika diesla Sulzer 6QD42 - odparł rozdrażniony Jerzy, jakby rozmawiali o oczywistościach

- Bez tego nic nie zrobię.

- Więc pójdz po nią- warknął oficer.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo ją zabraliście wczoraj, razem z dokumentami - z satysfakcją odrzekł Jerzy.

-A niby czemu jest tak niezbędna? Powinieneś przecież znać swoje silniki. Do rozebrania jakiejś *rzeczy* nie trzeba instrukcji.

- To nie takie proste - zaśmiał się mechanik. - To skomplikowana operacja. Poszczególne elementy muszą być demonto-

wane w odpowiedniej kolejności. Nic z tego nie wyjdzie, jeśli ten porządek zostanie zaburzony. Jak wyjmiesz nie tę część co trzeba, to uniemożliwisz wyciąganie innych, ponieważ zablokują się przełączniki, a ich odblokowanie to naprawdę kupa roboty. Już kilka razy mi się to zdarzyło. Rozplątywanie wszystkich kabli trwa wtedy kilka godzin, a później trzeba wszystko jeszcze raz poskładać, żeby znów zacząć demontaż. Cholernie denerwująca sprawa.

Estończyk słuchał tego wywodu z wyrazem niedowierzania. Nie miał pojęcia, o czym mowa. Jerzy spojrzał na niego ze współczuciem.

- Wytłumaczę ci jeszcze raz - powiedział spokojnie. - Części trzeba wyjmować po kolei, tak jak zostały złożone. To naprawę bardzo skomplikowane. Jeśli przyniesiesz mi instrukcję, to wszystko ci pokażę. Zabiorę się do tego w poniedziałek.

- Już długo jesteś mechanikiem, powinieneś wiedzieć, jak zbudowane są silniki.

- Nie wiem. Nie mam w zwyczaju demontować diesli. Właściwie nigdy jeszcze tego nie robiłem. To robota dla profesjonalistów, którzy pracują w stoczni i mają odpowiedni sprzęt. Ale jeśli dostarczysz mi instrukcję, to zobaczę, co da się zrobić.

- Pójde po nią teraz i będziesz mógł to zrobić jutro - odparł Estończyk, zbierając się do wyjścia.

- Jutro nie mogę. Jestem praktykującym katolikiem i nie pracuję w niedzielę.

- Katolicy w Estonii pracują również w niedzielę.

- A w Polsce nie - odrzekł Jerzy, prosząc w duchu Boga o wybaczenie.

-Ale podczas rejsu zajmujesz się silnikami w niedzielę?

- Tak, ale to tylko konserwacja, a nie prawdziwa praca. Przykro mi.

Estończyk nie wiedział co powiedzieć. Nie umiał zmusić Polaka do wypełnienia polecenia.

Mógł mu zacząć grozić, ale wiedział, że to nie zadziała.

- Wiem, że to dla ciebie trudne - powiedział przyjaźnie Jerzy. - Ale przecież to bez znaczenia, czy silnik zostanie zdemontowany dzisiaj, w niedzielę czy w poniedziałek. I tak jesteśmy przycumowani do waszego okrętu, więc nie mamy szans na odpłynięcie.

Przygnębiony oficer wzruszył tylko ramionami i odszedł.

Atmosfera na pokładzie „Orla” od chwili wypłynięcia z Gdyni zmieniała się jak w kalejdoskopie. Z początku członkowie załogi czuli gniew z powodu niemieckiej napaści. Pierwsze emocje ustąpiły miejsca determinacji, z jaką przyjęli czekające ich zadania. Przy przechodzeniu przez pola minowe strach tłumił wszystkie inne doznania. Później martwiono się o pogarszające się zdrowie kapitana. Zareagowano z radością na wieść, że zostaną wpuszczeni do portu, a decyzję o przyznaniu azylu powitano z wielką ulgą. Teraz jednak znów ogarnął ich gniew, tym razem z powodu dwulicowości Estończyków.

Wściekłość mieszała się jednak ze smutkiem, kiedy myśleli o swoich rodzinach. Dopóki płynęli, tliła się w ich sercach iskierka nadziei, że wszystko dobrze się skończy. Internowanie oznaczało jednak dla nich koniec wojny, a jeśli Rosjanie zajmą Tallin, to z pewnością wezmą ich do niewoli.

Marynarze pragnęli natychmiast podjąć jakieś zdecydowane kroki. Bosman Kazik musiał ich uspokajać. Wyjaśnił im, że okręt znajduje się w bardzo niebezpiecznym położeniu. Zdradził również, że oficerowie opracowują plan działania, i że potrzebują pełnego wsparcia oraz zaufania.

Kazik, jako zawodowy żeglarz, z pewnością czułby się lepiej, służąc na jednostce nawodnej, na przykład na niszczycielu, gdzie ponad wszystko ceniono dyscyplinę i ustalony porządek. Zgłosił się jednak na okręt podwodny, ponieważ wydawało mu się, że

jeśli wybuchnie wojna, to Niemcy szybko zatopią polską flotę. Jedynie okręty podwodne miały szansę podjąć jakąś walkę.

Nie mógł przyzwyczać się do luźnej atmosfery panującej na „Orle”. *Załoga* tworzyła zgrany zespół, a stopień i pozycja miały drugorzędne znaczenie. Relacje pomiędzy oficerami i marynarzami były dość nieformalne. Bosman nie bał się mówić tego co myśli i z początku zdecydowanie karał wszelkie odstępstwa od reguł. Z biegiem czasu zaczął się jednak przekonywać, że ludzie spaja entuzjazm dla sprawy, i że wiedzą, jak należy postępować. Zdobył sobie u nich autorytet; zresztą wyraźnie się uspokoił.

Za Bogdanem jak cień kroczył estoński strażnik, kapitan rozmawiał więc z podwładnymi w małych grupkach, żeby nikt ich nie mógł podsłuchać. Wiedział, że większość pilnujących ich żołnierzy nie zna ani polskiego, ani angielskiego, ale nie chciał ryzykować. Szybko przekonał się, że pomysł ucieczki spotkał się z ogromnym poparciem.

- Na początek musimy opracować dokładny plan, zastanów się, jak można to przeprowadzić i co trzeba wcześniej zrobić - tłumaczył dowódca liderom poszczególnych grup.

- Piotr, Ryszard i Franciszek zajmą się szczegółami - mówił dalej. - Piotr jako pierwszy oficer, Ryszard z powodu swej wielkiej wiedzy technicznej, a Franciszek dlatego, że ludzie go lubią; poza tym jako oficer artylerii nie będzie miał wiele do roboty,

kiedy Estończycy wymontują zamek z działa. Władysław, Tadeusz i Grzegorz będą odpowiedzialni za unieszkodliwienie strażników, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila. Wybrałem Grzegorza, ponieważ z tego co słyszałem, ma niezły prawy sierpowy. Estońskich żołnierzy należy ogłuszyć i związać, ale pod żadnym pozorem nie zabijać.

Władysław nie posiadał się z radości - wreszcie dostał szansę, żeby się wykazać i pomóc swoim towarzyszom. Podobnie jak Kazik, służył jako zawodowy marynarz. Pełnił służbę już na wielu jednostkach - kilku kanonierkach i niszczycielach. Tuż przed wybuchem wojny zgłosił się na okręt podwodny, ponieważ wolał pracować w mniejszym zespole niż stanowić jedynie trybik w wielkiej maszynie.

Miał spokojne usposobienie i nigdy nie tracił panowania nad sobą, rzadko też wpadał w gniew. Nosił krótko ostrzyżone włosy, a jego blada twarz i zapadnięte policzki sprawiały wrażenie, że prowadzi niezdrowy tryb życia. Nic bardziej mylnego - był wysportowany i pełen energii. Członkowie załogi bardzo go lubili, ponieważ odnosił się do wszystkich z życzliwością. Nie rozstawał się ze swoją fajką; zawsze trzymał ją w ustach. Nikt się temu nie sprzeciwiał, nawet podczas zanurzenia, a to dlatego, że nigdy jej nie zapalał. Ssał ją tylko przez cały dzień i to go uspokajało. Jedynie w czasie rzadkich chwil pobytu na pokładzie upychał do niej trochę cennego tytoniu i pykał kilka razy.

Czuł wielką dumę, że należy do świetnie wyszkolonej grupy torpedowej „Orla”, choć jej członkowie nie mieli jeszcze okazji sprawdzić się w praktyce. Miał jednak pewność, że wraz z Tadeuszem i Marcinem podołają wyznaczonemu im zadaniu. Estończycy nie zdążą wznieść alarmu.

Gdy Franciszek po raz pierwszy przybył na okręt, wydawało mu się, że wśród załogi dostrzeże znajomą twarz. Okazało się, że kadet Jarek był kiedyś jego uczniem. Franciszek wiedział, że wiąże się z tym jakieś nieprzyjemne wspomnienia, ale nie mógł sobie dokładnie przypomnieć.

- Co za niespodzianka! Nie sądziłem, że spotkam cię na okręcie podwodnym - powiedział mu na powitanie. - Cieszę się, że cię widzę.

- Dziękuję. Po opuszczeniu szkoły nie miałem wcale zamiaru pójść na służbę do marynarki, ale gdy wojna stała się nieunikniona, zmieniłem zdanie. Dobrze, że pan też tu jest.

Te ciepłe słowa skrywały jednak gorycz. Z jednej strony Jarkowi wydawało się, że nauczyciel z pewnością pomoże mu się odnaleźć w nowych warunkach, ale z drugiej jego ostatnie spo-

tkanie z Franciszkiem nie należało do przyjemnych. Otóż oficer przyłapał go podczas ściągania na egzaminie i osobiście dopilnował, aby wyleciał ze szkoły.

- Naprawdę się cieszę, że się spotkaliśmy - powtórzył Franciszek z uśmiechem, przypominawszy sobie, co między nimi zaśzło. - Sądziłem wtedy, że niepotrzebnie uczęszczasz do tej szkoły, i że jej ukończenie nic ci nie da. Widzę jednak teraz, że postanowiłeś ciężko pracować, walczyć za swój kraj i zostać oficerem. Z pewnością wiele się od tego czasu nauczyłeś. Dobra robota!

Jarek odetchnął i roześmiał się. Odszedł z dumnie uniesioną głową.

Członkowie grupy planującej ucieczkę spotkali się w mesie. Nie rozmawiali - każdy pograżył się we własnych myślach, zastanawiając się, co jeszcze można zrobić i komu przydzielić jakie zadania. Nagle Ryszard podniósł wzrok.

- Właśnie wpadłem na coś, co bardzo ułatwi nam sprawę - obwieścił triumfalnie.

Wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco.

- Od jakiegoś czasu coś nieokreślonego chodziło mi po głowie - tłumaczył podniecony. - Byłem pewien, że o czymś zapomniałem, choć nie miałem pojęcia o czym. Martwiłem się tym, ale wreszcie wiem o co chodzi. Urządzenie, które stoi na końcu nabrzeża, jakieś 60 metrów od nas, to generator elektryczny. Cały prąd zużywany w stoczni przechodzi przez tę skrzynkę. Jeśli udałoby się nam ją unieszkodliwić, to wszędzie zapadną ciemności i wybuchnie panika.

Towarzysze spojrzeli na niego zdumieni. Piotr zmarszczył brwi i myślał nad możliwymi konsekwencjami takiego posunięcia i problemami, jakie mogą napotkać.

- Ale jak to zrobić? - spytał.

- Nic prostszego, wystarczy przeciąć kabel siekierą.

- Ale czy nie grozi to porażeniem? - wtrącił się Franciszek.

- Nie, jeśli siekiera będzie miała drewniany trzonek - wyjaśnił Ryszard. Spodziewał się wybuchu entuzjazmu i czuł się zawiedziony chłodną reakcją oficerów. Wiedział jednak, że jego towarzysze muszą się najpierw upewnić, że to bezpieczne.

- Kto mógłby się tego podjąć? - dążył dalej Piotr.

- Sądzę, że Marcin. Tylko on ma tyle siły, żeby przeciąć przez wód jednym ciosem.

- A w którym momencie?

- Jakies pięć minut przed odpłynięciem - tłumaczył cierpliwie Ryszard. - Powrót na okręt nie zajmie mu więcej jak piętnaście sekund. W stoczni o tej porze będzie spokojnie. Powinno nam się udać przemknąć niezauważenie. Sądzę, że wyniknie z tego niezły bałagan.

- Co ze strażnikiem?

- Nie będzie go wtedy na posterunku - odparł tajemniczo Piotr. Ryszard wolał nie pytać o co chodzi.

Ktoś musiał jeszcze zmierzyć głębokość w basenie portowym. To zadanie przypadło Darkowi, który miał udawać, że wędkuje. Oficerowie byli przekonani, że wybrali do tej roli odpowiednią osobę - Darek nigdy nie rzucał się w oczy, był raczej cichy i uprzejmy. Kiedy akurat nie pełnił służby, często widywano go pochylonego nad książką. Wyglądał dość niechlujnie z burzą zmierzwionych czarnych włosów na głowie. Chodził wечно nieogolony. Taka postawa nie byłaby możliwa na innych jednostkach floty, gdzie panowała w tym względzie surowa dyscyplina, jednak na okręcie podwodnym przymykano na to oko.

Bardzo dużo czytał i miał rozległe zainteresowania, czasem jednak wymądrzał się, mając nikłe pojęcie o temacie. Przez to zdarzało mu się kłócić z Robertem lub Ryszardem, którzy zazwyczaj wiedzieli, o czym mówią.

- Wydaje mi się - zaczął poważnie, kiedy dowiedział się o czekającej go misji - że w tym rejonie Morza Bałtyckiego jest około 20 różnych gatunków ryb. Myślę, że zarzucę przynętę na dorsza lub śledzia.

- O czym ty mówisz?! - warknął Michał. - Masz jedynie udawać, że łowisz ryby, a tak naprawdę mierzyć głębokość.

- Jasne, ale muszę sprawiać wrażenie, że wiem, co robię. W przeciwnym wypadku mogą się połapać.

- Ty durniu! Sądzisz, że strażnik będzie cię obserwował i ogłosi alarm, ponieważ użyjesz przynęty na wieloryba, a tu są tylko cholerne szprotki?!

- Nie wygłupiaj się - odparł Darek.

- Ja się wygłupiam? Wszystko, co masz zrobić, to wrzucić ciężarek do wody i sprawdzić głębokość. Nawet taki kretyn jak ty powinien to umieć.

Darek postanowił nie klócić się więcej.

Mąci Michał i Łukasz oraz kadeci Eryk i Marek mieli w odpowiednim momencie przeciąć cumy. Niżsi stopniem marynarze od razu poczuli ducha rywalizacji i postanowili, że wykonają swoje zadanie szybciej i lepiej niż przyszli oficerowie.

Arturowi przydzielono misję unieruchomienia dźwigu, za pomocą którego wyladowywano torpedy.

Ten starszy bosman sztabowy ciągle chodził wściekły. Stronił zarówno od innych marynarzy, jak i od oficerów. Czuł się tak dlatego, że mimo 12 lat służby w marynarce wciąż nie został awansowany. Był pewien, że zasługuje już na stopień oficerski. Tuż przed wojną przeniesiono go na „Orła”, ale nie otrzymał upragnionego stanowiska. Nie po raz pierwszy nie dostał tego, co według jego mniemania należało mu się już dawno.

Już w szkole nie poświęcano mu należytej uwagi i nie obdarzano uznaniem, którego bardzo potrzebował. Kiedyś jednemu z uczniów publicznie pogratulowano świetnego wyniku ze sprawdzianu z matematyki. Nikt wtedy nawet nie wspomniał, że Artur uzyskał tyle samo punktów.

Służył jako sternik na jednym z niszczycieli. Jego okręt wpłynął kiedyś w sam środek potężnego sztormu. Artur, stojąc przy sterze, poczynał sobie bardzo dzielnie i kapitan pochwalił go. Kiedy jednak dumny z siebie sternik zszedł na dół do mesy, usłyszał, jak jeden z kolegów właśnie informował pozostałych, że ktoś świetnie poradził sobie ze sterem. Artur zauważył, że tym „ktosiem” był on sam, ale wtedy rozmowa nagle się urwała.

Teraz liczył już tylko na to, że jego szansę awansu wzrosną podczas wojny, która przecież nieubłaganie zabiera tyle ofiar, również spośród oficerów. Na razie jednak w jego otoczeniu nic się nie działo - siedział zamknięty w okręcie podwodnym na środku Morza Bałtyckiego. Jedyni ludzie, którzy mogliby go uczynić oficerem, zostali w Gdyni i pewnie już nie żyli. Nie miał wielkich nadziei, ale wciąż tliła się w nim isierka determinacji, aby jak najlepiej wypełnić powierzona mu misję.

Tak naprawdę wszyscy go lubili. Mówiono o nim, że zachowuje się jak typowy marynarz - nawet trochę kołysał się przy chodzeniu. Spokojny i opanowany, sprawiał na innych wrażenie życzliwego. Umiał znaleźć się w kryzysowej sytuacji. Odczuwał teraz pewną satysfakcję,

ponieważ przydzielono mu najtrudniejsze zadanie. Musiał uszkodzić dźwig w ciągu dnia, żeby zapobiec dalszemu wyładunkowi torped.

- To nie będzie łatwe - powiedział Bogdan, kiedy spotkał Piotra i Artura.

- Ale chyba możliwe - dodał optymistycznie pierwszy oficer.

- W każdym razie musimy to zrobić. Trzeba *znaleźć* jakiś sposób, żeby Artur mógł wyjść na nabrzeże i dostać się do kabiny dźwigu tak, żeby nikt tego nie zauważył - tłumaczył dowódca.

- Panie kapitanie, jeśli mogę - przerwał Artur. - Sądzę, że znam sposób, żeby wydostać się na brzeg.

- Dobrze, mów - odpowiedział Bogdan, zdziwiony taką szybką reakcją.

- Jeśli się nie mylę, to decyzja o internowaniu została nam dostarczona na urzędowym papierze z estońskim godłem?

Kapitan pokiwał głową.

- W takim razie moglibyśmy je wyciąć i nakleić na dużą brązową kopertę, włożyć tam kilka kartek papieru, zaadresować do

głównodowodzącego estońską marynarką i opatrzyć napisem „pilne”. Włożę mundur, żeby wyglądać poważnie, zejść po trapie i spytam strażnika o drogę do kwatery głównej floty. Wiem, że znajduje się ona w budynku po drugiej stronie dźwigu, ponieważ tam odprowadzono kapitana. Odezwę się do żołnierza zdecydowanym tonem, po rosyjsku - na pewno mnie zrozumie. Gdy będę przechodził obok dźwigu, zniknę z pola widzenia wartownika. Wtedy szybko wskoczę do kabiny. Powinno się udać, ponieważ Estończycy zwykle nie kwestionują rozkazów przełożonych, a poza tym panicznie boją się Rosjan. Będzie zapewne myślał, że niosę jakieś dokumenty związane z internowaniem. Jest dosyć zimno, więc założę płaszcz, pod którym mogę ukryć szczypce do cięcia drutu i małą piłkę do metalu. Poprzecinani następnie wszystkie przewody w kabine dźwigu. Bogdan spojrzał na Artura z uznaniem.

- Świetnie to wymyśliłeś, dobra robota - powiedział, a bosman wyprężył się, zadowolony z pochwały. - Ale nie wolno przeciąć głównego kabla, bo wtedy wszystko by się wydało. Domyśliliby się, że nie chcemy poddać się internowaniu - dodał w zamyśleniu.

- Z całym szacunkiem, panie kapitanie - wtrącił się Artur - ale nie mam zamiaru po prostu go przeciąć. Natę pojedyncze przewody piłką w różnych miejscach i pod różnymi kątami, tak żeby wyglądało to na zwykłe zużycie. Będą sądzili, że popękały w czasie pracy dźwigu. A główny kabel urwie się przy pierwszej próbie podniesienia czegokolwiek.

Bogdan i Piotr uśmiechnęli się i pokiwali głowami.

- Jest jeszcze jeden szkopuł - rzekł kapitan. - Co prawda

strażnik nie będzie cię mógł zobaczyć, ale wokół kręci się mnóstwo ludzi; ktoś może cię zauważyć.

- Odwrócimy ich uwagę - odpowiedział Piotr. - Załoga będzie musiała wszcząć awanturę na rafie. To przyciągnie tłum gapiów. Naszym marynarzom z pewnością spodoba się ten pomysł, a Estończycy będą tak zdziwieni i rozbawieni, że nie pomyślą nawet o pilnowaniu dźwigu.

- Zajmij się tym - polecił dowódca. - Wkrótce wznowią wyładowywanie torped, a zostało nam ich już tylko siedem.

Spotkanie dobiegło końca i Piotr odszedł, aby wtajemniczyć załogę w dalsze plany. Bogdan i Artur zajęli się preparowaniem dokumentów.

Od początku wojny „Orzeł” popadał w coraz większe kłopoty, ale teraz ich los zaczął się odmieniać. Wszystko szło zgodnie z planem. Artur poszedł przebrać się w mundur. Wtedy do kajuty dowódcy wszedł podniecony Tomasz.

- Myślę, że uśmiechnęło się do nas szczęście - powiedział. - Do portu właśnie wchodzi rosyjski niszczyciel i chyba będzie cumował przy kei obok nas, zasłaniając trochę dźwig. Wszyscy pobiegli patrzeć jak wpływa i nikt już nie zwraca na nas uwagi. Tak jest w każdym porcie na świecie - wszyscy obserwują dobijający statek, mając nadzieję, że coś się wydarzy i będzie się można trochę rozerwać.

- A niech mnie! - zaśmiał się Bogdan. - Mamy szczęście. Masz rację, wszyscy będą teraz patrzeć tylko na niego. Idź do Artura i pomóż mu się przygotować. Powiedz naszym chłopakom, żeby przyłączyli się do tłumu i starali się ściągnąć na siebie uwagę. Najlepiej niech wykrzykują przekleństwa po polsku. I tak nikt ich nie zrozumie.

Tomasz odszedł, żeby znaleźć Artura, uśmiechając się do siebie w duchu. W końcu może coś się uda.

Niska temperatura również działała na ich korzyść. Wartownik na trapie „Orła” zdążył już porządnie zmarznąć i wynudzić się, kiedy zbliżył się do niego okutany w płaszcz Artur. Żołnierz spojrział z zazdrością na jego ubranie, rzucił tylko okiem na kopertę i niedbałym ruchem ręki wskazał na budynek kwatery głównej.

Nieopodal słychać było wrzawy - oficerowie wykrzykiwali rozkazy, dzwoniły kabestany. Rosyjski okręt powoli manewro-

wał, starając się dobić do kei. Podchodzono rufą, więc wszystko trwało dłużej niż zazwyczaj. Okazało się, że Tomasz miał rację - wszyscy zainteresowali się tym wydarzeniem. Normalnie na nabrzeżu czekałoby dwóch ludzi, żeby złapać cumy; teraz zbiegło się pięciu lub sześciu.

Arturowi serce podchodziło do gardła, ale szedł pewnym krokiem w stronę dźwigu. Tak jak podejrzewał, wszyscy patrzyli na wchodzący do portu statek. Schował się szybko za beczkami po ropie i szukał wzrokiem obsługi dźwigu, która miała niedługo znów zacząć wyładowywać torpedy. Okazało się, że i ona przyłączyła się do tłumu gapiów. Zadowolony bosman wskoczył do kabiny i zaczął oglądać przewody.

Położył się na plecach i skulił, żeby zmieścić się w środku. Z zaskoczeniem stwierdził, że drżą mu ręce. Rozplątywał przewody i nacinał je w różnych miejscach, tak żeby po pęknięciu

głównego kabla wyglądało to naturalnie. Wszystko szło dobrze i po kilku minutach stwierdził, że już dostatecznie osłabił całą konstrukcję. Miał nadzieję, że nic się nie wyda. Po dwudziestu minutach wypełził z kabiny. Rosyjski statek wciąż przykuwał uwagę obsługi stoczni i portu. Rozejrzał się dokoła, upewnił, że nie zostawił żadnych śladów, i wyszedł na otwartą przestrzeń, nie zauważony przez nikogo.

Uśmiechnął się do wartownika, kiedy wrócił na okręt. Żołnierz nie odwzajemnił jednak powitania, więc Artur wspiął się po trapie i wszedł przez właz do środka.

Po godzinie tłum przy rosyjskiej jednostce trochę się przerzedził, więc obsługa dźwigu wróciła niemrawo do pracy. Włączyli maszynę i wysięgnik zaczął się powoli przesuwac nad rufę „Orła”. Na pokład opuszczono podnośnik. Tam stali już ludzie wyznaczeni do ładowania torped; po półgodzinie rozpoczęto wyciąganie pierwszej. Nie podniesiono jej nawet na wysokość burty, kiedy dał się słyszeć głośny trzask pękającego kabla, a potem metaliczny huk pocisku, który opadł z powrotem do środka okrętu.

Chwilę później wszyscy zaczęli wrzeszczeć i wymachiwać rękami.

Artur stał na mostku i uśmiechał się szeroko. Dobrze wykonał swoje zadanie. Teraz już nikt nie dojdzie, jaki był prawdziwy powód uszkodzenia dźwigu.

• Jakiś problem? - spytał Tomasz, przechodząc na rufę. Sto jący nieopodal estoński oficer nie odezwał się, ale gestem poka zał, że coś się złamało. Polski oficer spojrział na niego zdziwiony. W końcu ktoś z dźwigu krzyknął.

• Kabel poszedł! Dopiero jutro będziemy mogli go wymie nić!

Tomasz wzruszył ramionami, ale w duchu cieszył się jak dziecko.

Odnieśli pierwszy sukces, a za nim poszły następne.

Zgodnie z planem Kazik włączył wcześniej żyrokompas, żeby sprzęt zdążył się ustawić we właściwym położeniu. Jednakże estoński strażnik w sterowni miał na wszystko oko i zainteresował się, gdy urządzenie zaczęło nagle wydawać buczący dźwięk.

Bosman zauważył zdziwienie żołnierza i zaczął się wachlować ręką.

- Dodatkowa klimatyzacja - wyjaśnił z uśmiechem. - Robi się gorąco.

Estończyk pokiwał głową.

Bogdan rozejrzał się po okręcie, rozważając sytuację. Udało im się na razie powstrzymać rozmontowywanie radia i silników. Stanął również rozładunek torped. Możliwość ucieczki stawała się coraz bardziej realna.

Zwołano kolejne zebranie. Członków załogi rozpierała duma z tego, co już osiągnęli, ale mieli świadomość, jak dużo jeszcze przed nimi.

Omówiono zadania i ustalono harmonogram. Po długich namysłach zdecydowano, że wszyscy położą się o 22.30 i będą udawać, że twardo śpią. Chcieli sprawiać wrażenie pogodzonych z losem.

Piotr, Robert i Stefan opracowywali plan wyjścia z portu. Sternik usiłował przypomnieć sobie trasę, którą wchodzili.

• Spójrzmy na to od końca - tłumaczył. - Najpierw musimy

minąć prawą burtą centralną boję, a potem natychmiast skrócić w prawo i kierować się w stronę głównego wyjścia. Powinno się udać, ale nie możemy zapomnieć o ławicy na środku portu. Nie wiemy, jak jest rozległa. Jeśli natomiast pójdziemy zbyt dużym łukiem, to możemy wpaść na mieliznę przy skraju basenu.

- To nie brzmi zbyt optymistycznie - zauważył kwaśno Piotr. Jacek przysłuchiwał się tej rozmowie z zaciekawieniem. Stefan udawał, że wie o czym mowa, ale nie miał o tym zielonego pojęcia.

W tym czasie Darek odgrywał rolę zapalonego wędkarza. Wziął bączka i pływał dokoła okrętu, zarzucając co chwila linkę, jak gdyby właśnie dojrzał jakieś ryby. Estońscy wartownicy obserwowali go, śmiejąc się z głupoty polskiego marynarza - nikomu nigdy nie udało się nic złowić w tej części portu. Sznur, którego używał, miał co metr zawiązane supełki i na końcu ciężarek, który opadał na dno. Darkowi udało się ustalić, że w najpłytszym miejscu głębokość wynosi około 7 metrów - wystarczająco dla „Orla”.

Gdy wrócił, stawiał się u Bogdana i przekazał mu swoje pomiary. Uzgodniono, że próba ucieczki rozpocznie się o północy.

Marynarze położyli się wcześniej, zamknęli oczy i wydawało się, że zapadli w głęboki sen - wszyscy w tym samym momencie.

Estończycy nie dostrzegli w tym nic podejrzanego. Właściwie cieszyli się, że Polacy pogodzili się z sytuacją, więc nie będą sprawiać kłopotów.

Wtedy jednak pojawił się pewien problem.

O 23.30 przy trapie zjawił się starszy stopniem estoński oficer z eskortą i chciał wejść na pokład. Tomasz, który właśnie pełnił wachtę, zszedł po trapie.

- Witam - powiedział grzecznie i uśmiechnął się. - Czym mogę służyć?

- Przyszliśmy sprawdzić, czy wszystko w porządku - odparł Estończyk. - Mamy wejść na pokład i rozejrzeć się.

- To niezbyt taktowne. Chyba nie mogę się na to zgodzić - odparł Tomasz nienaturalnie życzliwym tonem. - Wszyscy już śpią. Mają za sobą bardzo ciężki dzień, a jutro również czeka ich dużo pracy. Członkowie załogi zamartwiają się bardzo tym, co dzieje się z okrętem, a także internowaniem. Sądzę, że zasługują na spokojny sen, więc nie pozwolę, żebyście im przeszkadzali.

Oficer potrząsnął głową.

- Jestem pewien, że nie zabawimy tu długo i znów będą mogli zasnąć - odrzekł, stawiając nogę na trapie.

Tomasz stanął mu na drodze.

- Jeśli pan nalega, to zbudzę kapitana, a on z pewnością będzie chciał w tej sytuacji porozmawiać z pańskim przełożonym, który też pewnie śpi - polski oficer zrobił ruch, jakby chciał się odwrócić i pójść po dowódcę.

Estończyk zawahał się, nie chcąc narobić sobie kłopotów. To prawda, jego zwierzchnik zapewne śpi i nie będzie szczęśliwy, jeśli zbudzi się go dla tak błahej sprawy.

- Dobrze - odezwał się w końcu - teraz odejdziemy, ale wró

cimy jutro bardzo wcześnie rano.

- To bardzo miłe z pana strony - odparł Tomasz z szacunkiem. - Będziemy na was czekać.

Oficer estoński skłonił się grzecznie i odszedł razem ze swoimi ludźmi. Nie zauważył, że Polak odetchnął z ulgą.

Tomasz szybko poszedł do Bogdana, aby powiadomić go o zaistniałej sytuacji. Kapitan leżał na koi z otwartymi oczami i rozmyślał.

- Za dużo się dzieje dookoła - zasugerował dowódcy Tomasz.
- Po nabrzeżu wciąż chodzą ludzie, więc wzbudzimy mnóstwo podejrzeń, jeśli zaczniemy teraz cokolwiek robić. Nie sędzę, żeby ucieczka o północy powiodła się.

Bogdan zasepił się.

- Sprowadź tu Piotra, Franciszka i Ryszarda; zobaczmy, co oni powiedzą.

- Bez szans - zawołał pierwszy oficer, kiedy usłyszał, o co chodzi. - W sekundę zorientują się o co chodzi.

Franciszek i Ryszard przytaknęli.

- Zmieńmy godzinę na 2.00. Wciąż będzie ciemno, a do tego czasu część wartowników pójdzie już spać.

Uzgodniono nowy termin i przekazano wiadomość reszcie załogi. Większość ludzi ucieszyła się w duchu, chcąc naprawdę trochę się zdrzemnąć lub w spokoju pomyśleć.

Kapitan leżał na swojej koi i po raz kolejny powtarzał w myślach poszczególne etapy ucieczki, zastanawiając się, czy czegoś nie pominęli. Kiedy już upewnił się, że nic więcej nie można zrobić, a i tak przypuszczalnie wszystko pójdzie źle, postanowił pomyśleć o czymś innym. Natychmiast jednak tego pożałował.

Nie potrafił pozbyć się wspomnień, które towarzyszyły mu od wypłynięcia z Gdyni. Jego towarzysze nic nie wiedzieli o tych zmartwieniach. Miesiąc przed wybuchem wojny jego żona Aleksandra oświadczyła mu, że spodziewa się dziecka. Termin porodu wypadł w marcu.

Kiedy się o tym dowiedział, od razu przypomniał sobie ich wspólny lipcowy wyjazd do Warszawy. Pojechali odwiedzić jego rodziców i pobyć z nimi kilka dni. Spędzili razem cudowne chwile. Myślał wtedy, że wreszcie stworzą prawdziwą rodzinę, a dziecko dopełni ich szczęścia.

Rzeczywistość zrujnowała te marzenia. Czy kiedykolwiek ze baczyci swoje maleństwo? Czy to będzie syn, czy córka? Co si stanie z jego żoną?

Pytania kołatały mu się po głowie. Popadał w coraz większ rozpacz. Dowiedział się o ciąży żony tuż przed wypłynięciem i nawet nie miał czasu z nią dłużej porozmawiać.

Sędził, że Niemcy właśnie niszczą kraj i pewnie doszli już d Warszawy. Możliwe, że zajęli już całą Polskę i jego potomek urc dzi się w państwie okupowanym przez nieprzyjaciela. Zgryzot doprowadzała go do szaleństwa. Postanowił, że nie będzie dłużej o tym myślał.

Tadeusz również powrócił myślami do problemów osobi stych. Podczas ostatniej wizyty w

domu sytuacja zdawała wym> kac się spod kontroli. Panowała grobowa atmosfera. Jego matka oskarżyła Beatę o kradzież pieniędzy. Tadeusz wiedział, że żon nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, ale staruszka nie dawała si przekonać i wymyślała synowi, że występuje przeciwko własn matce, która poświęciła dla niego całe swoje życie. Dwa dni pÓ2 niej, kiedy miał już wracać na okręt, pieniądze znalazły się n dnie szuflady. Siedemdziesięcioletnia Irena po prostu zapomniała, gdzie je położyła, ale nie miała zamiaru nikogo przeproszać Tadeusz wyjechał, mając nadzieję, że zbliżające się zagrożeni jakoś pogodzi obie kobiety.

Jan leżał na pokładzie oparty o torpedę i zastanawiał się, c dzieje się z jego braćmi -dziewiętnastoletnim Józefem i piętna stoletnim Mikołajem. Chłopcy wciąż mieszkali u rodziców i chc dzili do szkoły. Niewiele jeszcze w życiu przeszli. Oczekiwane że wyuczą się zegarmistrzowskiego fachu, ale wybuchła woj m Nie wiadomo, co stanie się teraz z rodzinną tradycją. Miał jec nak nadzieję, że najeźdźcy przemaszerują po prostu przez Pęzino,

skąd pochodził, i skieruj ą się w stronę Stargardu Szczecińskiego. W jego wiosce znajdują się ruiny XIII-wiecznego zamku, ale one raczej nie zainteresują żołnierzy, którzy wołą sami dokonywać dzieła zniszczenia.

Wszyscy na okręcie zamartwiali się o swoich bliskich.

Około godziny 1.30 członkowie załogi zaczęli odczuwać niepokój, choć nikt jeszcze nie wstał. Mieli się zerwać ze swoich miejsc dopiero na sygnał dany przez Bogdana, kiedy uda się już unieszkodliwić trzech strażników - na trapie, w sterowni i na mostku.

Marynarze wyznaczeni do tego zadania zeszli po cichu ze swoich koi i rozdzielili się bezszelestnie. Jeśli ktoś wtajemniczony teraz by na nich spojrział, nie miałby wątpliwości, że dobrze wykonają swoją misję. Udali się na uzgodnione wcześniej pozycje.

Ci, którzy mieli przeciąć cumy, również spotkali się, żeby ustalić szczegóły.

Pierwszy na miejsce przybył kłótlivy Michał. Prawie zawsze nie *zgadzał* się ze swoimi rozmówcami, ale tylko tak dla sportu; w rzeczywistości nigdy nie miał uprzedzeń. Problem w tym, że jego adwersarze nie widzieli w takim postępowaniu nic zabawnego. Wyróżniał go jednak entuzjazm. Choć nie był zbyt potężnej budowy, nikt nie miał wątpliwości, że przetnie linę jednym uderzeniem.

Dołączył do niego Łukasz. Zwykle spokojny i opanowany, umiał się doskonale znaleźć w chwili próby. Chciał dokładnie wykonać rozkaz i pokazać swoją determinację. Przyrzekł sobie, że zrobi wszystko, żeby załatwić cumę jednym ciosem.

Jedno nie ulegało wszakże wątpliwości: główna walka o jak najszybsze pozbycie się lin rozegra się między Brykiem i Mar-kiem. Ten pierwszy miał do sprawy podejście dość niefrasobliwe; sądził, że wystarczy jedno potężne cięcie. Marek podszedł do tej kwestii znaczenie bardziej metodycznie. Długo zastanawiał się, pod jakim kątem się ustawić i jak trzymać siekiere, aby w momencie uderzenia osiągnąć największą siłę. Każdy był pewien wygranej.

Na Ryszardzie ciążyła wielka odpowiedzialność - miał sprawić, aby w porcie zapadła ciemność. Przygotowywał się do wypełnienia tej misji z właściwą sobie precyzją. Naostrzył toporek i jeszcze raz powtórzył w myślach kolejne kroki. Czuł, że wszystko się uda.

O1.55 Bogdan wszedł do sterowni, uśmiechając się do estońskiego wartownika, i spojrzał na stół, gdzie leżały jakieś papiery. Żołnierz, chcąc zobaczyć, na co patrzy kapitan, podszedł do niego i spojrzał mu przez ramię. W tej samej chwili Tadeusz przystawił mu rewolwer do głowy i gestem nakazał milczenie. Strażnik chciał krzyknąć, ale nie zdążył, ponieważ Tadeusz z całej siły uderzył go pięścią w brzuch.

Władysław podkradał się właśnie do swojej ofiary, nie wypuszczając fajki z ust. Estończyk czuwający na mostku otrząsnął się z płytkiego snu, kiedy usłyszał dobiegające z dołu dźwięki. Chciał sprawdzić, co się dzieje, więc podszedł do wjazdu i spojrzał w dół. W tym momencie ktoś złapał go za głowę i przewrócił na ziemię.

Tymczasem Grzegorz szedł spokojnie po trapie w stronę zaskoczonego strażnika. Ten chciał podnieść karabin, ale Polak jednym uderzeniem wytrącił mu go z ręki i potężnym ciosem w podbródek w jednej chwili znokautował przeciwnika.

Wtedy Ryszard, który czekał na właściwy moment schowany za kioskiem, puścił się pędem w stronę generatora. Zachmurzone niebo nie przepuszczało światła księżyca, a port był prawie pusty. Bosman jednym uderzeniem rozbił kłódkę, otworzył drzwiczki i od razu zauważył główny przewód, który wychodził z ziemi.

Przymknął oczy i starał się uspokoić oddech. Teraz wszystko zależało od jego koncentracji. Wzniósł siekiere nad głowę i zamachnął się z całej siły. W jednej chwili wszędzie wokół zapanowała ciemność. Odrzucił szybko swoje narzędzie i co sił w nogach pobiegł z powrotem na okręt. W tym samym czasie czterech ludzi odczepiało cumy. Dało się słyszeć pierwsze nerwowe krzyki zaskoczonych ciemnością ludzi.

Jerzy odpalił silniki; Bogdan stał na mostku, a Stefan kręcił sterem, kierując dziób okrętu w stronę wyjścia z portu. Wszystko szło zgodnie z planem i członkowie załogi z satysfakcją myśleli teraz o minach Estończyków. Zapanował radosny i optymistyczny nastrój. Nagle rozległ się terkot karabinu maszynowego i o kiosk zaczęły dzwonić kule.

- Szybka reakcja - powiedział Bogdan, padając na ziemię obok Piotra. - Ktoś musiał nie spać.

Okręt nabierał prędkości, płynąc w stronę centralnej boi. Drugi karabin rozpoczął ostrzał; tuż nad nimi przeleciał pocisk, lądując przy nabrzeżu.

- Muszą uważać - mruknął dowódca - bo inaczej trafią własną jednostkę.

-Albo rosyjski niszczyciel - dodał z nadzieją Stefan.

Sternik prowadził, polegając na swoim instynkcie. Zbliżyli się do boi bardziej niż planowano. Bogdan dostrzegł estońską motorówkę, która właśnie odchodziła od kei. Jednak w tym momencie okrętem podwodnym targnął nagły wstrząs i wszyscy upadli na ziemię. „Orzeł” zatrzymał się całkowicie. Wpadli na piaszczystą łachę, której tak bardzo chcieli uniknąć. Ten wypadek mógł przesądzić o losach całej ucieczki. Wszyscy zadrżeli, tylko Jacek w głębi duszy odczuł pewną satysfakcję. Okazało się, że Stefan nie jest tak nieomylny, jak się wszystkim wydawało.

- Cała naprzód, ster lewo na burt! - krzyknął przez tubę Bogdan.

Jerzy zareagował natychmiast; silniki zawyły. Wypuszczono niebieski dym, który miał dać im potrzebną osłonę. Następny pocisk spadł już bardzo blisko nich. Okręt drgnął, ale nie poruszył się nawet o milimetr do przodu. Kolejna próba. Członkowie załogi wstrzymali oddech. W końcu udało się - „Orzeł” zszedł mięk-

ko z mielizny i wypłynął na głęboką wodę.

Szybko nabierali prędkości, ukryci za niebieską chmurą. W ciągu kilku minut pokonali dystans dzielący ich od wyjścia.

Rozpoczęła się kanonada. Bombardowano ich nawet z wielkich dział umieszczonych na brzegu, ale na szczęście niecelnie. Gdy tylko przeszli główki portu, Bogdan natychmiast rozkazał Stefanowi obrać kurs na północ, w kierunku Zatoki Fińskiej, choć wiedział, że ścigające ich statki dostrzegą ten zwrot. Kiedy wypłynęli kawałek, wydał polecenie zanurzenia. Wokół nich spadał grad pocisków.

Opuszczono mostek i okręt zniknął pod powierzchnią wody.

- Kurs 175° - padła komenda. Obrócili się o 180°.
- Kierujemy się na południe, wzdłuż wybrzeży Estonii. Oni sądzą, że będziemy chcieli jak najszybciej dostać się na otwarte morze i tam będą nas szukać - wyjaśnił kapitan.

- Mam nadzieję - zaśmiał się Piotr.

Załoga, czując się bezpiecznie w głębinach, świętowała swój sukces.

- Jesteśmy wolni - ktoś krzyknął - teraz możemy już walczyć z Niemcami.

- No, nie wiem - odparł pesymistycznie pierwszy oficer.

- Nie mamy map, instrumentów nawigacyjnych, działa, a część urządzeń nie została naprawiona. Dysponujemy tylko sześcioma torpedami i ograniczonymi zasobami paliwa.

Rozmowę nagle przerwał okrzyk z pomieszczenia radiooperatora.

- Jezu Chryste! - wrzeszczał Sławomir. - Rosjanie napadli na Polskę!

Wszyscy nagle ucichli. Poczuli się, jakby ktoś uderzył ich w twarz. Gapili się z niedowierzaniem w stronę, z której doszła

ich ta wiadomość. Nie mogli uwierzyć w to, co usłyszeli. Sądzieli, że sprawy właśnie ruszyły do przodu, i że teraz będzie już tylko lepiej; okazało się jednak, że sprawdziły się ich najgorsze obawy. Spojrzeli po sobie ze zmarszczonymi brwiami.

Nie martwili się oczywiście o siebie, ponieważ te wieści w małym stopniu dotyczyły teraz „Orła”, który i tak miał samotnie walczyć z nieprzyjacielem. Pomyśleli o swoich rodzinach w kraju, który został otoczony przez wrogów. Napawało ich to przerażeniem.

- Dranie! - Marek splunął na ziemię, wyrażając tym samym odczucia wszystkich znajdujących się na okręcie. Była niedziela, 17 września 1939 roku.

Rozdział 6

Estończycy pożegnali czule „Orła”, strzelając na jego cześć ze wszystkich dział zgromadzonych w porcie. Oczywiście pociski chybiły - w takiej sytuacji bardzo trudno jest celnie trafić.

Okręt płynął całą naprzód, a Bogdan rozmyślał, co będzie dalej. Targały nim mieszane uczucia. Z jednej strony, cieszył się, że odzyskali wolność i zachowali jako taką sprawność bojową, niepokoił się jednak o to, co czeka ich w ciągu kilku najbliższych dni.

Kapitan dowodzący jednostką morską w normalnych warunkach ma do dyspozycji sprzęt nawigacyjny i mapy, na których zaznaczone są mielizny, linie brzegowe oraz inne niebezpieczeństwa. Otrzymuje regularne meldunki z prognozą pogody. Ufa kompasowi, ponieważ obok leży sekstans, którym może potwierdzić pozycję statku. W końcu zawsze gdzieś tam znajduje się port, do którego można wrócić, żeby uzupełnić zapasy paliwa i żywności. Bogdan nie miał ani jednej z tych rzeczy; czuł się jak ślepiec, prowadzący za sobą innych ślepców. Nie wiedział nawet, jakie mogą grozić im niebezpieczeństwa. Ogarnęła go niepewność.

Gdy ocenił, że głębokość jest już wystarczająca do zanurzenia, wydał rozkaz zejścia pod wodę. Odetchnął z ulgą, kiedy okazało się, że w nic nie uderzyli. A to był dopiero pierwszy manewr. Płynęli teraz wzdłuż wybrzeża Estonii.

Obrał taki kurs z dwóch powodów, jak wyjaśnił później swoim oficerom. Podzielił się już z załogą przekonaniem, że pościg z pewnością ruszy na pełne morze. Po drugie - chciał odstawić więźniów na brzeg jeszcze w ich kraju. Dwóch żołnierzy zostało już uwolnionych z więzów i teraz odpoczywali. Traktowano

ich jak gości, a nie jeńców. Towarzyszyła im trójka marynarzy. Estończycy wydawali się zadowoleni - było im ciepło, dostali jeść, oddano im do dyspozycji wygodne koje. Nie mieli pojęcia o zagrożeniach, jakie czekały teraz „Orła”.

Tymczasem okręt spoczął na dnie. Wokół ani śladu przeciwnika. Wydawało się, że wybieg się powiodł. O świcie kapitan zdecydował, że powinni się na chwilę wynurzyć, żeby sprawdzić, jak bardzo oddalili się od brzegu. Okazało się, że znajdują się jakieś 100 metrów od skalistego wybrzeża, a głębokość wynosi niecałe 10 metrów. Chmury i mgła ograniczały widoczność, a mętne wody Bałtyku dawały dobrą osłonę. Nikt nie zdołałby ich wypatrzeć. Po raz pierwszy w życiu Bogdan cieszył się, że nie pływają po jasnym, błękitnym i przejrzystym Morzu Śródziemnym.

Dowódca dość dobrze znał Morze Bałtyckie i wiedział mniej więcej, gdzie leżą najważniejsze wyspy - Gotlandia i Bornholm. Pamiętał również położenie zatok - Botnickiej, Fińskiej i Ryskiej; nie miał jednak w głowie szczegółowej mapy. Za to członkowie załogi „Orła” posiadali rozliczne talenty i umiejętności, więc każdy problem dawało się jakoś rozwiązać. Teraz właśnie Bogdan przypomniał sobie, że Robert, drugi mechanik, znał świetnie ten akwen i pracował kiedyś jako kartograf.

- Wiesz, w czym rzecz - powiedział mu kapitan. - Co możesz zrobić?

- Mogę naszkicować mapę i zaznaczyć na niej najniebezpieczniejsze obszary i główne wyspy. Naniosę też bardzo przybliżone głębokości. Przyda mi się do tego spis latarni bałtyckich, którego Estończycy nie zarekwirowali. Resztę jakoś wymyślę - odparł pewnym głosem Robert.

Posiadał naprawdę rozległą wiedzę na temat Morza Bałtyckiego. Był bardzo ambitny; zgłosił się do służby w marynarce, chcąc pójść w ślady swego zmarłego ojca. Pochłaniał książki, pragnąc nauczyć się jak najwięcej ze wszystkich dziedzin. Podobnie jak Ryszarda, fascynowała go astronomia, którą starał się wykorzystywać do nawigacji.

Ciekawili go również ludzie i to, w jaki sposób reagują w różnych sytuacjach. Robert obserwował swoich towarzyszy i jako jedyny spośród członków załogi zdawał sobie sprawę, że kapitan, choć sprawia wrażenie pewnego siebie, ukrywa pod tą maską jakieś zmartwienie.

Koledzy Roberta uważali go za milczka i perfekcjonistę. Cały wolny czas spędzał nad

książkami i odbijało się to na jego zdrowiu. *Zaczynał łysieć*, choć nie wiedział o tym. Miał w zwyczaju gładzić ręką swoje włosy, których wciąż ubywało.

Teraz powiódł wzrokiem po słuchających go ludziach.

- Tallin leży na 59° długości geograficznej północnej i 25° szerokości geograficznej wschodniej. Zaczniemy od naniesienia tego portu - narysował wijącą się linię wzdłuż prawej krawędzi kartki. - To jest wybrzeże Estonii - wyjaśnił. - Tu są dwie wyspy, na północ od Zatoki Ryskiej. Nie wiem, jak się nazywają. Tę mniejszą ochrzczę „Wyspą Piotra”, a większą „Wyspą Tomasza”.

- Dlaczego moja ma być ta mniejsza? - spytał z uśmiechem Piotr.

- Bo jest ważniejsza - odparł dyplomatycznie Robert. - Sądzę, że w tym momencie znajdujemy się kilka mil na północ od nich, sugeruję więc - spojrzał na Bogdana - żebyśmy przeszli w nocy między nimi. Nazwiemy ten przesmyk „Cieśniną Bogdana”. Może tam być bardzo płytko, dlatego lepiej się wynurzyć. Na zachodnim krańcu Wyspy Tomasza znajduje się światło nawigacyjne. Kiedy je minimy, wypłyniemy na otwarte morze i skierujemy się w stronę wybrzeża Szwecji. Powinniśmy bez problemu zgubić rosyjski pościg. Potem możemy zawrócić na południe i zacząć szukać Niemców.

Drugi mechanik szkicował teraz linię brzegową Polski, Niemiec, Danii i Szwecji, nie zapominając o wyspach - Bornholmie i Gotlandii.

- W pobliżu Gotlandii jest dosyć głęboko. Kiedy tam dopłyniemy, zdecydujemy co robić dalej - spojrzał pytająco na Bogdana.

- Nieźle - odparł życzliwie kapitan - ale naprawdę powinniśmy zdobyć jakieś mapy. Może uda nam się zatrzymać jakiś frachtowiec i zmusić załogę, żeby oddała nam swoje. Tomaszu, wybierz kilku ludzi i rozdaj im broń, którą udało się uratować przed konfiskatą. Poprowadzisz ich do abordażu, jeśli zdołamy zbliżyć się do jakiejś jednostki.

Oficer przytaknął.

- Gdy się ściemni, wystawimy antenę i spróbujemy złapać jakieś wiadomości. Wtedy postanowimy co dalej.

Więści, które odebrali przez radio, okazały się dość zaskakujące. Bogdan i Piotr weszli do pomieszczenia, w którym odpoczywali Estończycy.

- Może was to zdziwić, ale okazuje się, że nie żyjecie - powiedział im kapitan. - Przekazuję wam najszczerze wyrazy współczucia. Rosyjskie radio podało, że morze wyrzuciło wasze ciała na brzeg w Tallinie. Co więcej, nasz okręt został zniszczony przez rosyjski niszczyciel krótko po tym, jak opuściliśmy port. Wszyscy zginęli. Myślę, że należy się nam minuta ciszy - oznaj

mił uroczyście.

- Nie żyjemy?! Kłamliwe dranie! - wybuchnął Jaan, jeden z Estończyków. - Powiedzieli tak mojej żonie?

- Tak sądzę - odparł Bogdan. - A ty co myślisz, Helijorze? - zagadnął drugiego żołnierza.

- Nie mam żony, ale moja matka wpadnie w rozpacz. Musimy jak najszybciej zejść na brzeg i wrócić do domu. Ona jest bardzo stara i może tego nie przeżyć.

- No właśnie - rzekł kapitan. - Niestety, nie mogę was wysłać na ląd w Estonii, jak wcześniej planowaliśmy.

Żołnierze spojrzeli po sobie przerażeni. Obiecano im, że odzyskają wolność przy najbliższej sposobności.

- Jeśli pokażecie się teraz w kraju, to natychmiast was zabiją. Nie mogą sobie pozwolić na to, żebyście nagle pojawili się między ludźmi. Nie po tych wszystkich bzdurach, które podali.

Wasza obecność dowodziłaby, że kłamią. Chciałbym, żebyście wyszli na brzeg w Szwecji. Tam możecie opowiedzieć, co się wydarzyło, i powiadomić rodziny o tym, że żyjecie. Nie ma innej możliwości.

Estończycy milczeli jak zakłęci, ale wydawali się rozumieć argumenty dowódcy. Pokiwali w końcu głowami.

Kiedy ucichł już gwar rozmów, wywołanych przez nieoczekiwaną wiadomość, członkowie załogi pograżyli się w rozmyślaniach. Powietrze gęstniało, ponieważ okręt przebywał pod wodą już dłuższy czas. Atmosfera stała się wilgotna i gorąca, a najmniejszy ruch powodował, że ciało spływało strugami potu. Marynarze rozbierali się i przełykali ślinę, żeby ulżyć zaschniętym gardłom. Przyzwyczaili się już do tego typu warunków.

W każdej wolnej chwili powracali myślami do swoich rodzin. Przypominali sobie rzeczy, które kiedyś nie miały dla nich żadnego znaczenia, a teraz okazywały się bardzo ważne. Ton głosu, sposób mówienia, chodzenia, wyraz twarzy, uśmiech - malowali szczegółowo wyobrażone portrety swoich najbliższych. Tylko niektórzy mieli ze sobą zdjęcia, inni listy - teraz te przedmioty przestały być tylko zwykłymi pamiątkami; stanowiły dla tych ludzi najdroższe skarby. Większość z nich widziała ostatnio bliskich prawie rok temu, na Boże Narodzenie. Pielęgnowali swoje wspomnienia, aby nie uległy zatarciu.

Tomasz znów powrócił myślami do tego straszego dnia, w którym największa miłość jego życia, Alina, oznajmiła mu, że spotyka się z kimś innym. Znali się od dzieciństwa, byli ze sobą od zawsze. Nikt nigdy nie pojawił się między nimi - a przynajmniej tak sądził Tomasz. Nabral podejrzeń, kiedy narzeczona zaczęła się dziwnie zachowywać. Nie reagowała już z entuzjazmem, kiedy snuł plany na przyszłość, nie okazywała mu tyle

czułości, co kiedyś. Również ich namiętność jakby przygasła. Zrzucił to jednak na karb złego nastroju, poza tym pochłaniały go przygotowania wojenne. Groźba konfliktu wisiała w powietrzu od kilku miesięcy. Wszystkie rozmowy - z przyjaciółmi, znajomymi, kolegami z pracy - krążyły wokół tego tematu. Wiedział, że gdy Niemcy zaatakują, będzie musiał stawić się na okręcie. Może to ją tak przygnębiało? Kiedy dowiedział się, że jest ktoś trzeci, osłupiał. Gdy okazało się, że to również marynarz, zdał sobie sprawę, że zawód nie miał tu nic do rzeczy - okazało się, że to nie obawa, iż ją opuści i pójdzie na wojnę, kierowała jej postępowaniem; ona po prostu nie chciała już z nim dłużej być. Po pewnym czasie wyjawiała mu, jak nazywa się ten drugi mężczyzna, i że również służy w marynarce.

Dobrze pamiętał dzień, w którym po raz pierwszy spotkał Marcina w klubie marynarki wojennej w Gdyni. Któregoś razu spytał po prostu przy barze, czy ktoś taki tu przychodzi. Pokazano mu go, a wtedy stracił nad sobą panowanie. Podeszedł do niego i uderzył go w twarz. Zaatakowany nie wiedział o co chodzi i zareagował instynktownie - oddał cios i rozpadła się regularna bójka. Marcin był młodszy i silniejszy, więc pobił Tomasza. Kiedy dowiedział się, kto go napadł, postanowił nie puszczać pary z ust.

Tomasz wiedział, że postąpił niewłaściwie. Marynarka wojenna surowo karała oficerów, którzy dopuścili się przemocy fizycznej wobec niższych stopniem. Mógł zostać zdegradowany lub wręcz wydalony ze służby. Choć nigdy by się do tego nie przyznał, odczuwał wielką ulgę, że Marcin milczał na ten temat. On również nikomu nic nie powiedział i incydent przeszedł bez echa.

Kiedy Marcin wszedł na pokład „Orla”, Tomasz zamarł. Przez głowę przelatywały mu setki myśli. Poprosić kapitana, aby oddalił nowego bosmana? Uderzyć go jeszcze raz i odejść z okrętu? Doskonale wiedział, że nie mógłby tego zrobić. Nie miał wyboru, więc pogodził się z tą sytuacją. Musiał mu teraz zaufać - od tego mogło zależeć ich życie.

Od pierwszego spotkania minął już jakiś czas. Ich stosunki układały się poprawnie, choć dochodziło czasem do drobnych zatargów. Generalnie jednak wypełniali sumiennie rozkazy kapitana. Z biegiem czasu Tomasz przekonał się, że Marcin wykonuje swoją pracę z należytą starannością. Podczas ucieczki z Tallim wykazał się wielką odwagą i udowodnił, że można na nim polegać. Mimo to oficer wmawiał sobie, że nie lubi go jako człowieka. W końcu zdał sobie sprawę, że darzy go jednak odrobiną sympatii. Bosman przyzwoicie traktował załogę i ludzie go szanowali. Ale ci dwaj nie musieli przecież od razu zostawać przyjaciółmi.

Marcin leżał teraz na koi i błędził myślami gdzieś daleko. Kiedy przewrócił się na drugi bok, zobaczył na wpół śpiącego Tomasza. Przypomniał sobie szok, jaki przeżył, gdy zameldował się po raz pierwszy na „Orle” i zobaczył, że mężczyzna, którym odbił narzeczoną, jest jego przełożonym. Nie wiedział jak się za chować. Po raz pierwszy w życiu drżał ze zdenerwowania. Dobne wychowanie wzięło jednak górę i zdołał wyszeptać ciche „dzień dobry”.

Tomasz okazał się sprawnym i sprawiedliwym oficerem. Marcin był jednak pewien, że nigdy go nie polubi. Mimo to ten raz, kiedy się głębiej zastanowił, doszedł do wniosku, że szanuje i ceni swego rywala. Ale nie musieli przecież od razu zostawać przyjaciółmi.

Leszek podeszedł do Kamila, który siedział oparty o torpedę.

- Wszystko w porządku? - zapytał.
- Może być - odparł Kamil.

- Jak twoja dolegliwość?
- Wciąż mi dokucza, ale nie jest już tak źle. Przez kilka dni miałem spokój, ale później znów swędziało jak diabli.
- Myślałem, że ci przejdzie, jak dobijemy do portu.
- Bardzo śmieszne - obruszył się marynarz. - Nawet nie zszedłem na ląd.
- Dobrze, dobrze - odparł pojednawczo Leszek. - Mam coś dla ciebie - podał mu mały słoiczek, wypełniony brązowym płynem. - Mocz go w tym przez kilka minut codziennie. Za kilka dni zobaczymy, czy pomogło.
- Co to jest? - spytał podejrzliwie Kamil.
- Nie wiem dokładnie, to stara rodzinna receptura, ale może zadziała.
- Jakżeś to, do cholery, spreparował?
- Mój ojciec jest lekarzem - odparł Leszek. Ta wiadomość nie pocieszyła jednak jego rozmówcy.
- No, nie wiem - powiedział niepewnie. - A jeśli to mi zaszkodzi?
- Już sobie zaszkodziłeś. Teraz zobaczymy, co się stanie, jak to zastosujesz - Leszek wręczył mu naczynie i pożegnał się.

Zamknięci w żelaznym pudle marynarze z trudem oddychali; coraz bardziej dawał im się we znaki niedostatek tlenu. Spaliny z diesla mieszały się ze smrodem gnijącego jedzenia oraz potem i zapachem niemytych ciał. Atmosfera powoli stawała się nie do wytrzymania. Skroplona para kapała ze wszystkich przewodów i urządzeń. Ucichły rozmowy. Wszyscy myśleli tylko o tym, żeby jakoś przetrwać. Każdemu wydawało się, że już dłużej nie wytrzyma, że nie uda mu się wziąć następnego wdechu. Znajdowali się na skraju załamania nerwowego, o krok od wybuchu paniki. Byli tacy, którzy chcieli już tylko umrzeć i zastanawiali się, jak to zrobić. Za chwilę jednak zdawali sobie sprawę, że przecież wciąż żyją, i że pozostali czują to sarno, ale się temu nie poddają. Uświadamiali sobie, że powstrzymuje ich jedynie pragnienie, aby nie załamali się jako pierwsi.

- Peryskop w górę - rozkazał Bogdan, a wszyscy odetchnęli z ulgą. - Przygotować się do wynurzenia.

Marynarze szybko zajęli swoje stanowiska, zapominając o tym, że przed chwilą oczekiwali już tylko na śmierć.

Kapitan ujął uchwyt i omiół dookoła wzrokiem horyzont.

• Chyba czysto - powiedział do Piotra, przekazując mu urządzenie. Pierwszy oficer spojrział przez okular i powoli zaczął nim obracać.

- Żadnego światła, nic.
- Wynurzamy się - padło polecenie. Syknęło sprężone po

wietrze, które wypierało wodę z balastów. Wszyscy powitali ten dźwięk z radością. Okręt wyszedł na powierzchnię dosyć szybko, ponieważ leżeli niezbyt głęboko. Otwarto właz na kiosku. Do wódca wraz z dwoma marynarzami wyszedł na zewnątrz.

- Otworzyć wywietrzniki - powiedział Bogdan. Z balastów usunięto resztę wody.

Ciszę przerwał warkot zapalanych silników, które natychmiast zassały powietrze do środka okrętu. Silny podmuch owionął znajdujących się wewnątrz ludzi.

- Co tak dziwnie pachnie? - ktoś krzyknął.
- Nazywają to świeżym powietrzem, podobno powinno się tym oddychać - odparł ktoś inny - mówią, że to zdrowe.

Bogdan i dwaj wartownicy z zapartym tchem obserwowali okolicę przez lornetki. Odetchnęli głębiej dopiero wtedy, gdy upewnili się, że nie ma niebezpieczeństwa. Normalnie podwodniacy natychmiast zaczęliby narzekać na lodowaty wiatr, który bardzo obniżał odczuwaną temperaturę, ale tym razem zbyt długo czekali na łyk świeżego powietrza, a zimno dobrze działało na

ich rozpalone ciała. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności; czerń nieba zlewała się z powierzchnią morza i nie wiadomo było, gdzie znajduje się linia horyzontu.

Kapitan patrzył w przyszłość z optymizmem - wydawało mu się, że teraz szczęście im sprzyja. Pogoda była korzystna - przed samolotami chroniły ich niskie chmury, a przed wypatrzeniem z innego okrętu - dość niespokojne morze. Z drugiej strony, przyznał w duchu dowódca, mogło to być zapowiedzią choroby morskiej.

Przywołał na mostek Roberta i Piotra. Pierwszemu oficerowi polecił opracowanie grafiku służby, tak żeby każdy miał okazję pooddychać nieco na zewnątrz. Drugiego mechanika postanowił trochę wypytać.

- Co wiesz o tych wyspach? - zwrócił się do Roberta, który wyszedł po drabince na mostek, ciepło ubrany, żeby ochronić się przed wiatrem.

- Niewiele - odparł mechanik. Bogdan nie dał się jednak zwieść. Jego rozmówca *zazwyczaj* z początku zasłaniał się nie wiedzą, żeby za chwilę dać całkiem szczegółowy wykład.

- To dwie spore wyspy. Nie mogę sobie przypomnieć ich właściwych nazw, ale pewnie i tak nie umiałbym ich wymówić. Wokół Wyspy Piotra, leżącej bardziej na północ, często kręcą się rybacy, więc powinniśmy uważać na małe, nieoświetlone łodzie. Tę drugą, raczej niziną, pokrywaj ą przede wszystkim pola uprawne. Główny port morski znajduje się od strony południowej, więc nie sądzę, żebyśmy napotkali tu jakieś jednostki, szczególnie przy tej pogodzie. Naszym największym problemem jest przesmyk, który nazwałem Cieśniną Bogdana, z całym szacunkiem, panie kapitanie - mechanik skłonił się, lekko zakłopotany. - Możemy mieć

trudności z przejściem tamtędy. Najpierw dojdziemy do zatoki, szerokiej na osiem kilometrów, która jednak szybko zwęzi się do jednego kilometra. Będzie również dość płytko. To jakby dolina pomiędzy dwiema wyspami, która potem znów przechodzi w rozległą zatokę i łączy się z otwartym morzem. Obawiam się, że jeśli wyniknęłaby taka konieczność, to nie udałoby się nam zanurzyć w tym wąskim gardle. Byłoby to możliwe dopiero w zatoce.

- Dziękuję ci - powiedział Bogdan, uśmiechając się. - Nie sądziłem, że wiesz o nich aż tak wiele. Bardzo mi pomogłeś.

- Utrzymujemy aktualny kurs, pół naprzód - rozkazał Piotrowi, który właśnie wszedł na mostek, aby rozpocząć swoją wachtę. - Za jakąś godzinę zastanowimy się, czy nie zmienić trasy.

Morale załogi znów wzrosło. Marynarze po kolei wychodzili na pokład pooddychać świeżym powietrzem; nawet zimno im teraz nie przeszkadzało. Znów stali się panami własnego losu, odzyskali wolność. Większość z nich nie wracała myślami do niedawno usłyszanych rewelacji o napaści Rosji na Polskę. Czas, aby znów się tym zadrećcać, przyjdzie, kiedy ponownie zejda pod wodę.

Cieszyli się również Estończycy, którzy czuli się już prawie członkami załogi. Choć początkowo przeżyli szok, dowiedziawszy się, że nie będą mogli wrócić do kraju, zrozumieli powody takiej decyzji i byli wdzięczni kapitanowi, że tak się o nich troszczy, zapewne ratując im życie.

Niebezpieczna przeprawa przez Cieśninę Bogdana *zbliżała* się nieubłaganie, więc ludzie na powrót zaczęli się denerwować. Okręt sunął po powierzchni połową prędkości. Czerń nocy ograniczała widoczność prawie do zera, jedynie po obu stronach rysowały się lekko kontury ładu. Ciemne chmury płynęły szybko po niebie. Wachtowi na mostku nie mieli na czym zawiesić wzroku. Nie wiedzieli czy światła, które dostrzegają, są autentyczne, czy też są to plamki przed oczami. Nie mogli skoncentrować na nich spojrzenia. W kącikach oczu pojawiały im się wciąż nowe punkciki, które znikwały, gdy chcieli im się przyjrzeć.

W pewnym momencie Jakub już chciał krzyknąć, że widzi światło po lewej od dziobu. Ale czy na pewno je zobaczył? Odwrócił głowę, po czym znów skierował wzrok w tamtą stronę,

aby się upewnić. Pusto. Trząśł się z zimna; jego ciężki płaszcz nie dawał dostatecznej ochrony przed lodowatym wiatrem. Czuł, że chłód przenika go do szpiku kości. Co jakiś czas przez okręt przelewała się fala, przyskajac wodą na kiosk. Wilgoć przedostawała się przez wszystkie warstwy jego odzienia. Dawno już odkrył, że nie istnieje całkowicie wodoszczelne okrycie.

W głębi duszy zastanawiał się, dlaczego nie zostali w Tallinie; wiedział jednak, że obóz dla jeńców wojennych to niezbyt przyjemne miejsce. Nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu.

- Moja kolej - powiedział szczerze opatulony Jarek, które go ledwo można było dostrzec spod wełnianej czapki, szalika i płaszcza. Półgodzinna wachta Jakuba dobiegła końca - mógł teraz zejść pod pokład, ogrzać się, wypić coś ciepłego i zasnąć, żeby wypocząć przed następną zmianą.

Po kilku minutach Jarek dostrzegł jakieś niewyraźne kształty po prawej stronie. Czy to miny? Raczej nie, są za duże jak na ładunki wybuchowe. Modlił się, żeby przepłynęły przed dziobem na lewą burtę, której pilnował Michał. Chciał zrzucić z siebie odpowiedzialność. Musiał jednak podjąć jakąś decyzję.

- Dwa niezidentyfikowane obiekty na prawej burcie, namiar 15° - zgłosił na mostku.

- Co o tym myślisz? - spytał Franciszek, który właśnie przejął obowiązki oficera wachtowego.

- Nie jestem pewien - odparł Jarek, uspokoiony trochę faktem, że trafił na oficera, którego dobrze znał. W razie pomyłki mógł liczyć na wyrozumiałość. - Mogą to być małe łodzie rybackie, w odległości około 200 metrów, nieoświetlone.

- Masz rację, wyglądają jak dwa małe statki. Wydaje się, że nas nie zauważyły - w panującym półmroku nie widzieli dokładnie, czy ktoś się na nich porusza. - Pewnie chowają się przed wiatrem. Nie spodziewają się, że mogliby tu kogoś napotkać. Trzymaj kurs - nakazał sternikowi. Nie wyglądał na specjalnie zmartwionego.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy - powiedział po chwili Jarkowi, który, uskrzydłony tą pochwałą, podwoił swoje wysiłki, gdy dwie łodzie zniknęły już z pola widzenia. Nic się więcej nie wydarzyło, a okręt powoli zbliżał się do wąskiego przesmyku.

Franciszek wezwał na mostek Bogdana, żeby poinformować go, że dopływają do najważniejszego miejsca cieśniny.

- Mieliście jakieś problemy? - spytał kapitan.

- Minęliśmy dwa kutry rybackie w odległości około 200 metrów, ale nie dostrzegliśmy żadnej reakcji; chyba nie zostaliśmy zauważeni. Widzialność jest słaba, więc pewnie nawet nie patrzyli dookoła. Widocznie przechodzą tędy po raz setny i nie spodziewają się, że mogliby tu kogoś spotkać.

- Dobrze - odparł Bogdan, lustrując uważnie okolicę. Wiedział teraz jak na dłoni wejście do przesmyku. Nie niepokoiły ich już żadne inne jednostki. Wiatr wzmógł się, a morze zaczynało się robić coraz bardziej niespokojne. Dowódca skierował okręt w stronę wejścia do cieśniny i utrzymywał stałą prędkość.

Robert dołączył do niego na mostku. Drugi mechanik został teraz nieoficjalnym doradcą nawigacyjnym kapitana. Na prawej burcie pojawiły się światła.

- To z pewnością Emmaste, mała wioska rybacka. Wkrótce powinniśmy zobaczyć światło nawigacyjne.

Zaraz po tej kwestii dostrzegli potwierdzający ją błysk.

Wyspa Piotra, którą mijali prawą burzą, nikła w oczach. Chwilę później również ląd widoczny z lewej burty zaczął się oddalać.

- Przed nami Bałtyk, następny przystanek w Szwecji - ogłosił Robert. - Na razie idzie nieźle.

Wschodni wiatr pomógł im przedostać się przed przesmyk. Bogdan martwił się jednak o pogodę. Chciał, aby okręt został na powierzchni tak długo, jak tylko będzie to możliwe, ale z drugiej strony, sztorm mógłby okazać się bardzo użyteczny, ponieważ statki przeciwnika nie zdołałyby ich wtedy dostrzec. Wiatr

ze wschodu zwiastował pogorszenie się warunków atmosferycznych.

- Musimy kierować się na zachód przez następne 160 km.

Tym sposobem wypłyniemy na głębsze wody na północ od Gotlandii. Później możemy zmienić kurs na południowy zachód, do póki nie dostrzeżemy latarni morskiej na Faro lub na Gotlandii. Możemy wysadzić naszych Estończyków w cieśninie pomiędzy tymi dwoma wyspami - zasugerował Robert.

- Dobry pomysł - odparł krótko Bogdan. - A potem wreszcie zajmiemy się wojną.

Raz na wozie, raz pod wozem. Udało im się bez problemów przejść przez Cieśninę Bogdana i od jakiegoś czasu dopisywało im szczęście, a to oznaczało, że wkrótce pojawią się jakieś kłopoty.

Podczas wynurzenia udało się radiotelegrafiście Janowi złapać z BBC i innych radiostacji komunikaty o sytuacji w Polsce. Te informacje z pewnością nie rozradowałyby załogi. Bogdan spotkał się z Piotrem i Tomaszem, żeby zastanowić się, czy przekazać je ludziom. Doszli do wniosku, że nie mają prawa zatrzymywać tych wiadomości dla siebie. Jeśli tak wiele mówią o duchu współpracy panującym na okręcie, to powinni zachować się konsekwentnie i powiedzieć marynarzom o wszystkim.

Kapitan zebrał tych, którzy nie pełnili akurat służby, w mesie.

- Udało nam się zdobyć wieści o tym, co dzieje się w kraju. Wiem, że będą one dla was trudne do przyjęcia, ale myślę, że powinniście je znać. Jestem przekonany, że to wzmocni naszą determinację do walki z nieprzyjacielem - powiedział poważnie. - Niemcy bombardują każde miasto w Polsce. Ich dywizje pancerne wdarły się głęboko na nasze terytorium. Oczywiście wciąż

się bronimy, choć nie mamy przecież czołgów. Codziennie giną setki cywilów. Westerplatte wytrzymało tydzień, Poczta Polska w Gdańsku poddała się dopiero po tym, jak budynek obłano benzyną i podpalono. Z tego co wiemy, wciąż broni się Hel. Rząd i prezydent po kilku dniach opuścili Warszawę z powodu nieustającego bombardowania.

Napaść Rosjan i otwarcie drugiego frontu znacznie skomplikowały sytuację. Dziesiątki tysięcy uchodźców uciekają ze swoich domów. Na porządku dziennym są uliczne egzekucje i morderstwa. Żołnierze niemieccy szczególnie okrutnie obchodzą się z ludnością żydowską - mówił spokojnym głosem dowódca. - Zdaję sobie sprawę, że ta świadomość raczej wam nie pomoże, że nie do końca rozumiecie to, co się dzieje. Ale proszę was, żebyście teraz skoncentrowali się przede wszystkim na okręcie - oczywiście na tyle, na ile to jest możliwe. Chciałbym, abyśmy wspólnie zadali przeciwnikowi jak największe straty.

Zapadła głucha cisza. Marynarze rozeszli się powoli, ze spuszczonej głowami i ponurymi minami. Wiedzieli, że nie będą w stanie zapomnieć tego, co powiedział im Bogdan.

* * *

Życzenie dowódcy, aby jak najszybciej wziąć udział w walkach, zostało spełnione nadspodziewanie szybko.

- Okręt na prawej burcie! - wrzasnął podniecony marynarz.

- Wygląda na to, że to niszczyciel. Wokół niego pływa kilka łodzi patrolowych.

- Natychmiastowe zanurzenie - rozkazał Bogdan, w momencie kiedy pierwszy pocisk spadł tuż przed dziobem „Orła”.

- Musieli czekać na nas za wyspą - mruknął, niknąc jako ostatni we władze kiosku.

Diesle ucichły i włączono silniki elektryczne. Zawyła syrena alarmowa, a balasty szybko napelniały się wodą. Wkrótce zapadła

jednak kompletna cisza. „Orzeł” błyskawicznie zszedł pod wodę i spoczął na głębokości 10 metrów. Na powierzchni nie pozostał po nim nawet ślad.

- Wszyscy na stanowiska - zabrzmiał rozkaz.

Trzej kadeci mieli się zmieniać w sterowni, pomagając pierwszemu oficerowi, który odpowiadał teraz za peryskop. Obok niego znajdowali się sternik i bosman. Mat Marcin pilnował zaworów zalewowych, a jeden z marynarzy przez cały czas dyżurował przy tubie głosowej.

Mechanicy mieli teraz chwile wytchnienia, ponieważ okręt napędzały silniki elektryczne. Członkowie grupy torpedowej zebrali się w przednim przedziale torpedowym, gotowi na odpalenie śmiertelnej broni, jeśli tylko jakiś cel znajdzie się w polu rażenia „Orła”. Mieli niewiele pocisków, więc nie mogli ryzykować pułdą. Operatorzy hydrofonu składali kapitanowi raport co 15 minut.

Niedługo później nad okręt nadpłynęły ścigacze, wyrzucając bomby głębinowe. Eksplozje rzucały „Orłem” na prawo i lewo. Marynarze upadli na ziemię wśród ogłuszającego huku, roztrzaskanego szkła i migoczącego światła. Czuli się tak, jakby byli zamknięci w stalowej puszcze, w którą ktoś wali młotem. Chwilę potem zapadła nagła cisza, ale ludzie nie zdążyli się jeszcze otrząsnąć, kiedy znów rozpętało się piekło.

zaczyna zawracać. Zewsząd skapuje skroplona para; okręt drży i trzeszczy w tytanicznym wysiłku.

- To drewniane elementy pracują- wyjaśnia cicho dowódca. Marynarze zaczynają się zastanawiać, czy wybuchy nie naruszyły konstrukcji jednostki.

- Wiem, że to niezbyt przyjemny odgłos - Bogdan usiłuje ich uspokoić. Dźwięki z zewnątrz zaczynają się oddalać, więc decydują się zerknąć na powierzchnię.

- Peryskop w górę - zabrzmiało polecenie. W tej samej chwili doszedł do nich ryk odpalanego silnika.

- Cholera jasna - krzyczy kapitan. - Opuścić peryskop, zanurzenie 15 metrów. Chcą nas zwabić w pułapkę, tam czeka ścigacz.

Znów rozlegają się odgłosy eksplozji ładunków głębinowych. Napięcie sięga zenitu, ale marynarze walczą z atakiem paniki, biorąc przykład z niewzruszonej postawy Bogdana.

Przez następne dwie godziny niemieckie jednostki próbowały zatopić „Orła”. Kapitan usiłował przewidzieć ich reakcje i kilkakrotnie zmieniał kurs, aż w końcu rozkazał wyłączyć silniki i osiąść na dnie.

Feliks i Kamil obsługują ster głębokościowy; ich białe twarze odcinają się na tle ciemnego pomieszczenia. Skulili się nad panelem kontrolnym, usiłując utrzymać okręt w pozycji poziomej.

Znow cisza, przerywana jedynie dziwnym tykaniem, jakby na pokładzie znajdował się metronom. Wszyscy nadstawiają ucha, usiłując ustalić, czy ten dźwięk przybliża się, czy oddala; niknie, czy wzmagają się. Padł rozkaz „w prawo na burzę” i „Orzeł”

Trzy tygodnie ciągłych przeciwności losu zahartowały członków załogi „Orła”, którzy trwali na swoich stanowiskach, starając się zapomnieć o otaczającej ich rzeczywistości.

Bartek wciąż walczył z klaustrofobią, nie spuszczał oka z głębokościomierza, przy którym pełnił służbę. Usiłował skupić całą uwagę na tej czynności i powtarzał sobie w myślach każdą zmianę zanurzenia. Próbował zgadywać, czy następny ruch okrętu będzie w górę, czy w dół. W końcu prawie *zawsze* udawało mu się trafić i odczuwał z tego powodu dumę. Myślał również

O otwartych przestrzeniach, tak jak poradził mu Tadeusz, choć nie podobała mu się perspektywa, że są one pełne Niemców.

Lukasz przypominał sobie po kolei księgi Starego Testamentu. Księga Kapłańska poprzedzała Księgę Liczb, czy odwrotnie? Lepiej znał Nowy Testament - potrafił wymienić imiona ewangelistów, ale Listy Apostolskie sprawiały mu już trudność. Nie umiałby nawet zapisać ich nazw, a Galaci mylili mu się z Efezjanami

i Filipianami; sprawdził to później w podniszczonym egzemplarzu Biblii, który skrzętnie ukrywał przed swoimi towarzyszami. Nie zdałby chyba egzaminu ze znajomości Pisma Świętego.

Feliks wciąż martwił się o swojego psa. Kto go przygarnął, kiedy jego pan wypłynął z Gdyni? Zapewne zaopiekowała się nim osiemnastoletnia przyjaciółka Feliksa, Gizela, która mieszkała w pobliżu.

Jakub, jak przystało na nałogowego hazardzistę, pomiędzy eksplozjami zakładał się w myślach sam ze sobą. Ustalał stawkę i obstawiał na dwa do jednego, że następny ładunek wybuchnie w przeciągu pięciu minut. Szybko tracił wymaginowane pieniądze.

Tadeusz chodził pomiędzy członkami załogi, upewniając się, czy wszystko w porządku i podtrzymując ich na duchu żartami.

W tylnym przedziale torpedowym panowała zupełnie inna atmosfera. Dwaj Estończycy wprost skamienieli ze strachu. Siedzieli bez ruchu, z białymi jak płótno twarzami, i nie mogli wydusić z siebie słowa. Wyglądali, jakby mieli za chwilę umrzeć.

Franciszek, który nieźle mówił po rosyjsku, starał się ich pocieszyć. Wyjaśniał, że tak naprawdę są tu całkiem bezpieczni. Chciał zażartować, że właśnie opierają się o kilka ton materiałów wybuchowych, umieszczonych w torpedach, ale zrezygnował po chwili namysłu. To naprawdę mogło ich zabić.

- Wciąż nie wiem, co się dzieje z człowiekiem, kiedy umrze
- przerwał ciszę Jakub.

- No nie, znowu to samo - warknął niecierpliwie Michał.
- Naprawdę się nad tym zastanawiam - nalegał Jakub.
- O co chodzi? - spytał Eryk, który nie brał udziału w pierwszej rozmowie na ten temat. Wodził teraz zdziwionym wzrokiem

po rozmówcach.

- Ten głupek martwi się, że jak zginie, to nie będzie o tym wiedział. Sądzi, że ktoś będzie musiał mu to oznajmić i zastana wia się, kto wyświadczy mu tę przysługę - wytłumaczył ironicznie Michał.

- Przecież to bez sensu - stwierdził Eryk. - Wtedy już go tu nie będzie.

- Co masz na myśli? - spytał wyraźnie zaintrygowany Jakub.

- Jak to mnie tu nie będzie?

- Po prostu. Odejdiesz.

-Ale jak to? Dokąd?

-Umrzesz. Odejdiesz. Wykorkujesz. Wykitujesz. Znikniesz. Śmierć kończy wszystko. Przeszanieś istnieć. Ot, tak - wyjaśniał z przekonaniem Eryk.

- Niekoniecznie - wtrącił się Marek. - Tak się zapewne stanie z ciałem, ale mamy przecież duszę, która wciąż będzie trwała.

- Srała chyba - odezwał się Michał. Jego słowa przyjęto gromkim wybuchem śmiechu.

Marek wydawał się tego nie zauważać, ale obrzucił mata nienawistnym spojrzeniem.

- Jeśli wierzysz w życie wieczne, to powinienes wiedzieć, że prawdopodobnie w momencie śmierci dokonuje się jakieś przejście w zaświaty. Pewnie pozostajesz świadomy, inaczej byś tam nie trafił i skończył w pustce.

- To zbyt wiele dla mnie -jęknął Eryk. - Czemu nie możecie przyjąć, że wszystko się po prostu kończy?

- Jeśli wierzysz w to, co zapisano w Biblii, to musisz też wierzyć w życie wieczne - powiedział Łukasz.

Wszystkim przypomniało się, że gdyby nie wojna, to zostałby księdzem.

- Śmierć nie może być aż taka straszna - rzekł pewnym tonem Waldemar.

- A skąd niby możesz o tym wiedzieć? - spytał zdziwiony Eryk.

- To oczywiste, skoro każdy prędzej czy później umiera - zaśmiał się.

- Bardzo śmieszne! - warknął Eryk.

- Bzdury gadacie - prychnął Michał. - Dlaczego niby ma być tak, że jeśli byłeś dobry na ziemi, to w nagrodę pójdziesz do kra my mlekiem i miodem płynącej? To głupota. Kiedy jesteś dzieckiem, wszyscy ci mówią, że Bóg się tobą opiekuje. I większość z nas w to wierzy. Spójrzcie teraz na Polskę i na piekło, przez które przechodzi. Gdzie jest niby Bóg?

Wszyscy zamilkli.

Marynarze opanowali się trochę i zaczęli prowizorycznie naprawiać powstałe uszkodzenia.

Ich myśli znów powędrowały w kierunku ojczystych stron.

To, co powiedział im kapitan, napawało ich przerażeniem. Widzieli w myślach dziesiątki tysięcy zaszczutych ludzi, uciekających przed nalotami bombowymi i szukających panicznie schronienia przed nadciągającymi hordami rosyjskich żołdaków. Nie potrafili sobie jednak wyobrazić swoich rodzin i przyjaciół przeżywających tak koszmarnie katusze. Najgorsze sny nie przynosiły takich scen, o jakich usłyszeli w komunikacie radiowym.

Polacy nie zasłużyli sobie na taki los. Dlaczego to piekło musiało się rozpętać? Czy gdzieś jeszcze istniało jakieś bezpieczne miejsce? Żołnierze „Orła” nie poznali dotychczas smaku prawdziwej wojny, podczas gdy ich bliscy walczyli o życie z bezwzględny przeciwnikiem, który nie znał litości.

Zaczęli wspominać swój kraj, pełen żyznych pól, lasów i czystych jezior, łąk i prastarych borów, wzniesień uformowanych miliony lat temu; wspaniałych plaż na północy i majestatycznych gór na południu. Pomyśleli o zabytkach architektury, średniowiecznych zamkach, które przetrwały do teraz próbę czasu. W ciągu prawie tysiąca lat swej burzliwej historii Polska przeżyła wiele wojen. Ale nigdy nie wydarzyło się tu nic takiego, co mogłoby się równać w okrucieństwie z szaleństwem rozpętany przez nazistów.

Przez godzinę panował względny spokój, hydrofony nie wychwytywały żadnego dźwięku. Bogdan postanowił więc wyrzeć na powierzchnię. Zapadła noc, a silniki elektryczne były już na wyczerpaniu. Wynurzono się na głębokość peryskopową. Okręt wznosił się powoli i spokojnie.

Kapitan omiół wzrokiem horyzont, gdy tylko peryskop przeciął powierzchnię wody. Wyglądało na to, że wrogowie odpłynęli. Dowódca wykonał okularom drugi, spokojniejszy obrót, wypatrując sponad spienionych fal czyhających na nich ścigaczy.

W momencie kiedy otwierano właz kiosku, przez pokład przetoczyła się wielka masa wody, oblewając dowódcę, Kamila i Waldemara. Musieli teraz pełnić wachtę przemoczeni do suchej nitki.

Wiatr wciąż wiał ze wschodu, pomagając „Orłowi” w żegludze, choć powodował wśród niektórych członków załogi napady choroby morskiej. Niektórzy jeszcze przed chwilą umierali ze strachu przed śmiercią, a teraz mówili sobie, że wszystko byłoby lepsze od stanu, w jakim się obecnie znajdowali.

Bogdan jeszcze raz dokładnie zlustrował okolicę, upewniając się, że wszystko w porządku. Zwrócił się do oficera wachtowego.

- Andrzej, następny przystanek - Gotlandia.

Dziób regularnie wznosił się i opadał, wzbijając za każdym razem wielką falę, która zalewała pokład i kiosk, wdzierając się również do środka. Andrzej oraz dwaj wartownicy mieli duże trudności z utrzymaniem się na nogach.

Na wzburzonym morzu woda dostaje się do środka okrętu w wielkich ilościach, sprawiając, że wszystko natychmiast przesiąka wilgocią. Ładunkiem oraz załogą rzuca na

wszystkie strony. Ludzie boleśnie odczuwają każdą zmianę położenia statku.

Marynarze przyzwyczajają się do choroby morskiej powodowanej kołysaniem. Prawdziwa przyczyna ich słabego stanu fizycznego i psychicznego leży w wyczerpaniu. Są tak zmęczeni, że wydaje im się, iż dziób okrętu rysuje w przestrzeni coraz dziwniejsze figury geometryczne. Czują się, jakby czas przestał płynąć.

Sen stanowi jedyne lekarstwo. Ci, którzy akurat nie pełnią służby, wpełzają do swoich koi i starają się zasnąć. Przytomność muszą zachować jedynie wachtowi, od których zależy bezpieczeństwo okrętu. Wszystkie światła w pomieszczeniach załogi są zgaszone. Słychać jedynie niespokojne oddechy śpiących, uderzenia fal o burtę oraz cichą melodię płynącą z głośników rozmieszczonych przy wyrzutniach torped. Bogdanowi wydawało się, że muzyka wpłynie uspokajająco na ludzi.

O północy następuje zmiana wachty. Marynarze budzą się nawzajem bez zbędnych ceregieli i spieszą zluzować zmęczonych towarzyszy, którzy schodzą z mostka zziębnięci i mokrzy. Na dole czeka na nich gorąca herbata i ciepły posiłek. Zdejmują przemoczone ubrania, a bosman wydziela im porcję rumu na rozgrzewkę.

Pogoda *zaczynała* się powoli poprawiać, a przynajmniej tak wydawało się członkom załogi „Orla”. Może po prostu przyzwyczaili się już do kołysania albo okręt zgrał się wreszcie z rytmem fal. Niekontrolowana huśtawka przeszła w powolny i rytmiczny ruch.

Jerzy martwił się ilością wody, jaka przedostaje się do środka, obawiając się, czy nie zaszkodzi to akumulatorom, z których pod wpływem wilgoci może się zacząć wydzielać trujący chlor. Zebrał kolegów do wybierania wody. W normalnych warunkach po prostu by ją wypompowano, ale jeśli nie można użyć pomp

- na przykład kiedy istnieje obawa, że instrumenty wroga mogłyby wychwycić jakieś dźwięki albo kiedy rozpęta się sztorm
- sytuacja staje się bardzo trudna. Trzeba przenosić wodę z rufy na dziób, aby utrzymać równowagę okrętu. Gdy ludzie mają do stępu do świeżego powietrza, ta praca nie stanowi dla nich zbyt wielkiego obciążenia, ale jeśli jednostka pozostaje od dłuższego czasu pod wodą, to atmosfera gęstnieje, a klimatyzatory są wyłączone ze względów bezpieczeństwa. Wtedy każdy ruch staje się nie lada wysiłkiem.

Członkowie załogi, przyzwyczajeni już do trudów i niewygody, zaczęli podawać sobie wypełnione po brzegi wiadra. Starali się przy tym utrzymać na nogach, walczyć z nudnościami i pilnować, żeby się zbyt nie zamoczyć. Stopniowo sytuacja została opanowana, a okręt posuwał się powoli naprzód. Jerzy uwierzył, że odnieśli kolejne małe zwycięstwo.

Jaani Helijor, dwaj Estończycy, uspokoili się trochę, kiedy ustał atak. Cierpieli teraz jednak z powodu choroby morskiej. W końcu byli tylko szczurami lądowymi, nieprzyzwyczajonymi do kołysania. Wciąż znajdowali się w przedziale torpedowym, od wyjścia z Tallina prawie nie zmienili pozycji. Z początku z zafascynowaniem obserwowali wszystko, co działo się wokół nich. Gdy okręt osiadł na dnie, nawet się trochę nudzili. Strach zaczął w nich narastać, kiedy zaczęło brakować tlenu, z trudem oddychali. Później dostali ataku paniki podczas wybuchów bomb głębinowych. Wciąż odczuwali jednak ulgę, że nie muszą wracać do Estonii, gdzie z

pewnością by ich zgładzono. Z nadzieją czekali na wyjście na ląd w Szwecji.

- Wszystko w porządku? - spytał Bogdan, uśmiechając się do nich życzliwie.

Obaj pokiwali głowami.

- Płyniemy teraz w kierunku szwedzkiej wyspy - Gotlandia. Tam was wysadzimy. Dostaniecie łądz, jedzenie, wodę i trochę pieniędzy na powrót do Estonii. Jeśli Szwedzi poślą w świat komunikat, że żyjecie, to będziecie mogli bezpiecznie wrócić do domów - kapitan wyjaśnił im całą sytuację, spodziewając się wybuchu niekontrolowanej radości i wdzięczności z ich strony.

Nie odpowiedzieli jednak od razu.

• Nie - odezwał się w końcu po rosyjsku Jaan - nie chcemy wracać do domu. Wolelibyśmy zostać z wami. Okazaliście nam dużo serca.

• Niestety, to niemożliwe - odparł Bogdan. - Nie jesteście marynarzami, a na okręcie wojennym nie ma miejsca dla pasażerów. Podczas ostatniego ataku wpadliście w panikę i członkowie załogi musieli was uspokajać. Pogoda też z pewnością nie po prawia waszego samopoczucia. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby cały czas się wami opiekować. Czeka nas jeszcze wiele sztormów i bomb głębinowych. Myślałem, że nie będziecie się chcieli dłużej męczyć. Odstawimy was jutro na Gotlandię.

• Naprawdę chcemy zostać. Będziemy pracować - powiedział błagalnie Helijor. - Nie chcemy wracać. Nie zejdziemy na brzeg.

• Zrobicie dokładnie tak, jak mówię - warknął Bogdan. - Nie jesteście naszymi gośćmi, tylko więźniami - tak jak my jeszcze kilka dni temu.

Kapitan odszedł zdenerwowany, polecając marynarzom, aby mieli ich na oku.

Wiatr cichł i morze uspokajało się. W oddali widać było wyraźnie linię horyzontu. Wstawał pierwszy brzask nowego dnia. Dowódca chciał podpłynąć jak najbliżej Gotlandii, wysadzić Estończyków i dalej płynąć w zanurzeniu.

Gotlandia to największa wyspa na Morzu Bałtyckim. Należy do Szwecji od 1645 roku; wcześniej rządziła ją Duńczycy. Jedyne większe miasto i zarazem jedyny port nazywa się Yisby i leży na zachodnim wybrzeżu. Bogdan postanowił odstawić więźniów przy północnym krańcu wyspy, ponieważ tamtędy przepływało zazwyczaj mało statków.

„Orzeł” szedł teraz połową prędkości i kierował się w stronę wybrzeża. Kapitan przywołał do siebie Estończyków.

- Tutaj musicie nas opuścić. Tam widać małą wioskę; Robert mówi, że nazywa się Slite - wyjaśnił, wskazując na lewo i podając im kartkę papieru. - Piotr napisał po szwedzku kim jesteście, dlatego się tu znaleźliście, i że Rosjanie zakomunikowali, iż was zamordowali. Pokażcie ten dokument, gdy dopłyniecie do

brzegu. Spróbujcie przedostać się do Yisby, to niedaleko - podał Jaanowi mały pakunek. - Tutaj macie trochę wody i jedzenia oraz pieniądze na powrót do domu. Upewnijcie się jednak, że Szwedzi publicznie ogłoszą, iż żyjecie, i że się wami opiekowaliśmy. To naprawdę ważne - wtedy Rosjanie nie będą już chcieli was zgła dzić. Możecie również wspomnieć, że „Orzeł” wcale nie zatonął.

Jaan i Helijor, pogodzeni już z faktem, że nie mogą zostać na pokładzie, spojrzeli na Bogdana z wdzięcznością.

- Byłeś dla nas naprawdę uprzejmy. Mogłeś nas zabić, ale nie zrobiłeś tego. Mogłeś nas wysadzić na brzeg w Estonii, ale pomyślałeś o naszym bezpieczeństwie. Wszyscy tutaj odnosili się do nas z życzliwością i szacunkiem. Życzymy wam jak najlepiej.

Uścisnęli sobie dłonie.

Motorówka czekała już przy burcie „Orła”. Dwaj mężczyźni zeszli do niej nieporadnie.

- Kierujcie się w stronę tamtego cypla - polecił im Bogdan.

- Powodzenia!

Łódź ruszyła i zaczęła oddalać się od okrętu. Estończycy ze łzami w oczach machali na pożegnanie.

- Teraz wreszcie zajmiemy się wojną- oznajmił kapitan.

Rozdział 7

Ostatnie trzy tygodnie mocno nadszarpaneły nerwy załogi. Marynarze doświadczyli wszystkich możliwych niebezpieczeństw, jakie czyhają na okręt podwodny. Zostali wzięci do niewoli i uciekli; musieli zmagać się z niedogodnościami długiego przebywania pod wodą w trudnych warunkach i znosić ze spokojem wybuchy ładunków głębinowych i złą pogodę; zachowywali czujność właściwie przez całą dobę.

Teraz, tak jak powiedział Bogdan, odstawiwszy bezpiecznie Estończyków na brzeg, mogli skoncentrować się na prowadzeniu działań wojennych. Czekало ich jednak rozczarowanie - przez kilka dni pływali po morzu, ale ani razu nie natrafili na ślad wrogiego okrętu. Do znudzenia wykonywali wciąż te same czynności. Zanurzali się o świcie, a wypływali na powierzchnię w nocy. Połowa załogi odpoczywała, a druga połowa pracowała. Zmieniali się wedle ustalonego, regularnego rytmu.

Na okrętach podwodnych nie ma pobudki, co bardzo odpowiada marynarzom. W czasie wolnym spali, rozmawiali, grali w karty lub po prostu nudzili się. Gdy przychodziła pora na wachtę, musieli być w pełni przytomni. Szybkość reakcji i czujność to cechy, którymi powinien wyróżniać się każdy członek załogi, bez względu na stopień czy stanowisko.

Podczas każdej wachty na mostku przebywał oficer wachtowy, jeden z kadetów oraz dwóch marynarzy, którzy stali na „oku”, wypatrując na horyzoncie jakiegokolwiek śladu obecności innych jednostek - dymów, konturu statku w oddali, białego warkocza, jaki ciągnie za sobą peryskop,

oraz samolotów i min.

Jeśli cokolwiek zauważyli, musieli to natychmiast zgłosić oficerowi na mostku. W kiosku zawsze znajdował się również sternik, Stefan lub któryś z jego zmienników. W maszynowni dyżurowało dwóch lub trzech mechaników.

W kambuzie kucharz przygotowywał jedzenie, wydawane jednak tylko tym, którzy mieli niedługo pójść na wachtę - żeby uniknąć tłumów w mesie. Marynarze, którzy nie pełnili akurat służby, mogli posilić się chlebem lub innym suchym prowiantem.

Pomimo tłoku podwodniacy żyli ze sobą w zgodzie i harmonii. Na „Orle” pracowali mężczyźni pochodzący z rozmaitych warstw społecznych, o różnych temperamentach i cechach charakteru, choć do marynarki nie przyjmowano generalnie ludzi porywczych, egoistycznych, nieskłonnych do kompromisów czy samolubnych. Jedni byli niecierpliwi, inni jowialni, a jeszcze inni zawsze weseli, a jednak potrafili doskonale ze sobą współdziałać. Każdy marynarz znał swój fach, niektórzy specjalizowali się nawet w kilku dziedzinach, a wszyscy mieli podstawową wiedzę na temat żeglugi morskiej. Wartownicy, którzy zeszli z wachty, opowiadali o tym, co widzieli - o pogodzie,

Okursie, jakim płyną, dokąd i kiedy dotrą do celu. Dyskutowano wiele o nieprzyjacielu, wystrzeleniu torped i okręcie, który w końcu zatopią. Wymieniano w tym kontekście nazwy największych niemieckich jednostek, z których większość stała w tym czasie w portach, o czym jednak nie wiedzieli. Oczywiście nie wszystkie rozmowy wznosiły się na intelektualne wyżyny i dotyczyły naprawdę istotnych kwestii.

Wiele uwagi poświęcano na przykład Andrzejowi, który spędzał większość wolnego czasu w ten sposób, że chodził po okręcie

I upewniał się, że wszystkie urządzenia są na swoich miejscach. Tym dziwnym zwyczajem zasłużył sobie na przydomek „Dotykalski”. Marynarze dawali sobie sygnały latarkami, informując się nawzajem, że zbliża się „Dotykalski”. Szczególnie dobrze

bawił się Jakub, przyjmując zakłady, czego najpierw dotknie oficer zaraz po wejściu do pomieszczenia. Spokój, który zapanował ostatnimi czasy na okręcie, wyzwolił u młodego mata na powrót zamiłowanie do hazardu.

Pewnego razu Waldemar ostrzegł półgłosem, że do przedniego przedziału torpedowego zbliża się oficer Andrzej, który zaraz dokona swojej zwyczajowej inspekcji.

- Stawiam pół dniówki, że najpierw dotknie lewej torpedy.

Pogłaszcze ją jak matka dziecko - szybko wypalił Jakub.

- Nie sędzę - przyjął wyzwanie Feliks. - Na początek sprawdzi, czy działa wentylator.

- Ja myślę, że dotknie drzwi od szafki - powiedział Waldemar.

Kamil twierdził, że będzie to stół, na którym grali w karty. Zostało już niewiele sprzętów do wyboru, więc jakiś żartowniś z tyłu krzyknął, że najpierw dotknie stopą pokładu.

- Ale prawą, czy lewą? - przytomnie spytał Jakub, podczas gdy pozostali próbowali ich uciszyć.

Niczego niespodziewający się Andrzej wszedł do środka i przywitał się ze wszystkim

uprzejmie. Spojrzał na stół i zapytał, w co grają.

- W pokera - odparł Jakub. - Chciałby się pan dołączyć?

Oficer pokręcił głową.

- Nie miałbym z wami szans - odrzekł, opierając się ramieniem o lewą torpedę.

Ku zdumieniu obecnych pożegnał się zaraz i wyszedł, życząc im powodzenia.

• Bał się, że przegra z nami pieniądze - skomentował Michał.

• Wygrałem! - wykrzyknął Jakub. - Dotknął lewej torpedy.

• Nieprawda - odpowiedział mu Waldemar. - Nie dotknął, tylko się o nią oparł.

• Oparcie się to też dotknięcie - stwierdził zapalczywie mat.

• Oparcie się to oparcie się. Dotyka się dłonią, więc niczego nie dotknął.

• Unieważniamy zakład - nalegał Waldemar.

• On ma rację - potwierdził Feliks. - Jeśli ktoś się o ciebie oprze, to powiesz mu, żeby się o ciebie nie opierał, a nie żeby cię nie dotykał.

Pozostali przytaknęli.

Jakub spojrzął po towarzyszach i zrozumiał, że niczego nie wskóra.

• Odwalcie się wszyscy ode mnie - prychnął.

• To oznacza, że wisisz każdemu z nas po pół dniówki - za sugerował Waldemar.

• Oczywiście, że nie, unieważniliśmy ten cholerny zakład, bo powiedzieliście, że niczego nie dotknął - zdenerwował się Jakub. - Nie dostaniecie ode mnie ani grosza. Lepiej rozdajcie znów karty.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ta leniwa atmosfera nie może trwać wiecznie. Po kilku godzinach napięcie znów wzrosło. Marynarze jakby intuicyjnie wyczuli, że niedługo sytuacja się zmieni i czekali na to.

Zaczęli coś podejrzewać, kiedy mimo zapadnięcia zmroku nie padł rozkaz wynurzenia się. Przebywali pod wodą jeszcze parę godzin, choć z powierzchni nie dochodził do nich żaden dźwięk. Poszła plotka, że wokół nich pływają trawlerzy, więc wszyscy spodziewali się kolejnego ataku. Niedługo później ich wątpliwości rozwiał pierwszy oficer. Powiedział, że kapitan sądzi, iż w ich sektorze znajduje się niemiecki pancernik „Gneisenau”.

Po okręcie przeszła fala entuzjazmu. Jedną z największych i najnowocześniejszych niemieckich jednostek! Cóż za cel! Wreszcie będą mogli zemścić się na najeźdźcy! Nawet jeśli nie

zdołają go zatopić, to przynajmniej poważnie uszkodzą. Oto triumf, którego potrzebowali.

Ich zapał ostudzał główny sygnalista Zygmunt.

- Tak potężny okręt będzie miał wielką ochronę - ostrzegał swoich towarzyszy. Gdy nas zauważą, natychmiast ruszą do ataku. A jeśli trafimy torpedą, zrobią wszystko, żeby nas wykończyć.

Jednak inni, a zwłaszcza Tomasz, gorąco pragnęli spróbować i nie przejmowali się zbyt wielkimi konsekwencjami. Zostało im tylko sześć torped, ale jak na razie leżały one bezużytecznie w wyrzutniach. Niebiosa zesłały im taką gratkę, nie mogą jej zmarnować.

Okręt pozostawał na głębokości peryskopowej. Bogdan co chwila omiatał wzrokiem horyzont, wypatrując jednostek przeciwnika. Miał świadomość, że wszyscy obecni w sterowni patrzą na niego i czekają, co powie.

- Ani śladu wielkiego drania - oznajmił w końcu. - Widzę dwa niszczyciele oraz kilka ścigaczy i trawlerów. Chyba te przechwycone przez nas komunikaty są nieprawdziwe.

- Dwa niszczyciele to zbyt słaba eskorta dla tak ważnego okrętu jak „Gneisenau” - zauważył Piotr. - Z pewnością płynąłby z nim jeszcze krążownik.

- Peryskop w dół - rozkazał kapitan. - Już prawie świt. Po czekajmy, aż się rozwidni, i wtedy zobaczymy. Może uda nam się coś wypatrzeć.

Atmosfera nieco się rozluźniła.

„Orzeł” szedł powoli na północny wschód, w kierunku Born-holmu. Bogdan sądził, że jeśli „Gneisenau” naprawdę znajduje się na Bałtyku, to nie odważy się odплыnąć zbyt daleko od swego macierzystego portu w Kilonii, a nawet jeśli tak, to w końcu będzie musiał tam powrócić. Nie mógł uwierzyć, żeby jednostka tej klasy zapuściła się na tak mało ważny akwen, chyba że odbywały się jakieś manewry.

Po godzinie znów wynurzyli się na głębokość peryskopową i wznowili poszukiwania.

- Wciąż nie widać pancernika, ale wokół płyną te dwa niszczyciele, parę ścigaczy i grupa trawlerów. To dziwne, że jest ich tutaj tak dużo.

- Może wciąż nas szukają - zastanawiał się Piotr. - Muszą wiedzieć, że ciągle płynamy po Bałtyku, ponieważ gdybyśmy zawinęli do jakiegoś neutralnego portu, od razu by to wykryli.

Rozmowę przerwał radiotelegrafista Jan, który wyszedł ze swojego pomieszczenia błady jak ściana. Podał Bogdanowi kartkę papieru. Na twarzy kapitana odmalowało się przerażenie.

- BBC podało właśnie, że Warszawa skapitulowała, zrujnowana przez nazistów. Polska poddała się Niemcom i Rosjanom.

Dowódca patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, a ludzie wokół niego stali osłupieni. Zapadła głucha cisza. Wszystkim obecnym wydawało się, że nastąpił koniec świata. Słowa Bogdana powoli docierały do świadomości załogi, choć w żaden sposób nie mogli w nie uwierzyć. Polska poddała się! Choć ten fakt nie dotyczył ich w bezpośredni sposób, nie wiedzieli, jak mają się zachować. Przez głowy przemknęła im myśl, że to już koniec wojny, że nie będą już więcej walczyć, nie będą już polować na niemieckie okręty. Co mają teraz robić? Dokąd popłynąć? Czy dostaną się do niewoli? Narastało w nich poczucie buntu, pragnęli dalej

toczyć bój. Czuli, że nie mają wyboru, że muszą pomścić swoje rodziny i przyjaciół. Chcieli wypełnić w końcu jakąś misję.

Po kilku minutach Bogdan przerwał milczenie. Zwrócił się do swoich ludzi z wyrazem determinacji na twarzy.

- To oznacza, że zostaliśmy sami. Znikąd nie możemy spodziewać się pomocy. Mamy teraz tylko jedno zadanie: musimy wyrządzić nieprzyjacielowi jak najwięcej szkód. Będziemy tropić niemieckie okręty i odpłacać wrogowi za krzywdy, które wyrządził naszym rodakom i bliskim. Teraz wszystko inne straciło jakiegokolwiek znaczenie.

W głębi duszy myślał zupełnie inaczej. Pytał sam siebie, co powinni teraz uczynić, skoro nie mogą już na nikogo liczyć.

Jednak pozostali członkowie załogi poczuli się nagle jeszcze silniej zespoleni. Wspólne radości, troski, ideały, cele, niebezpieczeństwa i trudności spajały tych ludzi. W tym momencie ostatecznie się zjednoczyli i bezgranicznie zawierzyli swojemu dowódcy. Wytworzyła się między nimi relacja, która w normalnych warunkach występuje jedynie pomiędzy najbliższymi.

* *

Emocje opadły trochę, kiedy wrócili do swoich obowiązków. Bogdan postanowił raz jeszcze sprawdzić, co dzieje się na powierzchni.

- Nie widać pancernika, ale dwa niszczyciele ustawiły się tuż obok siebie, dwie mile od naszej lewej burty - oznajmił Piotrowi i Tomaszowi, którzy stali obok niego. - Jeden idzie kawałek przed drugim. Niedługo przejdą nam przed dziobem. Jeśli wystrzelili byśmy dwie torpedy w momencie kiedy będą przepływać, z pewnością któregoś trafimy, a jeśli szczęście się do nas uśmiechnie, to może dostaną obydwu.

Ludzie w sterowni uśmiechnęli się szeroko.

- Spróbujemy - powiedział uradowany Tomasz. Kapitan kiwnął głową, więc oficer nakazał swoim ludziom - Kazikowi, Arturowi, Brykowi i Markowi - aby zajęli stanowiska.

- Zalać pierwszą i drugą wyrzutnię!

Otworzyły się luki wyrzutni torped i wlała się do nich woda, natychmiast zalewając pociski. Napięcie narastało z każdą chwilą.

- Wyrzutnie zalane - usłyszano w kiosku, a na panelu kontrolnym zapaliły się czerwone lampki.

Na okręcie znów zapadła cisza. Wyłączono silniki, słychać było jedynie krótkie, urywane oddechy i pluskanie fal.

- Przygotować się - powiedział kapitan, sprawdzając po raz ostatni cel. Skierował peryskop na okręty przeciwnika, idące burta w burtę. Jeden prowadził, drugi znajdował się nieznacznie z tyłu. Znalazły się wreszcie na linii dziobu.

- Odpalić obie torpedy - padł szybki rozkaz.

Okretem wstrząsnęła siła odrzutu.

Członkowie załogi „Orła” ćwiczyli tę procedurę wielokrotnie, ale po raz pierwszy mieli okazję wykorzystać swoje doświadczenia w praktyce. Wszystko to znali na pamięć - ładowanie torped, celowanie i przyciśnięcie guzika odpalającego, który wysyła impuls elektryczny do elektromagnesu, otwierającego butlę ze sprężonym powietrzem. Zwalniają się blokady i pocisk zostaje wypchnięty z wyrzutni, z której przez krótką chwilę unosi się niewielka chmura pary, powstałej w wyniku zetknięcia sprężonego powietrza z wodą.

Kiedy ta mgiełka opadnie, pozostaje tylko czekanie.

Nagle potężny wybuch wstrząsnął „Orłem”. Gdzieś niedaleko eksplodowała zrzucona z samolotu bomba.

- Zanurzenie 35 metrów - rozkazał kapitan.

• Mam nadzieję, że jest tu na tyle głęboko - powiedział cicho Piotr.

• Musieli zauważyć z powietrza ślady torped. Mogli też dostrzec kształt naszego okrętu, spuścili więc szybko bomby. Całe szczęście, że nie ładunki głębinowe. Eksplodowały na powierzchni ni wody, pewnie tuż nad nami.

• Trafiliśmy? - spytał niepewnie Tomasz.

• Nie zdążyłem zauważyć, ale słyszałem jakieś wybuchy, więc torpedy na pewno w coś uderzyły. Za chwilę spróbujemy się wynurzyć, wtedy zobaczymy - odparł Bogdan.

Okretem znów gwałtownie szarpnęło, rzucając ludźmi o ziemię. Z zaworów zaczęła cieknąć woda.

- Ster prawo na burtę - padło polecenie. Nabierali prędkości, więc kąt skrętu był bardzo mały. Przechył stał się niebezpieczny.

- Wszyscy na dziób - rozkazał kapitan.

Członkowie załogi rzucili się do przodu; niezabezpieczone przedmioty zaczęły spadać na ziemię, ludzie potykali się i upadali. Zawieszane na grodziach kurtki wisiały teraz pod dziwnym kątem.

Bogdan oparł się o stół i wyprostował. Ten widok podziałał mobilizująco na ludzi. Wyglądał dumnie w swojej białej czapce, wywinętym kołnierzu i podbitej futrem kurtce.

Piotr patrzył na całą sytuację spod na pół przymkniętych oczu. Zagryzał wargi, trzymając prawą rękę na uchwycie peryskopu. Franciszek podniósł się i zacisnął pięści. Chciał krzyknąć, ale przełknął tylko ślinę. Nikt się nie poruszał. Marek złapał się drabinki i wpatrywał w manometr: ciśnienie ustatkowało się. Kamil i Waldemar, którzy czuwali przy hydrofonie, wyglądali jak manekiny w swoich gumowych sztormiakach i kapeluszach rybackich. Oszołomiony Michał zauważył, że przedstawiają sobą naprawdę żalosny widok.

Kolejna eksplozja. Słychać trzask tłuczonego szkła.

Pierwszy podniósł się Marek, przeszedł chwiejnie kilka kroków, potknął się i znów upadł. Wcisnął się w kąt pod włazem i obiema rękami złapał się biegnącej tędy rury.

Uderzenia spadają na nich nieprzerwanie, jedno za drugim, jak gdyby w morzu pływały wielkie beczki z prochem, które ktoś co chwilę podpala. Na zewnątrz wrze, bulgocze i dudni. Wciągają ich podwodne wiry, rzucając okrętem na wszystkie strony. Większość marynarzy

zdołała się już zaklinować pomiędzy urządzeniami, trzymając się kurczowo na stałe przymocowanych elementów.

Do sterowni wtacza się siny na twarzy Jerzy; spływają z niego strugi potu. Porusza się z trudem.

Cztery eksplozje, w bardzo krótkich odstępach czasu.

- Za rufą- szepcze kapitan - większość wybucha za rufą, nie wyrządzają nam wielkich szkód.

Kolejna eksplozja, trochę dalej. Ogłuszający ryk mas wodnych nie ustaje ani na chwilę.

Bogdan nie wydał sternikowi nowego rozkazu, choć wszyscy na to czekają. Do ostatniej chwili przeciąga zmianę kursu, żeby zmylić ścigających ich napastników.

• Chyba naprawdę nas nie lubią - mówi Eryk, starając się rozładować trochę atmosferę i pokazać, że się nie boi.

• Nie wiem, dlaczego tak mówisz - odpowiada Marek. - Przecież w ogóle nas nie znają.

Następne uderzenie spada na okręt. W tym momencie dowódca nakazuje zwiększyć prędkość. Hałasy trochę cichną, więc silniki znów muszą zwolnić.

Znów trzy lub cztery eksplozje wstrząsają „Orłem”. Marynarze drżą na całym ciele. Zewsząd kapie woda, ale nikt już tego nie zauważa, ponieważ wszyscy są mokrzy od potu.

Kapitan nie poruszył się nawet o milimetr. Trzyma wysoko głowę, patrząc na manometr i nasłuchując.

Dwa uderzenia od burty. Morze wokół nich znów huczy i bulgocze. Ogłuszają ich kolejne eksplozje. Nowe natarcie. Cztery, pięć wybuchów. Cisza. Marek zamyka oczy i widzi strumienie ognia, potężne filary, na których wspierają się gwiazdy, kaskady isker, tańczące wokół krwistoczerwonych plam, oślepiające białe płomienie, wirujące koła ogniste i różnokolorowe błyski.

Tuż obok nich eksploduje kolejny ładunek. Okręt podskakuje jak piłka. Igła głębokościomierza zaczyna wariować. Gasną wszystkie światła. Znów na ziemię sypie się szkło.

Bogdan musi zdecydować, czy kontynuować schodzenie pod wodę, aby znaleźć się poniżej poziomu, na którym wybuchły ostatnie ładunki, czy odwrotnie - wynurzyć się, mając nadzieję, że następne detonacje nastąpią głębiej. Wydaje mu się, że bomby eksplodowały teraz przy dziobie i burcie. Ale poniżej czy powyżej okrętu?

Jerzym rzuca na wszystkie strony. Dostaje cios w tył głowy i następny w szyję. Przemknęło mu przez głowę, że w boksie grozi za to dyskwalifikacja.

W sterowni zaczyna unosić się dym. Czy na domiar złego mają mieć jeszcze pożar na pokładzie? Kable zaczynają się tlić. Czy to nie spowoduje spięcia?

- Poszła uszczelka na wale, woda cieknie przez zawór!

- krzyknął ktoś z rufy. Nikt nie zwraca na to uwagi. Cieknie ze wsząd.

Cztery kolejne eksplozje, jedna po drugiej; woda kipi i syczy, formując potężny wir.

Następny wybuch znów rzuca okrętem. Ze sterowni dochodzą odgłosy łkania. Czy to oznacza, że któryś z kadetów zaraz dostanie ataku hysterii?

- Nie martwcie się, chłopaki - usiłuje pocieszać kolegów Ta deusz, zataczając się przy każdym kroku. - Jeśli słyszycie eksplo

zje i czujecie drgania, to *znaczy*, że wciąż żyjecie. Zaczniście się martwić dopiero, jak przestaniecie cokolwiek odczuwać.

Spoglądają na niego z powątpiewaniem.

Marek napina z całej siły mięśnie brzucha, jakby czuł, że jego wnętrzności rozrywają się pod wpływem ciśnienia. Dopiero po kilku minutach odważył się zdjąć lewą rękę z rury. Przejechał dłonią po czole i poczuł zimny pot. Ubranie lepi się do niego. Czy to strach? W ustach ma kwaśny posmak, a z tyłu głowy coś wali rytmicznie. Próbuje wstrzymać oddech, ale wtedy czuje się jeszcze gorzej.

Eryk wciąż się trzyma, ale wydaje mu się, że płyty pokładowe unoszą się do góry. Po kilku sekundach słyszy metaliczny brzęk oraz coś jakby jęk stali - przenikliwy, wysoki pisk. Czy kadłub wytrzyma ciśnienie? Okręt wpada w kolejne wiry, ciskany potężnymi wybuchami. Ludzie wpadają na siebie, przewracają się.

Podwójna eksplozja, ryk wody, szuranie i zgrzytanie elementów poszycia.

Nagle zapada całkowita, totalna cisza.

Spadające krople odmierzają czas. Minuty trwają całą wieczność. Na pokładzie bardzo powoli budzi się życie - ludzie podnoszą się, sprawdzają, czy nie są ranni. Uśmiechają się do siebie blade. Jak to możliwe, że wciąż żyją? Wszyscy o tym myślą, ale nikt nie śmie zapytać.

- Wszystko w porządku? - pyta spokojnie Bogdan.

Członkowie załogi wydają z siebie słaby jęk. Odpowiedź twierdząca.

Następne dwie godziny spędzili na doprowadzaniu wnętrza okrętu do porządku. Kapitan zdecydował, że czas zorientować się w sytuacji. Długo patrzył w milczeniu przez peryskop, aż w końcu padł rozkaz:

- Przygotować się do wynurzenia.

Nie był pewien, czy to słuszna decyzja. Musieli jednak naładować akumulatory. Potrzebowali na to pięć godzin, a do świtu pozostało niecałe sześć.

Okręt zaczął się powoli i majestatycznie wznosić. Dziób przeciął powierzchnię wody, wzbijając fale. Bogdan otworzył właz i wyszedł na mostek; tuż za nim wdrapali się dwaj marynarze. Dowódca szybko się rozejrzył. Nic. Wszędzie dokoła było pusto. Instykt doświadczonego oficera podpowiadał mu, że zagrożenie już minęło. Czuł się bezpiecznie. Na zewnątrz wydostał się również Piotr, na którego teraz przypadała kolej objęcia wachty. Spodziewał się, że kapitan przekaze mu obowiązki i zejdzie na dół, jednak Bogdan został na mostku. Wyglądało, jakby chciał z kimś porozmawiać.

- Ciężka sprawa - zaczął rozmowę.

— Racja - odparł Piotr - ale jak pan myśli, trafiliśmy te niszczyciele?

- Trudno powiedzieć - odpowiedział dowódca - z pewnością obie torpedy w coś uderzyły. Nie wiemy tylko w co. Jeślibyśmy zatopili chociaż jeden z nich, to pewnie jeszcze by nas szukali. Sektor patrolowałyby ścigacze.

- Mogą myśleć, że zatopiliśmy w wyniku tych wszystkich wybuchów.

- Musimy zdecydować, co dalej - stanowczo stwierdził Bogdan. - Niech Andrzej i Jerzy zorientują się w uszkodzeniach i zinventaryzują zapasy paliwa, wody i żywności. Jak najszybciej.

Piotr skinął głową.

- Zwołuję zebranie wszystkich oficerów w sterowni, za trzydzieści minut. Mają tam przyjść również Ryszard i Robert; może nam się przydać ich doświadczenie. Wtedy podejmiemy decyzję.

Okazało się, że eksplozje nie naruszyły poważnie konstrukcji okrętu i nie zniszczyły żadnych istotnych urządzeń. Gorzej rzecz miała się z zasobami, które kurczyły się w bardzo szybkim tempie.

Spotkanie minęło w ponurej atmosferze. Uspokojenie, jakie nastąpiło po tym ataku, nie podziało na ludzi kojąco. Wszyscy przypomnieli sobie niedawno zasłyszane wieści o kapitulacji.

Dowódca powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. Widział, że są wyczerpani, zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

- Omówiliśmy wszystkie możliwe scenariusze. Nie sądzę, że byśmy mieli jakiś wybór. Nie możemy dłużej pływać po Bałtyku, mając nadzieję, że znajdziemy cel dla naszych czterech torped. Kończy nam się paliwo, woda i żywność, a warunki na okręcie stają się powoli nie do zniesienia. Wydaje mi się, że musimy spróbować przedostać się do Wielkiej Brytanii, dołączyć się do Royal Navy i na serio zacząć walczyć z nieprzyjacielem.

Zapadła cisza.

- Nie usłyszysz od nas nic nowego - odezwał się Tomasz.
- Masz rację, nie mamy wyboru. Wszyscy chcielibyśmy kontynuować walkę, a tylko w ten sposób będzie to możliwe.

Pozostali przytaknęli niechętnie.

- Jeśli mogę - *zaczai* nieśmiało Ryszard, świadom, że jest jedynie podoficerem.

Bogdan skinął głową.

- Wydostanie się z Bałtyku będzie bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe. W naszej sytuacji musielibyśmy kierować się w stronę cieśniny Sund, która ma 120 kilometrów długości, a w pewnych miejscach jedynie 4 kilometry szerokości. Spore obszary mają jedynie około 7 metrów głębokości. Choć są to wody neutralne oraz terytorialne, z pewnością będzie tam pełno statków, w tym szukających nas niemieckich okrętów wojennych. Jedyna rozsądna trasa wiedzie blisko wybrzeża, gdzie jest bardzo płytko i nie będziemy mogli się zanurzyć. Każda wroga jednostka może stanowić potencjalne zagrożenie. Ale uważam - dodał na koniec, nie chcąc sprawiać wrażenia, że brak mu entuzjazmu - że powinniśmy spróbować.

- Dziękujemy ci bardzo za to podnoszące na duchu sprawozdanie - uśmiechnął się kapitan. - Może wolałbyś, żebyśmy cię teraz wysadzili?

- Nie, panie kapitanie. Nie mówię ani po duńsku, ani po szwedzku - zaśmiał się Ryszard. - Poza tym, aż tak dobrze nie pływam.
- Nie zapominajmy - odezwał się Robert - że w czasie I wojny światowej brytyjskiemu okrętowi podwodnemu udało się przepłynąć niezauważenie przez Sund.
- W takim razie nam też musi się udać - podsumował rozważania Franciszek.

Rozdział 8

Piotr siedział samotnie w niesie oficerskiej i rozmyślał. Po raz pierwszy od wielu dni nie odczuwał ciężającej na nim presji. „Orzeł” szedł połową prędkości po powierzchni. Widoczność ograniczała gęsta mgła. Z powodu kiepskiej pogody Bogdan nakazał, aby służbę na mostku pełniło aż czterech wartowników. Wachtę miał teraz Andrzej.

W drzwiach pojawił się kapitan.

• Mogę wejść? - spytał, wiedząc, że tylko w tym pomieszczeniu jego oficerowie mogą chwilę odpocząć od gwaru panującego na pokładzie.

• Oczywiście - odparł Piotr, podnosząc się z miejsca.

Ci dwaj mężczyźni bardzo się szanowali. W każdym innym miejscu dowódca i jego zastępca byłiby bliskimi przyjaciółmi, współpracującymi ze sobą na równej stopie, ale na okręcie podwodnym hierarchia służbowa odgrywała ważną rolę. Obaj doskonale to rozumieli i nie przekraczali tej niepisanej granicy, nawet kiedy spotykali się tylko we dwóch.

- Wieści z kraju są cholernie przygnębiające - odezwał się w końcu Bogdan.

Piotr pokiwał głową.

- Gorzej już być nie może - stwierdził.

Siedzieli przez kilka minut w milczeniu, pograżeni we własnych myślach.

• Pochodzisz z Warszawy, prawda? - spytał pierwszy oficer. Kapitan przytaknął.

• To tak jak Tomasz, Sławomir i Marcin. Twoja żona tam zo stała?

Bogdan znów skinął głową. Po chwili przemówił:

• Przynajmniej tak mi się wydaje. Mogła przenieść się do Łodzi, gdzie mieszkają jej rodzice. Jeśli udało im się ją przekonać...

• Musisz się bardzo martwić.

• Bardziej niż myślisz - odparł dowódca. - Ona jest Ży

dówką.

Piotr osłupiał ze zdumienia. Nie wiedział, co powiedzieć.

- To tak jak żona Andrzeja, prawda? - tylko to przyszło mu do głowy.

- Są kuzynkami.

Rozmowa urwała się nagle. Piotr nie umiał *znaleźć* odpowiednich słów. Stopniowo uzmysławiał sobie całą grozę konsekwencji tego, o czym się przed chwilą dowiedział. Odbierali przez radio wieści z Polski i wiedzieli, w jaki sposób naziści traktują osoby pochodzenia żydowskiego. Te informacje były zbyt przerażające, żeby o nich myśleć, a co dopiero o tym rozmawiać. Pierwszy oficer zastanawiał się, jak on zachowałby się w podobnej sytuacji, ale nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Bogdan czuł, że jego rozmówca jest przerażony; nie pomogło mu wyrzucenie z siebie głęboko skrywanych obaw. Kapitan widział, że Piotr nie może sobie poradzić z tym, co usłyszał.

- Dobrze pamiętam, że ty pochodzisz z Koszalina?
- Tak - odparł oficer, zadowolony, że zmienili temat.
- Jesteś żonaty?
- Byłem.
- Och!

- Zostawiła mnie jakieś trzy miesiące temu. Miała dość tego, że poświęcam cały swój czas marynarce. Chciała posmakować innego życia.

- Wiem, o czym mówisz - wtrącił Bogdan.
- Nie sądzę, żeby miała kogoś. Po prostu nie mogła zrozumiąć, dlaczego odsunąłem ją na drugi plan. Ale nie miałem wy-

boru, zbliżała się wojna. Nie potrafiła dostrzec, że robię to nie z powodu przywiązania do pracy, ale że chronię mój kraj i ją zarazem. Nie mogłem postąpić inaczej. Jerzy znajdował się w podobnej sytuacji. Jego ojciec umierał, powinien był czuć przy nim. Ale przecież nie miał jak.

- To już za nami - westchnął kapitan. - Bóg wie, co czeka nas w przyszłości, jeśli uda nam się wydostać z Bałtyku. Sądzę, że część załogi już się poddała. Oczywiście dalej będą walczyć, ale już bez nadziei na ocalenie. Nie wierzą, że jeszcze kiedykolwiek wrócą do Polski i ujrzą swoje rodziny.

-A jeśli nawet uda nam się powrócić, to co zastaniemy? Czy nasi bliscy przeżyją to piekło?

Bogdan wstał i zaczął zbierać się do wyjścia.

- Nie popadajmy w przygnębienie. Musimy dawać dobry przykład marynarzom - uśmiechnął się.

Piotr również się podniósł.

- Dzięki za rozmowę - powiedział szczerze kapitan.

Podobne dyskusje toczono w różnych miejscach okrętu.

W ruch poszły również karty, ale nie towarzyszył temu już dawny entuzjizm. Zwykle przy tym zajęciu atmosfera była bardzo gorąca - marynarze przeklinali, wykrzykiwali wulgarne komentarze lub sprośności. Tym razem jednak grano w milczeniu.

„Orzeł” płynął spokojnie na zachód. Co jakiś czas dochodziły do nich odgłosy przelatujących samolotów, ale nie musieli się obawiać, ponieważ niebo skrywały gęste chmury. Przejrzało się, gdy dotarli do wybrzeży Szwecji. Po raz pierwszy od dłuższego czasu pokazały się gwiazdy. Atmosfera znów stała się niespokojna.

W pewnej chwili pełniący wartę Eryk i Marek spostrzegli jakieś niewyraźne kontury z prawej burty. Pierwszy odezwał się

Marek, starając się nadać swej wypowiedzi ton bardzo profesjonalny.

- Łąd na horyzoncie, z prawej burty, widać światła - zawołał.

Po raz pierwszy tej nocy granatowe morze odcinało się od szarego nieba. Pomiędzy nimi widniał czarny zarys wybrzeża, mieniący się migotliwym blaskiem.

- Spójrz na to - odezwał się Eryk. - Jaki spokój.

Marynarze zdążyli się już przyzwyczaić do kompletnej ciemności. Jak zahipnotyzowani wpatrywali się teraz w światła domów, obok których właśnie przejeżdżał samochód. Z prawej strony ciągnął się łańcuch innych światel - prawdopodobnie był to zmierzający do miasta lub portu pociąg, który znajdował się teraz tuż przed nimi. Niedaleko przepływał mały statek wycieczkowy; od niego także biła łuna światła. Wiatr niósł po wodzie echo muzyki. Przez lornetkę mogli dostrzec pary spacerujące po pokładzie; prawdopodobnie szykowano się do wieczornego balu. Na morzu przed nimi pojawiły się boje i światła naprowadzające - coś, czego nie widzieli od dłuższego czasu. Czuli, że przestali już pasować do tego blasku.

Na mostek wyszedł Bogdan, a za nim Piotr, Andrzej, Franciszek i Jerzy. Wszyscy chcieli zobaczyć oznaki cywilizacji. Czuli się tak, jakby minęło już wiele miesięcy, odkąd opuścili macierzysty port.

• To pewnie Trelleborg - powiedział Jerzy. - Zbliżamy się do cieśniny.

• Niedługo świt - dodał kapitan. - Przygotować się do zanużenia.

Niezbyt spieszenie skierowali się w swoją stronę. Pragnęli nacieszyć oczy tym widokiem, bo nie wiedzieli, czy kiedyś jeszcze ujrzą coś podobnego. Każdy chciał zejść jako ostatni.

Dowódca poprowadził okręt dalej od ładu, chcąc wpłynąć trochę głębsze wody. Osiedli na dnie i czekali. Niedługo mieli spróbować dokonać niemożliwego.

• Musi istnieć jakieś inne wyjście - powiedział zdenerwowany Franciszek. Niezbyt spodobał mu się obraz odmalowany przez Ryszarda. Jako nauczyciel wiedział, że przed podjęciem decyzji każdy problem należy bardzo dokładnie przeanalizować ze wszystkich możliwych punktów widzenia.

• Z Bałtyku na Morze Północne można się dostać trzema drogami - wyjaśniał bosman. - Pierwsza trasa, na południu, prowadzi pomiędzy Danią a wyspą Fionia, ale jest tam bardzo wąsko i płytko. Nie mamy szans przejść tamtędy. Przesmyk pomiędzy

Zelandią a Fionia jest nieco szerszy, ale na jego dnie znajdują się niebezpieczne rafy i występują tam bardzo silne prądy. Cieśnina Sund, pomiędzy Kopenhagą a wybrzeżem Szwecji, to nasza jedyna szansa, choć nie wygląda to wcale optymistycznie. Jak już mówiłem, ma 120 kilometrów długości, przy 4 kilometrach szerokości w najwęższym miejscu, pomiędzy Helsingorem a Helsingborgiem. Głębokość wynosi zaledwie 7 metrów. Poza tym będzie pełna okrętów.

- Na ostatniej odprawie ktoś wspomniał, że brytyjskiemu okrętowi podwodnemu udało się tamtędy przejść podczas I wojny światowej - powiedział Franciszek z nadzieją w głosie.

• To prawda - ciągnął dalej Ryszard. - Nie możemy jednak zapominać, że lotnictwo w tamtych czasach jeszcze raczkowało. Rzadko odbywano loty patrolowe i raczej nie atakowano statków z powietrza. Nie znano wtedy jeszcze bomb głębinowych ani urządzeń wykrywających okręty podwodne. Nie mamy jednak innego wyjścia - musimy próbować przedrzeć się przez Sund, Kattegat i Skagerrak. Cała trasa liczy około 500 kilometrów.

• Opowiedz nam o tych dwóch pozostałych przesmykach - poprosił Piotr. - Co nas tam czeka?

• W gruncie rzeczy jest tam sporo miejsca. Kattegat zaczyna się zaraz u ujścia wąskiego gardła cieśniny Sund, zwężając się

u swego północnego krańca do około 80 kilometrów szerokości. Na rym akwenie najbardziej dokuczają jednak pogoda - często przetaczają się przez te rejony potężne sztormy. Skagerrak ma około 120 do 140 kilometrów szerokości. Od strony Danii jest dość płytko, ale przy wybrzeżu Norwegii woda robi się głębsza. Niestety, w obu cieśninach panuje dość duży ruch. Z pewnością będą tam również niemieckie okręty wojenne. Jeśli uda nam się przedostać, wypływamy na Morze Północne. Tam również panują niezbyt sprzyjające warunki atmosferyczne i także możemy napotkać jednostki nieprzyjaciela, ale to już teren kontrolowany przez Royal Navy - zakończył Ryszard przy pomrukach uznania słuchaczy.

• Teraz wiecie już wszystko - powiedział Bogdan. - Nie możemy się zastanawiać czy nam się uda lub czy na pewno się na to decydujemy. Rozstrzygająca stała się kwestia czasu. Kończą nam się wszystkie zapasy, a warunki bytowania na okręcie pogarszają się z każdym dniem. Nie myśliśmy się od dwóch tygodni. Zaczyna brakować słodkiej wody. Pamiętacie, kiedy ostatnio napiliście się herbaty? Większość żywności zgniła, a nie można jeść sucharów bez popijania. Właściwie to nie wiem, co tu jeszcze robicie - do dał.

• Podążamy za naszym dzielnym kapitanem aż do końca - uśmiechnął się Tomasz.

• Cieszę się, że zdołaliście zachować poczucie humoru - podsumował dyskusję Bogdan.

W ciągu ostatniego miesiąca wartownicy wszczynali alarm za każdym razem, kiedy na horyzoncie lub na niebie pojawiło się światło. Teraz rozpościerała się przed nimi prawdziwa iluminacja - blask światła dochodził z lądu, ze statków i z boi. Mieniły się różnymi kolorami, przesuwwały się i błyskały. Nie sposób było je rozróżnić.

Bogdan nie obawiał się, że zostaną zauważeni lub zaatakowani. Nie napawała go też strachem perspektywa wpłynięcia na mieliznę, zderzenia z inną jednostką, utonięcia lub dostania się do niewoli. *Przerażała* go natomiast myśl, że członkowie załogi zauważą, iż każdy jego krok, każde słowo, każdy ruch podszyte są lękiem i brakiem pewności siebie. Udało mu się zapanować nad odruchami, które mogłyby go zdradzić: przestał nerwowo zaplatać palce lub drapać się w kark, kiedy nie umiał podjąć decyzji. Wątpliwości nie opuszczały go jednak, odkąd przejął dowodzenie w Tallinie. Świetnie czuł się w roli pierwszego oficera, ponieważ wiedział, że to kapitan zawsze ponosi ostateczną odpowiedzialność. Oczywiście liczył na to, że i on kiedyś awansuje, ale nowe obowiązki spadły na niego zbyt niespodziewanie. Teraz życie tych wszystkich ludzi zależało od jego decyzji. Podjął się niemożliwego zadania. Przekonywał się w duchu, że nie chodzi o to, aby umieć zaplanować wszystko z wyprzedzeniem; ważne, aby szybko i sprawnie reagować na wydarzenia. Pragnął przyjąć pragmatyczną postawę, nie mógł jednak znieść myśli, że może się pomylić.

Na mostek wszedł Piotr i stanął obok Bogdana. Wiedział doskonale, co czuje kapitan.

- Uda nam się - szepnął.

Zygmunt i Jarek stali na warcie, uważnie lustrując wzrokiem okolice. Starali się jak najbardziej skoncentrować. Nagle kadet zauważył jakiś obiekt przy prawej burcie, który wyraźnie odcinał się od tła. Wartownik zamrugał i spojrzał jeszcze raz, ale wrażenie uparcie nie chciało zniknąć. Tajemniczy obiekt poruszał się w tym samym kierunku co oni, zbliżając się coraz bardziej. Jarek odwrócił na chwilę wzrok, po czym jeszcze raz popatrzył. Znow bliżej.

- Statek po prawej burcie, kurs kolizyjny - powiedział półgłosem, pewny, że jeśli odezwałby się zbyt głośno, usłyszano by go na pobliskim wybrzeżu.

- Przygotować się do zanurzenia, głębokość peryskopowa - rozkazał Bogdan. Piotr wraz z marynarzami szybko zeszli z mostka.

- Peryskop w górę - polecił kapitan, kiedy zniknęli już pod powierzchnią wody.

Wziął w ręce uchwyt i spojrzał przez okular.

- To mały frachtowiec. Szedł prosto na nas. Dobra robota, Jarku.

Kadet dumnie wyprężył pierś.

- Powoli naprzód, prędkość pięć węzłów.

Dowódca prowadził „Orła” bardzo powoli i blisko powierzchni; w pewnym momencie usłyszano jednak odgłos szurania. Natychmiast wyłączono silniki. Tak jak podejrzewali, głębokość wynosiła jedynie 7 metrów. Kapitan dziękował Bogu, że księżyc jest w nowiu, i że niebo skrywają

chmury - w przeciwnym wypadku stanowiłby łatwy cel dla samolotów. Hałas przepływających w pobliżu statków przyprawiał ich o drżenie. Jeśli duży okręt znalazłby się dokładnie nad nimi, mogłoby dojść do zderzenia, w wyniku którego prawdopodobnie by zatonięli.

Napięcie rosło. Bogdan znów spojrział przez peryskop i to, co zobaczył, jeszcze bardziej go przeraziło. Wciąż znajdowali się w sporej odległości od wąskiego przesmyku, a wokół roilo się od pływających jednostek, w tym niemieckich niszczycieli i kutrów torpedowych, które bezustannie patrolowały cały obszar. Kapitan polecił spojrzeć Piotrowi, który gwizdnął cicho, zdziwiony tak wielką ilością statków.

- Nie wspominaliśmy nic o polach minowych w tym rejonie - zauważył.

- Chciałem uniknąć tego tematu - odparł Bogdan. - Ale skoro zacząłeś, to spójrz z prawej burty. Widzisz, że są takie miejsca,

gdzie nie wpływają żadne okręty? Czy oni wiedzą coś, czego my nie wiemy?

- To całkiem możliwe - padła odpowiedź.
- Wynurzymy się znów i rozejrzyjmy trochę - zasugerował do wódca.

„Orzeł” powoli wznosił się ku powierzchni. Piotr czekał, aż kiosk wyjdzie ponad powierzchnię wody. Otworzył właz i zaczął się wspinać po drabince. W połowie drogi stanął i zeskoczył na dół, zatrzasnąwszy za sobą wyjście.

- Alarm zanurzeniowy! - krzyknął.

Marynarze rzucili się do swych stanowisk i natychmiast wykonali rozkaz. Woda z hukiem wypełniała balasty, zagłuszając słowa pierwszego oficera.

- Byliśmy burta w burcie z cholernym niemieckim niszczycielem - oznajmił zdyszany Piotr.

Bogdan położył okręt na dnie i polecił wyłączyć silniki.

• Nie mam pojęcia, czy nas zauważyli - dodał Piotr. - Nie miałem czasu spojrzeć, ale wydawało mi się, że stoją.

• Nie słychać było odgłosu motorów - potwierdził kapitan.

- Wkrótce się przekonamy, czy zdali sobie sprawę z naszej obecności. Bomba głębinowa w tej sytuacji szybko się z nami rozprawi.

Zapadła całkowita cisza. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając na pierwszą i być może ostatnią eksplozję. Czas płynął wyjątkowo wolno.

- Spróbujemy znów za jakiś czas - odezwał się wreszcie do wódca. Nikt nie dyskutował.

Po godzinie znów wysunięto peryskop. Bogdan dokładnie obejrzał okolicę, szczególnie uważnie wypatrując oznak obecności niszczyciela z lewej burty.

- Czysto - oznajmił pewnym głosem. - Wynurzamy się.

„Orzeł” znów rozpoczął swoją mozolną wspinaczkę. Teraz Tomasz miał wyjść jako pierwszy. Otworzył właz i wyskoczył na mostek; tym razem nie napotkali żadnych problemów. Światła dochodziły jedynie z łądu, wokół nie znajdował się żaden okręt.

• Z lewej burty morze jest zupełnie puste - powiedział. - Może liwe, że to pole minowe.

- Będziemy płynąć bardzo powoli - odparł Bogdan. - Chcę podejść tak blisko wąskiego gardła, jak to tylko możliwe, dopóki jesteśmy wynurzeni. Musimy podładować akumulatory. Spędzi my następny dzień na dnie i spróbujemy przedrzeć się przez przesmyk w nocy.

Znów zapadła cisza.

Eryk i Marek zostali wyznaczeni na wartowników, ponieważ jako najmłodszy mieli najlepszy wzrok. Zresztą przyszli oficerowie powinni nabywać doświadczenia na różnych stanowiskach. Okutali się w ciepłe płaszcze i założyli wełniane czapki. Z uwagą wypatrywali jakiegokolwiek oznaki zagrożenia.

- Zastanawiam się, co powiedzieliby nasi rodzice, gdyby nas teraz widzieli - zagaił rozmowę Eryk i od razu zrozumiał, że nie powinien był poruszać tej kwestii, bowiem Marek zeszytniał i spojrzał na niego dziwnym wzrokiem. Odezwały się w nich tłumione dotychczas uczucia.

Zdawali sobie sprawę, w jak okropnym położeniu mogą się teraz znajdować ich rodziny - zapewne miały się dużo gorzej niż członkowie załogi „Orła”. Ich bliscy mieszkali w Tczewie i Sopocie, a okolice Gdańska nie należały teraz do najbezpieczniejszych. Niemiecka machina wojenna przetaczała się przez Polskę. Ojciec Eryka był dyrektorem jednego z liceów, a ojciec Marka - właścicielem firmy produkującej wyposażenie okrętów. Chłopcy mieli nadzieję, że najeźdźcy nie będą się nimi interesować. Nie znali wprawdzie zamiarów wroga, ale sądzili, że będzie parł prosto na Warszawę. Najbardziej obawiali się o swoje matki.

- Przepraszam - powiedział skruszony Eryk. - Nie powinienem był tego mówić.

- Nic nie szkodzi - odparł Marek. - Sądzę, że mają teraz dość własnych problemów. Prawdopodobnie stracili już nadzieję, że kiedykolwiek nas jeszcze ujrzą.

Pomyślał w duchu, że to koszmarna perspektywa - jego rodzice mogą myśleć, iż ich syn nie żyje. Ciarki przeszły mu po plecach.

Skoncentrowali się na swojej pracy.

Przed nimi rozpościerał się ponury obraz. Morze miało bardzo ciemny kolor, a po niebie przesuwwały się deszczowe chmury. Wzmagał się wiatr, spieniając fale. Po jednej stronie widać było mijane statki - niektóre z zapalonymi, inne ze zgaszonymi światłami - po drugiej zaś nie mogli dostrzec żadnego kształtu. Być może czaiły się tam nieznane niebezpieczeństwa.

Nocna podróż minęła nadspodziewanie spokojnie, a to głównie dzięki pogodzie, którą w normalnych warunkach określono by jako przygnębiającą, ale teraz dawała im witaną z ulgą ochronę.

O świcie zanurzyli się, ale okręt uderzył o jakąś przeszkodę leżącą na dnie, na głębokości 6 metrów. Z napięciem oczekiwali teraz na eksplozję, ale nic takiego nie nastąpiło. Uznali, że osiedli na starym wraku.

Po zapadnięciu zmroku Bogdan zwołał zebranie całej załogi.

- Za chwilę spróbujemy przedrzeć się przez wąski przesmyk

między Kopenhagą a Malmö. Z pewnością będą tam stacjonować niemieckie jednostki. Nie możemy przepłynąć pod wodą, ponieważ jest tu zbyt płytko. Na naszą korzyść działa pogoda - pada deszcz, a niebo pokrywane ciemnymi chmurami. To bardzo ogranicza widoczność i zmniejsza czujność wartowników. Oceniam naszą szansę na 50%. Jakubie, tylko żadnych zakładów! Bardzo bym chciał, aby nam się powiodło. Pod pokładem zostanie tylko kilku ochotników, którzy będą obsługiwać maszynownię i sterownię. Reszta wyjdzie na mostek i na pokład - odczeka chwilę, żeby słuchacze zdążyli przemyśleć jego słowa. - Jakies pytania?

- Jak pan sądzi, jak długo to potrwa? - spytał Tadeusz. - Nie chciałbym zbyt dużo czasu spędzić na powietrzu, mógłbym się zaziębić - zażartował, mając nadzieję, że rozluźni tym sposobem atmosferę.

- Myślę, że dobrze ci zrobi, jak trochę się wywietrzyć. Nie pachniesz zbyt pięknie - odparł Bogdan, przypominając tym samym wszystkim, że już dawno się nie myli. - Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinniśmy znaleźć się po drugiej stronie za trzy lub cztery godziny. Nie możemy płynąć szybciej. Nie chcę, żebyśmy zostawiali za sobą widoczny ślad.

- A co będzie, jeżeli zostaniemy trafieni? - zapytał w przypływie odwagi Kamil.

Kapitan spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- Tak myślałem, że to ty pierwszy zadasz to niezbyt mądre pytanie - odparł, usiłując przekrzyczeć rechot pozostałych marynarzy. - Po to każę wam wyjść na pokład. Jeśli okręt zacznie tonąć, będziecie mieli szansę bezpiecznie dopłynąć do brzegu Danii lub Szwecji albo do burty neutralnej jednostki. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że nie powinieneś kierować się w stronę niemieckiego statku?

Ostatnie słowa dowódcy powitano salwą śmiechu. Kamil poczerwieniał ze wstydu.

- Ubierzcie się ciepło i jak najszybciej wyjdźcie na zewnątrz - rozkazał Bogdan. - Powodzenia.

Jerzy, Robert, Łukasz i Feliks zostali w maszynowni. Stanowiska w sterowni zajęli Stefan, Jacek, Tadeusz, Andrzej, Marek i Piotr.

Pogoda była naprawdę kiepska. Wszyscy, którzy znajdowali się na pokładzie, w ciągu kilku minut przemokli do suchej nitki. Zmarznięci, tłumaczyli sobie jednak, że to może uratować im życie.

Bogdan wraz z dwoma sygnalistami wypatrywali niebezpieczeństwa. Minęli po drodze kilka jednostek, ale nie zostali za-

ważeni. Trudno wypatrzeć okręt podwodny z pokładu normalnego statku. W pewnym momencie zbliżyli się do niemieckiego niszczyciela, musieli więc trochę odskoczyć i zmienić kurs. Nagle potężny reflektor przeciął ciemność tuż przed nimi.

- No to koniec - powiedział półgłosem Bogdan, ale w tym samym momencie światło zgasło.

Kilka sekund później zapaliło się na powrót, tuż za ich rufą. Smuga światła powędrowała gdzieś dalej.

- Dobry Boże - wyszeptał kapitan.

Z lewej burty mieli teraz port w Kopenhadze, a z prawej Mał-mó. Oba miasta świeciły jasną łuną. Członkowie załogi „Orła” chłonęli widok, od którego tak odwykli. Zapomniano na chwilę o wszystkich obawach.

- Mani nadzieję, że nie odcinamy się za bardzo od tła - rzekł cicho dowódca.

Zbliżał się do nich cień niewielkiego frachtowca, który niespodziewanie zapalił światła nawigacyjne.

- Pewnie neutralny - mruknął Bogdan. - Tylko dlaczego włączył światła dopiero teraz? - zapytał. - Może zobaczyli coś przed sobą - odpowiedział sam sobie.

„Orzeł” szedł równo do przodu, jak czarna stalowa rura sunąca przez wzburzone morze pod kruczoczarnymi chmurami. Marynarze skulili się na pokładzie, usiłując osłonić się przed zacinającym deszczem przemokniętymi okryciami i drżeli z zimna, wpatrując się w ciemną pustkę. Zewsząd otaczały ich niewyraźne kształty.

Nagle zauważono okrągły kształt, jakieś 100 metrów od nich. Inny okręt podwodny! To mógł być tylko U-boot! Oczy wszystkich skupiły się na tym niewyraźnym zarysie. Napięcie sięgnęło zenitu. Spodziewano się jakiejś reakcji ze strony jednostki przeciwnika. Ale dwa statki przepłynęły obok siebie. „Orzeł” nie został zauważony.

- Nie widać nas na tle ciemnego łądu - odezwał się z ulgą Tomasz.

Powoli zostawiali za sobą światła cywilizowanego świata, a przesmyk zaczął się rozszerzać. W końcu przedostali się na Kat-tegat.

-Udało nam się przejść pierwszą i najtrudniejszą część naszej trasy - powiedział cicho Bogdan. - Wszyscy pod pokład!

Jego słowa powitano stłumionym okrzykiem radości. Marynarze stłoczyli się wokół włazu, chcąc jak najszybciej zejść do mesy, gdzie mogli się ogrzać.

* *

Przebycie cieśniny Sund bardzo podniosło morale załogi, aczkolwiek Bogdan polecił oficerom, aby tłumili objawy zbyt entuzjazmu. Kapitan stwierdził, że choć udało im się pokonać najtrudniejszą część podróży, to wciąż czekały na nich Kattegat i Skaggeak. Woda ciągle nie była zbyt głęboka, o czym przekonali się boleśnie - w pewnym momencie skierowano na nich reflektor kutra torpedowego, więc dokonali manewru awaryjnego zanurzenia; zanurkowali jedynie sześć metrów, uderzając gwałtownie o dno. Wszyscy się przewracali, a okręt zatrzymał się gwałtownie, po czym wznosił na głębokość czterech metrów i znów opadł. Osiadł na dnie w jako takiej równowadze.

• Czy my próbujemy za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę? - mruknął poobijany Michał.

• Z pewnością nam się to udało - odparł Marek.

Na tej głębokości peryskop wystawał nad powierzchnię wody, ale nikt raczej nie zdołałby go wypatrzeć na tle szarego morza. Szybkie ścigacze nie dostrzegły niczego podejrzanego.

Na tym nie skończyły się jednak ich problemy. Wkrótce znów uderzyli o dno, ale tym razem

konsekwencje miały się okazać poważniejsze. Uszkodzona została jedna ze śrub.

- Co za pech - narzekał Robert.
- To prawda - zgodził się Jerzy. - Nie mamy na pokładzie żadnych wiosła?

- Pójdę sprawdzić - zaśmiał się drugi mechanik. - Powinniśmy sobie poradzić z jednym napędem.

Wśród marynarzy wzbierało przekonanie, że wyczerpali swoje pokłady szczęścia jeszcze na Bałtyku. Bogdan starał się jak mógł, żeby przekonać ich, że się mylą, ale niewiele mógł poradzić. Płynęli jeszcze wynurzeni, kiedy nastał świt. Wartownicy usłyszeli zbliżające się szybko trzy samoloty.

Kapitan ogłosił alarm zanurzeniowy. Wkrótce miało się okazać, że pomyślność opuściła ich jednak na jakiś czas. Jako ostatni mostek opuszczał Tomasz. Podczas schodzenia z drabinki poślizgnął się i *złapał* się za krawędź włazu. Pokrywa opadła, przy-trzaskując mu rękę. Pod pokładem rozległ się krzyk. Zanurzali się, ale przez kiosk wlewały się do środka strumienie wody. Nie można było zamknąć szczelnie włazu, a wzrastające ciśnienie nie pozwalało Tomaszowi uwolnić dłoni. Istniało realne zagrożenie, że okręt nabierze zbyt dużo wody i zatonie.

Większość patrzących na tę scenę oniemiała z przerażenia. Przytomność umysłu wykazał jedynie Marcin, który, zaalarmowany odgłosami, przybiegł ze sterowni i szybko zorientował się w sytuacji. Podbiegł do kiosku i wspiał się obok Tomasza. Kiedy znalazł się w połowie drabinki, złapał się mocno rękami za szczeble i wzniosł nogi nad głowę, opierając je o pokrywę włazu.

- Zwiększyć prędkość, szybko - wrzasnął, usiłując przekrzyć ryczące masy wody, wdzierające się coraz szybciej pod pokład. Jerzy zrozumiał w czym rzecz i natychmiast ustawił silniki na pełną moc. Okręt szarpnął i ruszył do przodu, więc ciśnienie na włazie trochę opadło. Marcin całą siłą napierał nogami na pokrywę, która uniosła się nieznacznie, dzięki czemu Tomasz mógł wyjąć rękę. Szybko zatrzaśnięto i zabezpieczono wejście. Oficer stoczył się na pokład, a Marcin powrócił do normalnej pozycji i zeskoczył. Mężczyźni spojrzeli na siebie. Byli cali przemoczeni i z trudem łapali oddech.

- Dziękuję ci - powiedział z wdzięcznością Tomasz. - Uratowałeś mi życie - dodał cicho.

- Uratował okręt - rzekł Bogdan.

Marcin uśmiechał się z zażenowaniem. Wszyscy podchodzili do niego, klepali po plecach i gratulowali. W tym czasie Leszek odprowadzał Tomasza do izby chorych.

- Masz wspaniały refleks - pochwalił Marcina kapitan - na prawdę niewiarygodny.

- Wiedziałem, że jeśli będę po prostu pchał właz do góry, to nic nie zdziałam. A nogi są przecież silniejsze niż ręce. Jedynym sposobem, aby ciśnienie na chwilę zelżało, było nagle przyspieszenie, tak żeby woda zmieniła trochę kierunek. Na szczęście udało się.

- Niesamowite - dowódca wciąż nie mógł się nadziwić.

Leszek poczuł, że może się wreszcie wykazać. Nastawił Tomaszowi palce; cztery z nich wydawały się być złamane. Usztywnił każdy, a potem obwiązał je wszystkie razem bandażem. Przeprosił, że nie ma żadnych środków przeciwbólowych.

- Nie szkodzi - odparł wesoło Tomasz. - Będę mógł jeszcze kiedyś zagrać na pianinie?

- Sądzę, że tak. Kiedy się zrosną i zejdzie opuchlizna, powinny powrócić do dawnej sprawności - odrzekł sanitariusz.

- To świetnie - powiedział Tomasz. - Bo nigdy jeszcze nie grałem.

Oficer wyszedł i udał się w kierunku mesy; potrzebował odpoczynku. Spotkał jednak po drodze Marcina. Spojrzeli na siebie bez słowa.

- Jeszcze raz ci dziękuję - odezwał się w końcu Tomasz.

- Drobiazg - odparł mat. - Cieszę się, że mogłem ci pomóc.

- Może uda nam się teraz zapomnieć o przeszłości? - zaproponował oficer.

- Chyba nie ma już sensu rozpamiętywać tego, co wydarzyło się dawno temu. Mamy teraz wystarczająco dużo zmartwień. Przepraszam za to, co ci zrobiłem. Nie wiedziałem wtedy dokładnie, jak się sprawy miały, chociaż to chyba żadna wymówka.

- Było, minęło - zgodził się Tomasz. - Miałeś jakiś kontakt z Aliną przed naszym wypłynięciem?

- Zostawiła mnie - powiedział, uśmiechając się skromnie.

- Znalazła sobie kogoś, kto nie służy w marynarce.

Twarz Tomasza rozjaśniła się.

- Więc możemy zostać przyjaciółmi?

Mat pokiwał głową. Oficer spojrzął na swoje bandaże.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi, iż nie uścisknę ci dłoni?

Marcin ujął w obie ręce lewą dłoń swojego rozmówcy.

Następnego dnia „Orzeł” opuścił cieśninę Kattegat i wpłynął na Skaggerak, niedaleko wybrzeża Norwegii. Tam woda była już dość głęboka, więc poczuli się w miarę bezpiecznie.

Bogdan przywołał do siebie Sławomira. Postanowił, że nadadzą komunikat dla Admiralicji Brytyjskiej otwartym tekstem, choć groziło to przechwyceniem wiadomości.

Tu polski okręt podwodny „ Orzeł”. Wydostaliśmy się z Morza Bałtyckiego i znajdujemy się

około 50 kilometrów na południowy wschód od Kristiansandu. Kierujemy się w stronę Rosyth. Mamy poważne uszkodzenia, kończy się nam paliwo, żywność i woda. Nie dysponujemy żadną mapą ani instrumentami nawigacyjnymi. Z wdzięcznością przyjmujemy eskortę.

Godzinę później radiooperator wyszedł ze swej kabiny, niosąc w ręce kawałek papieru.
Gratulacje, dobra robota. Niszczyciel w drodze.

Rozdział 9

Wstał świt kolejnego pochmurnego dnia. Było na tyle spokojnie, że Bogdan postanowił pozostać na powierzchni wraz z Piotrem i dwoma wartownikami, którzy bez przerwy wypatrywali jakichkolwiek oznak aktywności przeciwnika. Miał świadomość, że najprawdopodobniej nieprzyjaciel odczytał niezakodowany komunikat, który wysłali do Admiralicji Brytyjskiej. Późnym rankiem ciszę przerwał warkot nadlatujących samolotów. Przygotowano się do awaryjnego zanurzenia, ale instynkt nakazał kapitanowi poczekać na powierzchni. Miał przeczucie, że to może być RAF lub lotnictwo brytyjskiej marynarki wojennej. Dowódca z obawą obserwował zbliżające się maszyny. Brytyjskie czy niemieckie?

Nagle jeden z wartowników krzyknął.

- Okręt przed dziobem! Nadaje sygnał!

Jego strach zniknął całkowicie. Czy to na ten moment czekali od sześciu tygodni?

- Sygnał, panie kapitanie - powiedział Zygmunt, odczytując błyski wysyłane przez zbliżający się niszczyciel.

Czy to polski okręt podwodny „Orzeł”? Czy mam was poprowadzić do bazy?

- Odpowiedz - polecił Bogdan.

Z radością przyjmujemy waszą pomoc. Nie bardzo wiemy, w którą stronę się kierować. Dziękujemy, że pospieszyliście nam na ratunek. Wasz widok bardzo nas ucieszył. Płyniemy za wami.

Zygmunt odczytał kolejny komunikat:

Gratuluję udanej ucieczki. Czy potrzebujecie czegoś teraz?

Dowódca „Orła” zaśmiał się.

Wszystkiego. Rozpaczliwie potrzebujemy zmiany diety, nie mamy już żadnego jedzenia. Od dwóch tygodni nie piliśmy herbaty, ale obejdziemy się bez ciastek z kremem.

Odpowiedź:

Natychmiast przekazemy wam paczkę żywnościową. Zaraz do was dobijemy.

Niszczyciel „Yalorous” podpłynął do „Orła”, zatoczył koło i doszedł do burty. Okrętów strzegły patrolujące okolice samoloty. Między obiema jednostkami przerzucono linę, którą złapali Feliks i Kamil. Mieli za zadanie odebrać przesyłkę.

Skonstruowano prosty mechanizm - dwie liny i bloczek. Tym sposobem przekazano na „Orła”

spora skrzynię. Polskim marynarzom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Paka szybko znalazła się na mostku. Otworzył ją Piotr, znajdując w środku herbatę, puszkowane mleko, bekon, jajka i dwie butelki rumu.

- Cudownie! - wykrzyknął.

Produkty natychmiast przekazano pod pokład i oddano do dyspozycji bosmanowi Jackowi.

- Najpierw jedzą ci, którzy nie pełnią teraz służby. Następnie jak najszybciej zmienić wachty - rozkazał Bogdan.

- To z pewnością poprawi morale załogi - powiedział Piotrowi.

Na widok rumu Marek pogrążył się we wspomnieniach o cywilizowanym świecie. Kiedy został wysłany na przeszkolenie do Royal Navy, poznał zwyczaj codziennego rozdzielania porcji rumu wśród członków załogi. Trunek rozcieńczano wodą w stosunku 2:1 lub 3:1. Marynarze hołubili tę tradycję, choć często łamali jej reguły, to znaczy nie wypijali swojego przydziału od razu, zachowując go na później i wykorzystując jako łapówkę. Porcja dzieliła się według dwóch miar - „łyków” oraz „haustów”, które starannie odmierzano. Za zachowany alkohol można było odkupić od kogoś przepustkę na ład. Inni w zamian z odrobiną trunku godzili się prac czyjaś bieliznę lub nawet przejąć wachtę.

Marek szczegółowo opisał ów zwyczaj marynarzom „Orła”, co dodatkowo poprawiło ich i tak już wspaniałe nastroje.

Teraz atmosfera na okręcie różniła się zasadniczo od tego, co działo się tu przez ostatnie sześć tygodni. Najlepiej ujął to Ryszard. W pewnym momencie zapatrzył się w jakiś punkt w przestrzeni, po czym przemówił, niby do siebie, ale tak, że wszyscy dookoła słyszeli:

- To tak, jakby przebudzić się z koszmaru. Sen przynosi prze rażające wizje, dzieją się straszne rzeczy, płaczesz i oczekujesz najgorszego. Nie masz żadnej kontroli nad wydarzeniami, bez władnie poddajesz się biegowi wypadków. Nagle budzisz się i wszystko znika. Świeci słońce, jest piękny dzień, wyglądasz przez okno i przekonujesz się, że świat wrócił do normy, że wreszcie panujesz nad własnymi myślami i czynami.

Koledzy przyjęli te słowa z aprobatą. Ryszard zdziwił się, że przysłuchiwano mu się z taką uwagą.

- Dobrze powiedziane - podsumował Bogdan. - Jednak mimo to, że znów czujemy się panami sytuacji, a niebezpieczeństwa są już za nami, nie możemy zapominać, że wciąż toczy się wojna. Nie wolno nam osiąść na laurach. To prawda, nie jesteśmy już sami, mamy eskortę, ale wciąż musimy być czujni i gotowi do obrony.

Ta trzeźwa uwaga została przyjęta ze stoickim spokojem. Odnowiła drzemiące w ludziach pokłady determinacji. Wszyscy pragnęli wypełnić swój a misję i pokonać wroga.

Podjęto przerwana wcześniej rozmowę z niszczycielem. Kapitan „Orła” przekazał brytyjskiej jednostce, że okręt podwodny nie jest w stanie płynąć szybciej niż 10 węzłów z powodu braku paliwa i uszkodzonej śruby. Do Rosyth pozostało 300 mil. Tankowanie na otwartym morzu nie

wchodziło w grę - z pewnością

w okolicy czaiły się U-booty, które nie przepuściłyby okazji, aby zatopić tankowiec. Uzgodniono, że „Orzeł” zostanie wynurzony, a „Yalorous” będzie go regularnie okrążał. Dyżurowano pilnie przy hydrofonach, aby szybko wychwycić jakąkolwiek oznakę zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Na szczęście dwudniowa podróż upłynęła bez przeszkód. Członkom załogi polskiego okrętu wydawało się, że Brytyjczycy wytworzyli dookoła nich swego rodzaju barierę ochronną. Wierzyli, że los wreszcie się dla nich odmienił.

Zapadał zmierzch, kiedy wartownicy postawili na nogi całą załogę.

- Łąd! Łąd na horyzoncie! - wrzeszczeli. Szczególnie aktywny w tej kwestii był Feliks, który jako dziecko zaczytywał się w morskich opowieściach i od tego czasu marzył, aby wydać taki okrzyk.

- Nareszcie - powiedział stojący na mostku Jarek - Anglia.

— Właściwie Szkocja - poprawił go Ryszard.

• W każdym razie Brytania - prychnął kadet, niezadowolony, że ktoś go poprawia.

• Nie widać świateł - zauważył Michał, kiedy marynarze zebrali się już na pokładzie. Przypomniały mu się wspaniałe rozświetlone wybrzeża Danii i Szwecji, które mijali po drodze.

• Może już nie pamiętasz - rzekł sarkastycznie Ryszard - ale toczy się wojna, w której Wielka Brytania bierze udział.

- Przepraszam, rzeczywiście wyleciało mi to z głowy - uśmiechnął się Michał. - Wspominałem właśnie cieśninę Sund.

Wszyscy zadrżeli na myśl o tym wykańczającym nerwowo doświadczeniu.

„Orzeł” wpływał powoli do Firm of Forth, kiedy „Yalorous” nadał wiadomość:

Opuszczam cię teraz, płyn dalej naprzód aż do mostu Forth; wtedy skreć w prawo. Tam dostrzeżesz bazę okrętów podwodnych

w Rosyth. Jestem pewien, że czeka cię tam gorące powitanie. Powodzenia.

Polacy odpowiedzieli:

Dziękujemy za bezcenną pomoc. Wszystkiego dobrego.

Niszczyciel włączył syrenę i skierował się w przeciwnym kierunku, rozwijając wreszcie swą maksymalną prędkość.

Podróż przez zatokę stanowiła nie lada gratkę dla marynarzy. Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w wyspę Bass Rock, największą na świecie kolonię głuptaków. Ptaki natychmiast utworzyły nad nimi powietrzną eskortę, choć zapewne zależało im jedynie na zdobyciu resztek jedzenia. Marynarze podziwiali malownicze krajobrazy szkockiego wybrzeża i wznoszące się majestatycznie w oddali wzgórza Lomond i Cliesh. Zachwycaли się cudownymi kolorami, którymi mieniło się wszystko dookoła. Byli tak zaabsorbowani, że ledwo zauważyli podpływającego do nich pilota.

Wkrótce ujrzeni Edynburg, stolicę Szkocji. Przepłynęli pod imponującym mostem kolejowym Forth, usiłując ogarnąć wzrokiem jego skomplikowaną stalową konstrukcję.

- Malują go bez przerwy - wyjaśniał Ryszard. - Zaczynają z jednej strony, a kiedy dojdą do końca, to wracają i znów podejmują pracę.

- Cholerna strata czasu - mruknął Michał.

- Muszą tak robić - prychnął Ryszard - żeby konserwować stalowe elementy.

Nareszcie ich oczom ukazał się port, a w nim przystań dla okrętów podwodnych oraz statek-baza. Zdumieni Polacy zauważyli, że na pokładzie każdej zacumowanej jednostki oraz na pomostach i molach stoją tłumy wiwatujących na ich cześć marynarzy. Natychmiast zapomnieli o wszystkich zmartwieniach.

- Co za powitanie! - szepnął Piotr do Bogdana, który był zbyt wzruszony, żeby odpowiedzieć. Po chwili członkowie załogi „Orła” otrząsnęli się z pierwszego szoku i zaczęli krzyczeć i machać rękami.

Pilot doprowadził okręt podwodny do burty statku-bazy, gdzie oczekiwał na nich kapitan portu. Wyszedł, aby ich oficjalnie powitać.

- Sami widzicie, co myślimy o was i waszym bezpiecznym powrocie - powiedział, wskazując na radujących się wszędzie wokół marynarzy. - Witajcie w domu. Gratuluję wam z całego serca waszego osiągnięcia - dodał, ściskając dłoń Bogdana. - Oficer flagowy okrętów podwodnych kazał przeprosić, że nie mógł przybyć osobiście, i polecił mi przekazać wam wiadomość od niego.

Wykazaliście się nadzwyczajną dzielnością, dokonując wspaniałych czynów na waszym okręcie - czytał kapitan „Orła”. - Zamiast od razu skierować się w kierunku Szwecji lub Wielkiej Brytanii, postanowiliście pozostać na Bałtyku i wykonywać zadania operacyjne, pomimo tego, że mogliście ubiegać się o azyl w neutralnym porcie. Kiedy chciano was internować, zaryzykowaliście brawurową ucieczkę. Choć nie udało wam się zatopić żadnej niemieckiej jednostki na Bałtyku, to z pewnością osiągnęliście wielki sukces. Przez całe tygodnie niemiecka marynarka znajdowała się w stanie podwyższonej gotowości, a wiele okrętów wyłączono z normalnej służby i skierowano na poszukiwanie „ Orła ”.

- Dziękujemy wam bardzo za to wspaniałe powitanie i za tę wiadomość. Uczyniliśmy tylko to, co wydawało nam się słuszne. Jesteśmy gotowi dalej walczyć z nieprzyjacielem - powiedział Bogdan.

- Sądzę, że możecie odpocząć przez kilka dni, zanim po wrócić do służby. Z tego co wiem, macie pewne uszkodzenia, które wymagają naprawy. Myślę, że załoga najbardziej potrzebuje obecnie spokojnego snu. Kierownik stoczni zajmie się teraz „Orłem” i dopilnuje, aby przeprowadzono niezbędne prace. Pan, kapitanie, pańscy oficerowie i marynarze zostaną zakwaterowani na statku-bazie. Należą wam się bardziej komfortowe warunki - oznajmił mu kapitan portu.

Marynarze z polskiego okrętu patrzyli wokół siebie jak oniemiaли. Onieśmiał ich trochę ogrom tego wszystkiego, co tu zastali.

- Byłeś tu wcześniej? - Michał spytał Marka.

- Nie, służyłem na pancerniku „Nelson” na Morzu Śródziemnym, ale znam warunki na brytyjskich statkach-bazach - są na prawdę wspaniałe. Każdy oficer dostanie oddzielną kabinę, a my wielką mesę i kilkusobowe kajuty. To będzie jak pobyt w hotelu, choć sędzę, że wynajdą nam jakąś robotę. Mają tu świetnie wyposażone warsztaty. Myślę, że szybko uporają się z naszymi uszkodzeniami.

Marek zauważył, że Łukasz przysłuchuje mu się bardzo uważnie.

- Dla ciebie też coś się znajdzie. Z pewnością jest tam kaplica i jakiś kapłan, więc będziesz mógł oddać się w pełni praktykom religijnym.

Spostrzegł też, że niedaleko stoi Leszek.

- Aha, i wreszcie zajmie się nami odpowiednio przeszkolony sanitariusz lub lekarz i będzie mógł naprawić wszystko to, co ze psułeś - powiedział, bezczelnie patrząc mu prosto w oczy.

Leszek obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, nie doceniając żartu.

Marynarze zebrali nieliczne rzeczy osobiste i zeszli z okrętu do swoich nowych kwater. Choć wiedzieli, że powrócą tu w niedalekiej przyszłości, czuli się tak, jakby porzucali ciężko rannego członka załogi. W ciągu tych tygodni „Orzeł” naprawdę stał się

ich domem. Przeszli z nim przez piekło; traktowali go jak członka rodziny, który denerwował się, kiedy wokół niego wybuchały bomby głębinowe, niecierpliwił, kiedy sternik się nie przykładał, lub radował, gdy sunął po spokojnym morzu w słoneczny dzień. Był jednak mocno nadwerężony - miał wgnieciony dziób, pamiątkę po ucieczce z Tallina, poobcierane i poobijane na płytkich wodach dno oraz zniszczoną śrubę - ślad po przeprawie przez cieśninę Sund. Jednak przez cały ten czas nie narzekał na swoją dolę i ani razu nie odmówił wykonania rozkazu. W środku przedstawiał jeszcze żałośniejszy widok. Wnętrze było brudne, śmierdzące, wilgotne i pokryte śmieciami. Ale na to również się nie skarżył. Dowiózł ich wszystkich do bezpiecznego portu. Członkowie załogi podziwiali swój okręt, ale czuli również niewypowiedzianą wdzięczność w stosunku do jego konstruktorów.

To, co czekało na nich na pokładzie statku-bazy, po spartańskich warunkach panujących na „Orle” wydało im się kwintesencją luksusu. W mesie, którą im przydzielono, stało sześć drewnianych stołów; przy każdym mogło usiąść ośmiu rośliych mężczyzn. Wszędzie było mnóstwo miejsca, a każdy skrawek statku lśnił wręcz czystością - wszystko zostało dokładnie wyszorowane. Dowiedzieli się później, że oni również będą musieli po sobie tak posprzątać. W powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny zapach środka dezynfekującego; dla nich był to po prostu zapach czystości.

Nieco dalej z radością odkryli obszerne łazienki z prysznicami oraz pralnię i schowek, gdzie mogli upchnąć mniej potrzebne rzeczy. Nikt nie wiedział, co powiedzieć; nie potrafili znaleźć

słów, którymi mogliby opisać tak absolutną odmianę swego losu.

Eryk rozejrzył się po mesie i spostrzegł Marka, siedzącego po drugiej stronie stołu.

- Jesteś teraz oddalony ode mnie bardziej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich sześciu tygodni - stwierdził filozoficznie.

- Mów głośniej, bo nie słyszę - krzyknął Marek, uśmiechając się szeroko.

- Bardzo dziwne uczucie - stwierdził Jarek.

- Sam jesteś dziwny - wtrącił się Michał.

- Ja również czuję się nieswojo - potwierdził Marek. - Nagle zeszło ze mnie całe napięcie; nie muszę się o nic martwić. Przez ostatni miesiąc każdego dnia budziliśmy się w głębokim stresie i zasypialiśmy z obawami. Teraz to wszystko już za nami; uspokoił się i wkrótce przyzwyczaimy się do tego stanu. Niedługo zaczniemy się martwić tym, że nie mamy się czym martwić. Ale wcześniej wrócimy na „Orla”.

Marek, Eryk i Jarek przeżyli kolejny szok, kiedy okazało się, że przydzielono im trzyosobową kabinę. Wiedzieli, że jako kadeci mają prawo do pewnych dodatkowych świadczeń, ale tego się nie spodziewali.

Oficerowie natomiast nie mogli uwierzyć, że każdemu z nich przypadła własna kajuta. Wreszcie mogli przez jakiś czas pobyć naprawdę sami. Choć te pomieszczenia nie były wielkie, to wystarczały, aby mogli się swobodnie rozłożyć, spokojnie porozmawiać i nie mieć przez cały czas kogoś za plecami.

Wszyscy bez wyjątku stwierdzili jednak, że samotność ma również swoje minusy. Wrócili do nich długo tłumione myśli. Wspominali trudy i niebezpieczeństwa, jakim musieli sprostać w drodze na Morze Północne, ale przede wszystkim znów zamartwiali się o swoje rodziny.

Sytuacja diametralnie się odmieniła. Od początku wojny byli uwięzieni na Bałtyku, ale czuli, że wciąż służą Polsce. Dobrowolnie zamknęli się w stalowej puszcze, gdzie czyhało na nich wiele zagrożeń - podobnie jak na ich bliskich na lądzie. Teraz, przynajmniej na razie, byli całkowicie bezpieczni; ich rodziny - nie.

Spostrzegli, że ktoś dostarczył im stare polskie gazety, żeby mogli je przejrzeć. Przekazywano je sobie z rąk do rąk.

Kiedy dowiedzieli się już wszystkiego, zaczęły się rozmowy o okrucieństwach Niemców i Rosjan. Obu wrogów nienawidzono jednakowo. Niektórzy włączali się do tych dyskusji z pasją, inni natomiast milczeli jak zakłęci, myśląc tylko o koszmarach, przez które przechodzą ich najbliżsi.

Byli teraz właściwie wolni. Powrócili do normalnego świata, który jeszcze nie poznał, co znaczy wojna. Nie umieli sobie poradzić z tym uczuciem. Choć rozpierała ich radość z ocalenia własnego życia, podświadomie czuli się winni, ponieważ w ich kraju ludzie wciąż cierpieli.

Tadeusz powrócił myślami do swojej ostatniej wizyty w domu. Po wielkiej awanturze i separacji jego żona i matka postanowiły się jednak ostatecznie pogodzić. Wytłumaczył im, że zbliża się wojna, a on ma zbyt wiele na głowie, żeby zajmować się jeszcze konfliktem w domu. W końcu objęły się, ucałowały, i wyglądało na to, że lody zostały przełamane; ostatecznie były przecież dorosłymi kobietami, a nie rozhisteryzowanymi nastolatkami. Miał nadzieję, że stanowiły teraz dla siebie wzajemne wsparcie, choć gdy dowiedział się, co dzieje się w Polsce, przygotowywał się na najgorsze.

Również Piotr zastanawiał się nad swoją sytuacją rodzinną. Jego żona odeszła od niego - temu faktowi nie mógł zaprzeczyć. Wróciła do niego wściekłość, którą odczuł po przeczytaniu jej listu. Teraz jednak, kiedy jego kraj się walił, a rodziny rozdzielała śmierć i pożoga, ten problem wydał mu się nieskończenie mały. Jego małżeństwo nie znaczyło teraz nic. Pogodził się z tym, że został opuszczony, i zrezygnował z dalszej walki. Chciał się teraz całkowicie skoncentrować na okręcie i upewnić się, że będzie on jak najszybciej zdalny do służby.

Leszek zamienił się w jeden wielki kłębek nerwów, kiedy rozkazano mu zgłosić się do kapitana portu. Z tego co pamięta niczego nie sknocił, ale może mieć kłopoty z powodu diagnoz; jaką postawił kapitanowi przed wypłynięciem do Tallina. A może źle opatrzył rękę Tomasza? Ku swojemu wielkiemu zdumieniu spostrzegł, że w środku czeka już na niego Bogdan, któremu towarzyszył jakiś uśmiechnięty dowódca Royal Navy. Dystynkcyj wskazywały, że to chirurg.

- Miło cię widzieć, Leszku - powitał go kapitan portu. - Słyszeliśmy, że odwaliłeś kawał dobrej roboty. To jest komandor porucznik Taylor, nasz lekarz.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Gratuluję tego, co uczyniłeś dla Tomasza. Wydaje się, że twoje dłonie goi się znakomicie. Choć to zbyt wcześnie, aby ostatecznie wyrokować, sądzę jednak, że wróci mu całkowicie sprawność w palcach. Naprawdę nie masz żadnego przeszkolenia medycznego? - padło zdziwione pytanie.

- Nie, proszę pana, choć mój ojciec jest lekarzem. Nigdy nie miałem specjalnych ambicji w tej dziedzinie. Robiłem co w mojej mocy, żeby pomóc moim towarzyszom.

- Niesamowite - odpowiedział Taylor. - Świetnie się spisujesz. Nabyłeś już pewną wiedzę i umiejętności. Chciałbym ci zaproponować, abyś rozpoczął szkolenie w jednej z naszych szkół medycznych. Potrzeba nam takich ludzi. To prosta droga do awansu.

Leszek milczał przez chwilę, po czym odpowiedział niechętnie, wyraźnie lękając się konsekwencji swej odpowiedzi:

- Dziękuję, to bardzo miłe z pana strony, ale wolałbym raczej zostać na „Orle”. W ciągu ostatnich kilku tygodni nasza załoga bardzo zżyła się ze sobą. Niedługo powrócimy na morze i bardzo bym chciał być dalej z kolegami. Oczywiście jeśli będę mógł - dodał pośpiesznie.

Bogdan spojrział na niego z uśmiechem.

- Wiem, co czujesz, ale w marynarce nie można kierować się emocjami. Jeśli o mnie chodzi, to uważam cię za bardzo ważnego członka załogi. Ale to nie ja podejmę w tej sprawie ostateczną decyzję. Kto inny postanowi o składzie nowej załogi - powiedział.

- Chciałbym jednak spróbować - upierał się Leszek.

- W każdym razie, naprawdę dzielnie się spisałeś - wtrącił się komandor porucznik Taylor. - Tomasz może być ci naprawdę wdzięczny - powiedział, kończąc spotkanie.

* * *

Członkowie załogi mieli trudności z wzajemnym rozpoznaniem się następnego dnia. Ogoleni, ostrzyżeni i w nowych ubraniach, wyglądali zupełnie inaczej niż jeszcze przed kilkoma godzinami. W niczym nie przypominali już brudnego i niezdyscyplinowanego tłumu, który jeszcze niedawno tworzyli. Większość rozmów składała się teraz z żartobliwych komentarzy dotyczących powierzchowności. Spędzili rano na pilnym słuchaniu oficera ze statku-bazy, który zaznajamiał ich z nową sytuacją i przedstawiał im plany na najbliższą przyszłość.

- Na „Orle” zaczęły się już prace remontowe. Musimy posprzątać po was ten cały bałagan - dodał, uśmiechając się. - Niezbyt dbaliście o swój okręt. Nie wiem, ile czasu potrwa, zanim znów będzie zdalny do żeglugi. Teraz mieszkacie tutaj. Będzie was obowiązywał standardowy harmonogram okrętowy. Pobudka o 6.30, do 7.00 musicie być ubrani, a wasze hamaki złożone w schowku. Pomiędzy 7.00 a 7.30 czyści się tu pokłady; wy będziecie odpowiedzialni za mieszkalny. Śniadanie trwa od 7.45 do 8.30; potem przechodzicie do pomieszczeń szkoleniowych. Każdy z was zostanie przeszkolony w swojej dziedzinie; dowiecie się o standardach Royal Navy oraz poznacie najnowszy sprzęt i urządzenia. W środę po południu macie czas wolny. Na ląd można zejść pomiędzy 16.00 a 23.00 w dni powszednie i pomiędzy

11.00 a 23.00 w weekendy. Prom do South Queensferry odchodzi co trzydzieści minut pomiędzy 16.00 a 18.00, a stamtąd pojazdem Royal Navy możecie przejechać do Edynburga i wysiąść tuż przy poczcie na Princess Street. Z tego miejsca, również co pół godziny, między 21.30 a 23.00 możecie się zabrać z powrotem. Jeśli się spóźnicie, czeka was niezły spacer.

- Na Princess Street znajduje się niezła restauracja, niedaleko pomnika Scotta, którego nie sposób przegapić. Dzisiaj wypłacimy wam miesięczny żołd według stawek Royal Navy. Jeśli chcielibyście coś odłożyć - przerwał mu gromki wybuch śmiechu - to możecie to załatwić przy kasie. Niestety, nie możemy przekazać tych pieniędzy waszym krewnym. Mąci dostaną wszystko, co powiedziałem, na piśmie. Jeśli macie jakieś pytania, to nie krępujcie się ich *zadać*. Bawcie się dobrze, zasłużyliście na to.

Pierwszą podróż do Edynburga szczególnie przeżyli marynarze pochodzący z małych miasteczek i wsi. Autokar z dużą prędkością mijał duże i małe domy z porządnie utrzymanymi ogródkami. „Jasna cholera!”, „Boże mój!”, „Jezu Chryste, spójrzcie na to!” - oto najczęściej pojawiające się okrzyki. Wjeżdżali teraz do centrum miasta, gdzie czekały na nich dobrze zaopatrzone sklepy i domy towarowe, rozlokowane przy Princess Street. Po prawej wznosił się majestatycznie zamek, który podziwiano w pełnym nabożnego skupienia milczeniu.

- To naprawdę niesamowite - odezwał się Jarek, wyrażając rym samym poglądy wszystkich.

Wyszli z autobusu przy głównej poczcie. Wtedy okazało się, że wzbudza ich powszechne zainteresowanie. Ludzie zatrzymywali się i patrzyli na nich. Nigdy wcześniej nie widzieli pewnie takich mundurów.

W pojeździe spotkali kilku brytyjskich marynarzy, którzy zaoferowali się, że mogą ich oprowadzić po mieście. Propozycja została szybko przyjęta. Większość grupy zdecydowała, że restauracja marynarki to będzie pierwszy przybytek, do którego zawitają, licząc na odświeżającego drinka i coś do przekąszenia.

- No proszę, kilka dni na statku-bazie i już zdążyliśmy się przyzwyczaić do dobrego jedzenia - powiedział Darek, spoglądając na czekające na nich specjały z uczuciem żalu z powodu niezbyt wielkiego apetytu. - Ja nie jestem już taki głodny jak przedtem. Za to Sławek z pewnością napcha się tu do nieprzytomności.

Radiotelegrafista, który pożerał już potrawy oczami, zaśmiał się tylko.

- Może w końcu uda mi się przybrać trochę na wadze - odparł.

Traktowali wszystko, co napotkali na swej drodze, z prawie dziecięcym zdziwieniem. To jednak nic w porównaniu z tym, jak reagowali na nich mieszkańcy miasta. Wykazywali oni wielkie zainteresowanie tymi żołnierzami w dziwnych mundurach, porozumiewającymi się niezrozumiałym językiem. Gdziekolwiek by nie poszli, wszędzie przypatrywano im się z wielką życzliwością. Choć nosili dziwne ubrania, to z pewnością mieli przyjazne zamiary, skoro chodzili wolno po ulicach.

Niektórzy zatrzymywali ich i wypytywali, z jakiej są marynarki. Kiedy odpowiadali, że z polskiej, rozmówcy poważnieli. Zwykła ciekawość przeradzała się w żywe zatroskanie o los tych dzielnych chłopców z dalekiej Polski. W końcu Wielka Brytania przystąpiła do wojny, aby pomóc Polsce, która została *zaatakowana przez* Niemców. W mesie statku-bazy żartowano sobie później z tych nadmiernie emocjonalnych reakcji mieszkańców Edynburga.

Darek - ten sam, który udawał w Tallinie rybaka - opowiedział pewnego razu świetną historię. Otóż grupa Polaków poszła do restauracji. Tam otaczający ich goście nie odrywali od nich wzroku, komentując półgłosem ich zachowanie. Nawet kucharze wyszli z kuchni, żeby na nich popatrzeć. Marynarzom zaczynało już doskwierać to nadmierne zainteresowanie ich osobami, więc Darek postanowił zażartować sobie z niczego niepodręczających Brytyjczyków.

Poprosili o rachunek, a on w tym czasie obrał pomarańczę, skropił obierki octem, a potem, zachowując się najbardziej naturalnie, jak tylko potrafił, pokrył je dokładnie pieprzem i solą oraz polał sosem. Oberwał listki z kwiatu, stojącego na stole, i położył je na wierzchu tak przygotowanej mieszanki.

Cała sala wpatrywała się w niego w osłupieniu.

W końcu jeden z Brytyjczyków, nie mogąc przemóc ciekawości, zdecydował się podejść do

stolika Polaków. Przywitał się i zapytał grzecznie:

- Przepraszam za niedyskrecję, ale wszyscy jesteśmy zafascynowani tym, co przyrządzasz. Jak możecie jeść coś tak ohydneho? Czy to jakieś tradycyjne polskie danie?

- A kto powiedział, że mam zamiar to zjeść - odparł Darek z rozbrajającym uśmiechem. Następnie zapłacił rachunek i wyszedł, pękając ze śmiechu. Brytyjczycy z początku czuli się urażeni, ale w końcu zrozumieli sens tego żartu.

Członkom załogi „Orła” podobało się szczęśliwe życie, jakie wiedli w Edynburgu, choć mieli świadomość, że wojna się jeszcze nie skończyła. Ich dni biegły z regularnością ustaloną przez szczegółowy harmonogram - rano sprzątnię, potem zajęcia i czas wolny. Otrzymywali również codziennie wieści z Polski, ale trudno im było oddzielić fakty od wymysłów, prawdziwe informacje od plotek. Choć Bogdan na bieżąco kontaktował się z przedstawicielami rządu polskiego w Londynie, nie mógł uzyskać odpowiedzi na wiele pytań, które dręczyły marynarzy.

Rozdział 10

Nikt tak dobrze nie poznał sensu przysłowia, że „wszystko co dobre, szybko się kończy”, jak członkowie załogi „Orła”, którzy tuż po Nowym Roku wrócili na pokład swojego okrętu. Musieli się na powrót przyzwyczaić do panujących tam warunków. Po raz pierwszy od pobytu w Tallinie dysponowali wszystkimi dwudziestoma torpedami, nowymi przyrządami nawigacyjnymi, aktualnymi mapami oraz nowym wyposażeniem mesy. Niestety, główne działo pokładowe wciąż nie działało, bowiem Brytyjczycy nie zdołali jeszcze sprowadzić nowego zamka. Natomiast Polacy nie mogli się wciąż nadziwić, jak dotąd wytrzymywali w takiej ciasnocie; rozpuścili się w luksusach panujących na statku-bazie.

Teraz jednak mieli wrócić do służby; czuli, że pragną znów *znaleźć* się na morzu. Tam był ich świat, a determinacja, aby zadać cios przeciwnikowi, ani na chwilę w nich nie osłabła. Zemsta stanowiła ich jedyny cel.

Krótką przejażdżka po Firth of Forth stanowiła wstęp do ich pierwszego patrolu jako okrętu podwodnego Royal Navy. Wyznaczono im sektor na Morzu Północnym, niedaleko wybrzeża Norwegii.

Panowały sprzyjające warunki pogodowe - duże zachmurzenie, ale dość wysoka jak na tę porę roku temperatura. Spokojne morze upewniało ich w przekonaniu, że będzie to raczej przyjemna wycieczka w porównaniu z tym, czego doświadczyli na Bałtyku. Wreszcie nie musieli się również przejmować małymi głębokościami.

Pierwszy stan gotowości ogłoszono w dwa dni po wypłynięciu. Wachtę pełnił akurat Tomasz, którego ręka wydobrzała już na

tyle, że mógł powrócić na okręt. Na mostku znajdowało się również dwóch wartowników oraz Marek, który niecierpliwie wyczekiwał końca wachty, wciąż spoglądając na zegarek. W kiosku czuwał Stefan, a w sterowni Jacek.

Sygnaliści bez ustanku wypatrywali jakichkolwiek oznak niebezpieczeństwa - wystającego peryskopu lub dymu na horyzoncie, wskazującego obecność jakiegoś statku. Często spoglądali również na niebo, czy nie nadlatują samoloty.

Nic. Czysto. Widoczna była tylko odległa linia horyzontu.

Nagle jeden z wartowników dostrzegł z przodu okrętu niepokojący kształt. Wszyscy obecni na pokładzie zwrócili w tę stronę swoje lornetki.

- To tylko mina - powiedzieli równocześnie.
- Musiała zerwać się z kotwicy podczas ostatniego sztormu

- orzekł Tomasz. - Dryfuje sobie teraz po morzu.

Nad tańczący na falach obiekt nadleciały dwie mewy i zatoczyły nad nim koło, ale nie zdecydowały się przysiąść na jednej z groźnie wyglądających anten, wystających z ładunku.

Tomasz doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że choć mina nie stanowi dla nich bezpośredniego zagrożenia, i że znajduje się dość daleko, to i tak muszą ją unieszkodliwić. Nie mogli pozwolić, aby dalej pływała, bo mógłby się na nią przypadkowo nadziać jakiś statek. Oficer poinformował kapitana o swoich zamiarach, po czym wezwał na pokład kilku marynarzy z karabinami. Wybrał takich, którzy uważani byli za świetnych strzelców. Wiedział, że mają małą szansę na trafienie w jedną z anten i spowodowanie eksplozji miny, mogli jednak naruszyć jej powłokę i w ten sposób zatopić. Sztuka ta udała się im dopiero po około piętnastu minutach.

- Dobrze, że nie odpowiedziała ogniem - ironizował oficer

- bo byśmy zatonęli.

Niedługo później Kamil, który dyżurował przy hydrofonie, poprosił o zmniejszenie prędkości okrętu. Tomasz rozkazał wyłączyć silniki. Wiedział, że to urządzenie pomiarowe korzysta z mikrofonów umieszczonych na kadłubie okrętu, które odbierają wibracje i przekazują je do wzmacniaczy. Potem analizuje się wykresy i można z nich wyczytać, czy do okrętu *zbliża* się jakaś inna jednostka. Jednak śruby napędowe przeszkadzają w pracy mikrofonów, więc czasem należy je spowolnić lub wyłączyć.

Kamil szybko obliczył, że odbierane właśnie wibracje nie mogą pochodzić od trawlerów, które widziano tu poprzedniego dnia. Musiała to być dużo większa jednostka.

Tomasz spojrział przez peryskop i oznajmił, że podniosła się mgła, z powodu której wcześniej się zanurzyli, i że widzi na horyzoncie spory liniowiec.

Bogdan spojrział przez okular i zauważył, że statek w żaden sposób się nie maskuje, więc może być neutralny. Rozkazał jednak na wszelki wypadek przygotować wyrzutnie torpedowe.

Zawyła syrena i rozpoczęła się gorączkowa bieganina; marynarze zostali tym samym sprowadzeni na ziemię po dłuższym odpoczywaniu - raptem zostali zmuszeni do przypomnienia sobie, co to znaczy prawdziwa praca.

- Dwa statki - powiedział nagle kapitan - jeden z nich to frachtowiec o wyporności 15 tysięcy ton, a drugi, mniejszy, to 3-tysięczny transportowiec. Znajdują się w dość znacznej odległości, ale zmierzają w naszym kierunku.

Tomasz pobiegł szybko do przedniego przedziału torpedowego i upewnił się, że wyrzutnie nie są zablokowane, a butle ze sprężonym powietrzem - naładowane, i że pompy hydrauliczne są sprawne. Starał się zachować spokój i opanowanie, ale czuł wielkie podniecenie. Miał nadzieję, że jego ukochane torpedy znów będą miały szansę zatopienia jakiegoś nieprzyjacielskiego okrętu.

Bogdan obliczył przybliżoną prędkość i kierunek większego ze statków. Wycelowano

przednie torpedy. W tym momencie wystąpił jednak pewien problem - okazało się, że wadliwie działa system zalewający wyrzutnie, w związku z czym nie mogli odpalić torped dziobowych. Niezrażony tym Bogdan polecił ustawić się rufą do celu. Przygotowano torpedy rufowe i zalano wyrzutnie, a trymy utrzymywały „Orła” w odpowiednim położeniu. Wszystko było gotowe.

Nagle cztery eksplozje wstrząsnęły okrętem, zgasło światło i wewnątrz pograżyło się w nieprzeniknionych ciemnościach. Wybuchy następowały jeden po drugim.

- Ster prawo na burtę - rozkazał kapitan - zanurzenie 40 metrów, cała naprzód, wypompować wodę z wyrzutni rufowych. To samolot zrzucający ładunki głębinowe.

Plan ataku na dwa nieznane statki musiał zostać na jakiś czas porzucony.

Ciszę przerywały jedynie detonacje kolejnych ładunków i huk zmaconej wody. Nagle Kamil zameldował, że zbliżają się do nich ścigacze. Atmosfera stała się nerwowa.

- Wyłączyć silniki - padło polecenie.

Instrumenty wychwyciły kolejny dziwny dźwięk - to zapewne samolot oznaczył boją ich położenie. Wciąż słychać było odgłos śrub napędowych.

Przygotowali się na długie oczekiwanie, toteż dowódca zwolnił z wachty część załogi. Nie potrzebowano w tym momencie aż tylu ludzi, więc trzymanie ich w pogotowiu nie miało sensu. Bogdan nakazał, aby ograniczyć ruch na okręcie do minimum. Polecił, żeby ci, którzy nie pracują, położyli się i pozostali na swych miejscach. Chodziło o to, aby okręt utrzymywał się wciąż na tej samej głębokości; przechodzenie z dziobu na rufę powodowałoby zachwianie jego równowagi.

Zapanowała cisza, więc ścigacze zapewne zatrzymały się. Na „Orle” musiało być całkowicie cicho, jeśli nie chcieli zdradzić swojej pozycji. Wydać ich mógł nawet szum pomp elektrycznych lub żyrokompasu, którego człowiek nie słyszał, ale mikrofon mógł wychwycić.

Okręty przeciwnika grały z nimi w kotka i myszkę. Co jakiś czas wyłączały silniki, próbując stworzyć wrażenie, że zrezygnowały z polowania i odpłynęły, żeby okręt podwodny wynurzył się, zwiedziony złudnym poczuciem bezpieczeństwa. Tymczasem przyczajały się na powierzchni i wypatrywały peryskopu.

Nad sektorem zanurzenia okrętu podwodnego latały samoloty przeciwnika, również wypatrując „Orła”. Zrzucały co jakiś czas ładunki głębinowe, ale zupełnie chaotycznie, tak że raz wybuchały całkiem blisko celu, a innym razem zupełnie daleko.

Doświadczenie nauczyło marynarzy, że podczas długiego pobytu pod wodą można się przyzwyczaić do wilgotności, smrodu i braku tlenu. O wiele trudniejsza dla tych ludzi jest świadomość, że w każdej chwili mogą stać się celem ataku. Wyczerpanie nerwowe narasta wtedy w zaskakującym tempie i w niedługim czasie staje się trudne do opanowania.

Nie minęło wiele czasu, kiedy zaczęto się martwić ilością wody przenikającą do środka okrętu przez rurę wydechową od diesla, której nie dało się szczelniej zaniknąć. Szybkość przecieku zależała od głębokości. Na 10 metrach zaledwie kapało, ale im głębiej, tym ciśnienie bardziej pchało wodę, która wlewała się coraz większym strumieniem. W normalnych warunkach po prostu by ją wypompowano, ale nie można włączyć żadnych urządzeń, kiedy przeciwnik nasłuchuje. Przekazywali więc znów wiadra z rufy na dziób, aby „Orzeł” odzyskał równowagę.

Warunki dodatkowo utrudniał fakt, że wyłączono klimatyzację. Powietrze gęstniało z minuty

na minutę. W końcu Bogdan zdecydował się wypłynąć na głębokość peryskopową, ale bez pomocy silników. Taka operacja trwa jednak dosyć długo, ponieważ całą pracę wykonują wtedy stery głębokościowe. Zabrało im to prawie dwie godziny i jeszcze bardziej pogorszyło sytuację załogi, ponieważ trzeba było wypuścić tlen ze zbiorników, aby odświeżyć powietrze. Taki zabieg powoduje bardzo nieprzyjemne uczucie suchości w płucach i gardle. Niektórzy nie znoszą tego bardziej od zatechłej atmosfery.

„Orzeł” wznosił się bardzo powoli, a napięcie sięgało zenitu. W końcu podniesiono peryskop i kapitan zlustrował błyskawicznie całą okolicę, przekonując się, że niebezpieczeństwo minęło. Włączono klimatyzację. Ustały rozmowy, odłożono na bok książki.

Bogdan obwieścił podkomendnym, że prąd zepchnął ich do fiordu, i że widzi wyraźnie nabrzeże portu.

- Zastanawiam się, jakim cudem zauważyli nas tak szybko - głośno myślał kapitan. - Co ujawniło naszą pozycję?

- Może coś się stało, kiedy nacelowywaliśmy przednie torpedy? - zasugerował Piotr.

- W każdym razie coś musiało mocno wzburzyć wodę na powierzchni w tym samym momencie, kiedy podnieśliśmy peryskop. Zwróciło to ich uwagę, a biały warkocz ciągnący się za peryskopem musiał nas zdradzić - zgodził się dowódca.

Okręt wynurzył się i wartownicy wyszli na mostek, czując się jednak niezbyt dobrze. Nagłe zmiany ciśnienia powietrza powodowały nieznośny ból głowy i uszu. Na szczęście po chwili wszystko wróciło do normy. Odpalono diesle i włączono żyro-kompas, musiały jednak upłynąć trzy lub cztery godziny, aby zaczął on wskazywać właściwy namiar; do tego czasu pozostało im tylko posługiwanie się zwykłym kompasem.

Po upływie około godziny odebrali komunikat radiowy, w którym podano, że zostali zatopieni. Niemcy ogłosili, że zniszczyli brytyjski okręt podwodny we fiordzie, w którym teraz znajdował się „Orzeł”.

Nagle na zamglonym horyzoncie pojawił się zarys niszczyciela; zbliżały się szybko również ścigacze. Okręt zmienił kurs, ale napastnicy również odpowiedzieli skrętem. „Orłowi” nie pozostało im nic innego, jak natychmiastowe zanurzenie.

Bogdan spędził uprzednio na mostku całą noc, ale teraz bez wahania zajął swój ów a pozycję przy peryskopie. Ponownie usłyszano eksplozje bomb głębinowych. Szli powoli naprzód, zanurzeni na głębokość 50 metrów. Kapitan rozkazał wyłączyć silniki.

Znów seria wybuchów wzburzyła wodę niedaleko nich. Wszystko zaczynało się od początku.

Sytuację przyjęto z westchnieniem rezygnacji. Bać się można tylko przez jakiś czas - później marynarze uczą się reagować ze stoickim spokojem na spadające na nich przeciwności losu.

Nieprzyjaciel nie oszczędzał ładunków; co chwila rozlegały się eksplozje. Niemcy najwyraźniej liczyli na łut szczęścia w polowaniu na zuchwałego przeciwnika.

Po dłuższej chwili znów zapadła cisza, ale jednostka pozostała zanurzona. W sektorze pojawiły się nowe ścigacze, które zmierzały w kierunku ich pozycji z taką pewnością, że członkowie załogi „Orła” byli prawie pewni, iż wróg dysponuje jakimś specjalnym urządzeniem do wykrywania okrętów podwodnych. Nadpłynęli nad cel, ale wypuszczone przez nich ładunki wybuchły zbyt płytko.

Skaliste wybrzeże fiordu wzmaga huk eksplozji. Wewnątrz okrętu słycać odgłosy śrub napędowych ścigaczy. Na domiar złego znów zaczyna cieknać woda. „Orzeł” trwa w bezruchu. Polscy marynarze zaczynają się denerwować - obawiają się, że bańka powietrza lub wyciek paliwa mogą zdradzić ich pozycję na powierzchni. Są w miarę bezpieczni na głębokości 50 metrów, ale myśl o potężnych masach wody znajdujących się nad nimi nie jest zbyt przyjemna. Przez głowy przelatują najróżniejsze myśli i modlitwy - ludzie zdają sobie sprawę, że kiedyś religia odgrywała ważną rolę w ich życiu.

- Łukasz, znasz jakąś modlitwę, która pomogłaby nam się stąd wydostać? - pyta Michał.

- Moglibyśmy odmówić „Pod Twoją obronę...”. Nie sądziłem jednak, że kiedykolwiek będziesz sobie zaprzętał głowę takimi rzeczami - odpowiada zapytany. - To śmieszne, że ludzie twoje go pokroju nigdy nie pomyślą o modlitwie, kiedy wszystko idzie po ich myśli. Bóg musi się teraz ironicznie uśmiechać, kiedy pa trzy na ciebie.

Ta przemowa sprawia, że wielu marynarzy zaczyna się nad sobą głębiej zastanawiać. Czy to prawda, że modlili się tylko wtedy, kiedy popadali w kłopoty?

Tadeusz niestrudzenie krążył po okręcie, dodając wszystkim otuchy.

- Nie mam pojęcia, jakim cudem masz zawsze taki dobry humor - powiedział mu przygnębiony Zygmunt.

- Po prostu jestem fatalistą- odparł uśmiechnięty Tadeusz. - Nie widzę powodu, dlaczego miałbym się martwić czymś, o czym nie wiadomo, czy się wydarzy. Zawsze przyjmuję, że wszystko będzie w porządku i nigdy nie poddaję tego w wątpliwość. Jeśli coś się jednak stanie, to przecież zniknę, więc nie będę mógł so bie powiedzieć „a nie mówiłem?” - roześmiał się wesoło.

Wokół znów rozległ się huk eksplozji, ale Tadeuszowi udało się tchnąć trochę nadziei w tych ludzi. Pogodzili się z tym, że nic już od nich nie *zależy*. Teraz wszystko w rękach Opatrzności.

Okrętem potężnie zatrzęsło, kiedy eksplodowała kolejna seria ładunków głębinowych. Wydawało im się, że moment detonacji został ustawiony na 90 metrów, i że każdy wybuch wypycha trochę „Orła” do góry. Nikt nie podjął rozmowy, ale atmosfera stała się trochę bardziej optymistyczna. Eksplozje przeszły odrobinę dalej i Bogdan postanowił, że zerkną, co dzieje się na powierzchni. Wokół nich zrobiło się pusto, a prąd zepchnął ich tym razem prawie do ujścia fiordu. Odpalono silniki pomocnicze, a na stole pojawiła się kolacja. To od razu poprawiło wszystkim nastrój. Znów zrobiło się gwarno, jednak na twarzach marynarzy można było dostrzec ślady wysiłku, jaki musieli podjąć w ostatnich dniach.

Jerzy zapragnął rozerwać trochę towarzyszy, więc opowiedział im, co robił podczas ataków.

- Siedziałem w kabinie radiowej przy hydrofonie. Ze sto perem w ręku oszacowałem, że ścigacze krążą wokół miejsca,

w którym nieprzyjaciel ustalił naszą przypuszczalną pozycję. Po pierwszym ataku, silnym i nieskoordynowanym, zaczęli spuszczać ładunki głębinowe pojedynczymi seriami. Atakujące jednostki zmieniały się co dziesięć minut, więc mogłem dosyć łatwo przewidzieć, z którego kierunku nadejdzie następne uderzenie. Chciałbym, żebyście przypomnieli sobie teraz moment, w którym przeciwnicy powrócili po raz drugi, te krytyczne dziesięć minut, kiedy jeden ze

ścigaczy znajdował się prawie idealnie nad nami. Zdjąłem wtedy słuchawki, przeżegnałem się i poleciłem swoją duszę Bogu. Czekałem, spoglądając na zegarek. Po minucie nieprzyjaciel zrzucił ładunek głębinowy. Minęły cztery minuty, nim usłyszałem eksplozję. Od tamtej pory zmienili strategię. Trzy statki spuszczały bomby co piętnaście minut. Dlaczego tak postępowali? Nie mam pojęcia. Może chcieli oszczędzać pociski. Jeśli tak - to posunięcie uratowało nam życie.

Nie przyjęto jego historii z należyтым entuzjazmem - być może dlatego, że prawie nikt nie słuchał.

Rozdział 11

Głównym zadaniem Piotra podczas postoju „Orla” w Rosyth było utrzymywanie kontaktu z kwaterą główną łodzi podwodnych - częściowo po to, by zrozumieć jak działały siły podwodne Królewskiej Marynarki Wojennej, ale również po to, by poznać oficerów z innych okrętów alianckich, zgrupowanych w tym rejonie.

W międzyczasie zaprzyjaźnił się z komandorem porucznikiem marynarki brytyjskiej Martinem Armstrongiem - tym oficerem, z którym głównie utrzymywał kontakt. Od samego początku dobrze się rozumieli; łączyło ich pokrewieństwo dusz - obaj byli oddanymi marynarzami, dobrymi oficerami, a przede wszystkim na sercu leżało im dobro załogi.

Po powrocie z ostatniego wspólnego patrolu Piotr został zaproszony przez Armstronga na przyjęcie w mesie oficerskiej w Rosyth. Przyjął je z ochotą, ponieważ pozwalało mu się poczuć częścią szerszej alianckiej społeczności - nie tylko oficerem na małym cudzoziemskim okręcie podwodnym - oraz mogło mu pomóc w nowej roli oficera kontaktowego.

Idąc w stronę budynku, w którym umówił się z Armstrongiem, nadal czuł się obco w innym kraju. Uczucie to nie opuściło go nawet po przyjacielskim powitaniu z brytyjskim oficerem.

- Cieszę się, że przyszedłeś - Armstrong powitał go uściskiem dłoni.

- Cieszę się, że mnie zaprosiłeś - odparł Piotr, rozglądając się wokół. - Przybyło tu sporo osób.

Zaskoczyła go nie tylko liczba zaproszonych, ale również to, jak wiele zjawilo się tu kobiet, zarówno w mundurach kobiecych oddziałów pomocniczych, jak i ubranych po cywilnemu. Oczywiście nie było nic dziwnego w obecności płci przeciwnej - każdy mógł przyprowadzić żonę lub dziewczynę - ale Piotr po raz pierwszy od wielu tygodni widział tyle kobiet na raz.

- Spotykamy się tak dwa, trzy razy do roku. To dobra oka zja, żeby poznać wiele osób bez służbowych formalności. No i sposobność, żeby pogadać o czymś innym niż wojna. Poza tym

mamy dzięki temu okazję poobracać się trochę w damskim towarzystwie.

Chciałbym cię komuś przedstawić - dodał, odwracając się w stronę niewielkiej grupki, stojącej za jego plecami. - Lekko dotknął pleców kobiety trzymającej kieliszek wina. Była średniego wzrostu, miała ciemne, elegancko upięte włosy. Ubrana była w krótką, czarną sukienkę, której blasku dodawała dobrze dobrana i niewątpliwie kosztowna biżuteria. Jej właścicielka odwróciła się do Armstronga i wtedy ujrzała Piotra.

- To jest... - zaczął Armstrong, lecz przerwał, gdy tylko zobaczył wyraz jej twarzy. Kobieta zrobiła się popielatoszara i upuściła kieliszek. Brzęk tłuczonego szkła przerwał szmer rozmów wypełniający pomieszczenie.

Piotr osłupiał. Pokój wokół niego zamienił się nagle w chaotyczny kalejdoskop świateł, twarzy, mebli i ludzi. Jego mózg bezskutecznie próbował odzyskać orientację. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Marta - wyszeptał tylko z niedowierzaniem. Wyglądała na równie zszokowaną i oniemiałą, co on.
- Piotr? - odpowiedziała niepewnym głosem.
- To wy się znacie? - zapytał zdziwiony Armstrong
- Tak, tak sądzę - odparł Piotr. - To moja żona.

Wszyscy troje patrzyli na siebie, nie wiedząc co powiedzieć. Piotr nie mógł oderwać wzroku od kobiety, która przed nim stała. Jego umysł przeskakiwał od wspomnienia do wspomnienia - otrzymany list, gniew, ból, nienawiść, a później coraz większa, obawa tego, co mogło jej się przydarzyć w okupowanej przez Niemców Polsce. Zmartwienia pogłębiały się wraz z napływającymi z kraju złymi wiadomościami. Pomimo tego, co zrobiła Piotr martwił się o nią do szaleństwa. Wyrzucił ją ze swego serca lecz nie mógł zapomnieć.

Marta wpatrywała się w niego, niezdolna wymówić słowa Cóż miałaby powiedzieć?

Armstrong czuł się zażenowany sceną, którą wywołał, i faktem, że wszyscy przyglądali im się z taką uwagą. Nie wiedział co ma o tym wszystkim myśleć. Próbował przypomnieć sobie, co Marta mówiła o swoim mężu i przeszłości oraz co on sam wtedy myślał.

Ona również walczyła ze wspomnieniami tego, co się stało. Gdzie był Piotr, kiedy poznała Armstronga? Co czuła przez cały ten czas? Dlaczego napisała do męża ten list? Co naprawdę czuła do Armstronga? I jak, do diabła, miała poradzić sobie teraz z tym wszystkim?

Brzęk kieliszka i naładowana emocjami cisza, jaka potem na nią stała, przyciągnęły zainteresowanie większości obecnych gości którzy śledzili scenę ze zło skrywanym zainteresowaniem.

- Sądzę, że powinniśmy wyjść i porozmawiać - powiedział łagodnie Armstrong, próbując w myślach znaleźć odpowiedni do tego miejsce. Jeden z jego przyjaciół, siedzący przy stoliku z trójką kolegów, dał znak, że zwalniają miejsca.

We troje podeszli do stolika, zaś reszta sali podjęła przerwanych rozmowy, co jakiś czas tylko spoglądając w ich stronę. Z pozór wszystko wróciło do normy.

- Nie wiem, co powiedzieć - rzekł Armstrong, gdy usiedli.
- Przydałyby się jakieś wyjaśnienia - powiedział Piotr, patrząc na Martę i starając się, by jego słowa nie brzmiały zbyt gorzko

Marta odwzajemniła spojrzenie; jej twarz nadal była blada i bez wyrazu. Otworzyła usta, ale nie mogła wydusić ani słowa.

- To może ja powiem, co wiem - powiedział Armstrong po jednawczo. - Marta i ja poznaliśmy się, kiedy byłem attache wojskowym w Warszawie. Wiedziałem, że jest zamężna, ale z tego co zrozumiałem, jej małżeństwo zakończyło się już, była w separacji. Wiedziałem, że jej mąż służy na morzu. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia, więc nie za wiele o nim myślałem - tu Armstrong spojrzął na Piotra. - Zaczęliśmy się spotykać i wkrótce nawiązaliśmy coś, co można nazwać romanssem. Kiedy wojna stała się nieunikniona, wezwano mnie do Londynu. Wiedziałem, że nie mogę zostawić Marty na pastwę losu. Powiedziałem przełożonym, że jest moją narzeczoną, i że zamierzamy się pobrać. W ambasadzie panował taki bałagan, że pozwolili nam jechać razem. Normalnie nie mógłbym tego zrobić, ale wtedy każdy myślał tylko o ucieczce z Polski. Wysłano mnie do resortu marynarki wojennej, ale poprosiłem o bardziej aktywne stanowisko. Znam pięć języków, więc trzy tygodnie temu przydzielono mnie tutaj jako oficera kontaktowego dla dowódców obcych jednostek, stacjonujących w tym porcie.

Piotr uśmiechnął się ironicznie. - Byłem dość zajęty, przygotowując się do wojny, więc dowiedziałem się, że nasze małżeństwo się rozpadło, dopiero wtedy, gdy otrzymałem list od Marty z prośbą o rozwód. Pisała, że ma kogoś innego - zwrócił się teraz do niej. - Byłem zaskoczony i zdruzgotany. To ostatnia rzecz, jakiej mógłbym się spodziewać i ostatnia, jakiej wtedy potrzebowałem. Kochałem cię przez tyle lat. Myślałem, że nasze małżeństwo jest bezpieczne.

- Przykro mi - wyszeptała Marta.

- Cała ta sytuacja ma swoje dobre strony - rzekł Armstrong wesoło, próbując rozładować napięcie. - Udało mi się wywieźć Martę z Polski - nie dokończył zdania, lecz wszyscy wiedzieli, jaka mogła być alternatywa. Żadne z nich nie mogło temu zaprzeczyć.

- To co z tym zrobimy? - zapytał Armstrong.

Piotr zamyślił się na chwilę

- Nic - powiedział stanowczo. - Nasze małżeństwo się skończyło. Nie ma sensu podważać faktów. Dajmy już sobie spokój. Marta może dostać swój rozwód, później ustalimy szczegóły. Niedługo wypływam, muszę się skupić teraz na czym innym. Jeśli chodzi o mnie, to by było na tyle.

Marta uśmiechnęła się z goryczą, bo pomyślała, że Piotr znów stawia marynarkę na pierwszym miejscu.

- Muszę przyznać, że jestem panu wdzięczny. Bardzo mi ulżyło, gdy zobaczyłem, że Marta jest bezpieczna. Nigdy bym sobie nie darował, gdyby coś jej się stało - dodał jeszcze.

- Przykro mi - powtórzyła Marta, nadal otepiała.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w swoje szklanki. Trudne było *znaleźć* jeszcze coś wartego powiedzenia. Piotr pograżył się w myślach. Pamiętał, jak bardzo martwił się o Martę w ciągu ostatnich kilku tygodni. Jednocześnie ją kochał i nienawidził. Próbował sobie wtedy wyobrazić, co mogło jej się stać, z kim się związała, dlaczego odeszła. Cieszył się teraz, że nic jej się nie stało, ale wciąż nie mógł wybaczyć jej bólu, który mu zadała i zniszczenia ich małżeństwa. Nie myślał o Armstrongu. Nie miał mu nic do powiedzenia, a tamten też nie wiedział co jeszcze powiedzieć w tej sytuacji. Niezależnie od tego, czy naprawdę chciał poślubić Martę, był to teraz jego własny problem.

- Chyba wrócę na okręt - powiedział w końcu. Z powrotem do świata, który znał i rozumiał.

Mężczyźni wstali i uścisnęli sobie dłonie. Piotr spojrzął na Martę, skinął jej głową i odszedł.

Kiedy Piotr wrócił na okręt, wachtę pełnił Tomasz, który go witał go radośnie. Piotr nie odpowiedział, tylko bez słowa wszedł pod pokład.

- Dziwny gość - pomyślał oficer.

Pod pokładem trwało wesołe przyjęcie w mesie oficerskiej. Piotr nie miał ochoty z nikim rozmawiać, pragnął tylko po ci-

chu przemknąć się do swojej kajuty, ale wpadł na Andrzeja, który akurat wychodził.

- Już wróciłeś? Udany wieczór?

- Nienajgorzszy - odparł Piotr - a co tu się dzieje? - wskazał głową gwarną mesę.

Jerzy urządza przyjęcie. Właśnie się dowiedział, że jego siostra jest w Ameryce. Jego ojciec zmarł wkrótce po tym jak wypłynęliśmy, a siostrę przeszmuglował do Szwecji jakiś daleki kuzyn. Pojechała do Maine, gdzie ma rodzinę, więc Jerzy się cieszy jak dziecko. A co u ciebie?

- Bardzo ciekawy wieczór - rzekł Piotr - dobranoc.

Odnalezienie żony w Rosythy i wieści o siostrze Jerzego w bezpiecznej Ameryce poprawiły mu nastrój. Jeśli im się udało wydostać z kraju, to może innym też? Może cuda się zdarzają? Takie myśli chodziły też po głowach innym, a szczególnie Bogdanowi, Andrzejowi, Tadeuszowi, Markowi i Brykowi. Lecz w głębi duszy wszyscy wiedzieli, że ucieczka kogokolwiek z ich bliskich jest mało prawdopodobna.

Franciszek, który miał wachtę na mostku, widział przez peryskop skaliste, pokryte śniegiem norweskie fiordy, odbijające się od szklistej powierzchni morza. Obraz przyjemnie rozmywał się w dali.

Podobieństwo pogody do tej zapamiętanej z Polski skierowało jego myśli w stronę ojczystego kraju. Opisywał to, co widzi przez peryskop, wzbudzając w towarzyszach różne refleksje. Jedni myśleli o polskiej zimie, inni już o tradycjach wiosennych, a jeszcze inni przypominali sobie swoje rodzinne wioski i miasteczka.

„Orzeł” otrzymał właśnie rozkaz patrolowania norweskich fiordów i kiedy podpłynął do brzegu, marynarze ujrzeli rozświetlone chatki i zagrody. Olśniewająco oświetlony liniowiec zmierzał właśnie w stronę portu; pewnie płynął do Bergen.

Franciszek zostawił Eryka przy peryskopie, każąc mu od czasu do czasu sprawdzać, co się dzieje. Obserwator miał dać znać, jeśli cokolwiek znajdzie się w polu widzenia. Po krótkiej chwili

zameldował, że widzi coś na kształt chmury dymu na horyzoncie

- To dym z komina - stwierdził Franciszek, rzuciwszy okiem
- Zdaje się, że to większy statek handlowy na kursie 90 stopni do „Orła”. Zawołaj kapitana.

Bogdan spojrział przez peryskop. Rozkazał natychmias zmniejszyć prędkość, tak by statek zbliżył się do nich.

- Statek płynie z południowego wschodu. Może być niemiecki
- ki - zameldował Franciszek, który ponownie przejął peryskop
- Wygląda trochę podejrzanie. Podpłynmy bliżej, żeby go obejrzeć.

Załoga miała nadzieję, że statek jest niemiecki i będą mógł go zaatakować, ale wciąż nie mogli dostrzec bandery. „Orzeł” wynurzył się, witając ciemny, pochmurny dzień; od brzegów Norwegii wiał zimny wiatr. Morze było lekko wzburzone, a fali wieńczyły białe bałwany, zdające się wzmagać chłód panując; w powietrzu.

Bogdan rozkazał ludziom zająć stanowiska, a Piotrowi polecił zorganizować niewielką grupę do abordażu. Jeśli okręt okaże się neutralny, będą musieli wejść na pokład i go przeszukać. Wezwą no Marcina i Tadeusza oraz sześciu innych uzbrojonych marynarzy, z których kilku posługiwało się obcymi językami. Chcieli zatrzymać statek i sprawdzić co przewozi.

- Pół naprzód, przygotować wyrzutnie dziobowe - rozkazał Bogdan, z oczami przyklejonymi do okularu. Cała załoga czekała w napięciu na kolejny ruch.

- Wygląda mi to na niemiecki statek... - zaczął Bogdan z oczyma utkwionymi w peryskopie - Chwila! - rzucił nagi - Widzę nazwę! R-I-O-D-E-J-A-N-E-I-R-O, to „Rio de Janeiro” - Próbowali zamalować nazwę portu macierzystego, ale i tak widać. Jest z Hamburga!

To cholerny Niemiec! - dodał, wydając rozkazy. - Przygotować się do wynurzenia! Napelnić zbiorniki balastowe powietrzem!

Załoga oszalała z entuzjazmu, gdy tylko zorientowała się, że nareszcie udało im się złapać niemiecki okręt. „Orzeł” wynurzył się, a grupa abordażowa przesunęła się w kierunku mostka, gotowa w każdej chwili do działania. Trochę się rozczarowali, widząc, że statek znajduje się o wiele dalej niż pokazywał peryskop.

Zygmunt nadał międzynarodowym kodem flagowym następujący komunikat: „Wyłączyć silniki. Dowódca z dokumentami ma natychmias stawić się na pokładzie okrętu podwodnego”.

Efekt sygnału okazał się dokładnie odwrotny od przewidywanego. Niemiecki statek zwiększył moc i obrócił się na sterburcie, tyłem do „Orła”, zaś dziobem do najbliższego portu i norweskich wód terytorialnych.

Bogdan natychmias rozkazał dać całą naprzód; „Orzeł”, płynąc z prędkością 20 węzłów na godzinę, był o wiele szybszy od swej przyszłej ofiary.

- Nie możemy nawet ich postraszyć, bo nie mamy tego cholernego działa. Dajcie im salwę z karabinu maszynowego!

- krzyknął Bogdan. Franciszek, podekscytowany swą pierwszą możliwością walki, wydał rozkaz załodze karabinu maszynowego i pierwsze pociski uderzyły w kadłub statku.

- Zatrzymują się, chyba spuszczaają szalupę - zameldował Piotr.

Na rozkaz Bogdana „Orzeł” zwrócił się dziobem do wrogiego statku, kierując w jego stronę wyrzutnie. Lufa działa również została wycelowana w niemiecki okręt, chociaż bez zamków, które wymontowali Estończycy, było ono bezużyteczne. Niemcy nie musieli tego wiedzieć.

Wszyscy na mostku skupili uwagę na niemieckiej załodze, która powoli ładowała się do szalup. Franciszek zaproponował, by ich pospieszyć kolejną serią z karabinu, ale Piotr uciął, że na to za wcześnie.

- Nigdy nie jest za wcześnie na strzelanie do Niemców - wybuchnął Franciszek.

- Nie zbliżają się do nas - powiedział Piotr - trzymają się na dystans i w oczywisty sposób nie zamierzają zwolnić.

Jeden z marynarzy stojących na „oku” krzyczy, że od strony norweskiego wybrzeża do niemieckiego statku zbliżają się dwa lugry.

Sławomir melduje, że z kodowanych wiadomości radiowych z niemieckiego statku wychwycił coś, co brzmi jak wezwanie sił powietrznych. Bogdan nakazuje nadanie Niemcom kolejnego sygnału:

Opuścić okręt natychmiast. Zapiąć minut odpalamy torpedę.

- Jest dla nich zbyt łagodny - mamrocze wojowniczy Eryk.

- Ja bym to cholerstwo od razu rozwalil. Bez ceregieli! - wszyscy wokół kiwają głowami.

Niemiecki statek bez żadnego znaku życia na pokładzie, prócz kilku żołnierzy podejmujących niespieszne próby ucieczki, nadal płynie w pewnej odległości od „Orła”.

Bogdan rozkazuje Tomaszowi, by przygotował wyrzutnie numer 1 i 2 i uzgadnia głębokość na 2 metry. Cel nie wydaje się głęboko zanurzony. Słychać cichy odgłos wody wpadającej do komór, po czym, jak zwykle, lekko przechyla się dziób. Kilka sekund później Tomasz melduje - torpedy gotowe.

Ponura cisza panuje wśród załogi pod pokładem. Słychać tylko monotonne chlupotanie wody, zwalniający do zera silnik i przyspieszone oddechy. Większość myśli o zemście. To ich pierwsza prawdziwa szansa, by odplacić Niemcom, by wreszcie Polacy mogli zadać cios.

Mijajądlugie jak lata minuty bezczynności. Nic się nie zmienia. W końcu Bogdan rzuca rozkaz - Wystrzelić pierwszą torpedę!

Zafascynowana załoga wpatruje się w torpedę, pędzącą prosto na niemiecki statek.

Słychać wstrząsającą eksplozję; słup ognia, pary i dymu wznosi się nad wrogim statkiem. Gęsta masa dymu staje się coraz większa, a fala uderzeniowa eksplozji bije w okręt podwodny, który kołysze się od wybuchu.

Nagle na pokładzie niemieckiego statku pojawia się masa ludzi.

- Skąd oni się wzięli? - wyrywa się Bogdanowi, gdy statek zapełnia się postaciami w szarych mundurach. Niemcy wydają się być ogarnięci paniką, rzucają na wodę jakieś drewniane elementy wyposażenia statku, wskazując w ślad za nimi. Wyraźnie widać ich strach.

Niemiecki okręt powoli przechyla się na sterburcie, a przyglądający się marynarze zaczynają

wiwatować na widok wielkiej dziury ziejącej w burcie między mostkiem, a kominem. Obłok dymu ciągle się zwiększa.

- Dlaczego jest ich aż tylu? - pyta zdumiony Tomasz - Nie mogą być przecież członkami załogi.

Poziom paniki na wrogim statku stał się zrozumiałą, gdy polscy marynarze ujrzeli, że większość szalup nadal wisi na wysięgnikach, zaś przeciwnicy masowo rzucają się w pław do wody.

- Maj ą na sobie mundury - krzyczy Eryk, patrzący przez lornetkę. - To cholerni żołnierze Wehrmachtu, całe setki!

Wszystkie lornetki skierowały się w stronę Niemców, w panice pokrywających pokład statku i wodę dookoła. Wyraźnie było widać, że to żołnierze i w dodatku niemieccy.

- Samolot od strony norweskiego wybrzeża - krzyknął ktoś na „oku”.

- Alarm zanurzeniowy! - zabrzmiał rozkaz Bogdana. - Wszyscy pod pokład! *Załoga* weszła do środka okrętu, wymieniając gratulacje i ciesząc się z sukcesu.

- Norweskie trawlerzy wyławiają rozbitków - zauważył Bogdan.

- Skoro to niemieckie wojsko, to powinni zostać w wodzie. Jak tylko obeschną, znów będą walczyć - skomentował zimno Eryk. Większość załogi zgodziła się, choć Łukasz był zdania, że nawet niemieccy żołnierze to istoty ludzkie. Eryk tylko parsknął w odpowiedzi.

- Jakoś nie zachowywali się jak ludzie, kiedy wdarli się do Polski, mordując kobiety i dzieci - uciał wściekły.

Najwięcej entuzjazmu przejawiała grupa torpedowa, dumna z faktu, że w pierwszej prawdziwej walce zatopiła niemiecki okręt. Ale statek nie tonął. Przechylił się tylko o 30 stopni i tak pozostał.

- Musieli zamknąć grodzie - zauważył Władysław. - Poza tym pomaga im pogoda. Morze jest spokojne.

Bogdan przyglądał się, jak trawlerzy powoli wyławiają ą rozbitków i odstawiają ich na uszkodzoną jednostkę. Były za daleko od brzegu, by móc ich wszystkich zabrać na ląd. Prawdopodobnie chciano założyć cumy i odholować wrak z rozbitkami na brzeg.

- Chyba musimy ich wykończyć jeszcze jedną torpedą - stwierdził Bogdan. - Skoro to niemieccy żołnierze, to pewnie biorą udział w inwazji. Jeśli to prawda, to lepiej pozbyć się tego statku razem z ładunkiem.

Załoga „Orła” z entuzjazmem przyjęła pomysł kolejnego ataku, widząc w nim szansę na pomszczenie polskich statków, w tyrr „Wichru” i „Gryfa”, które Niemcy zatopili w czasie napaści.

- Nie sędzę, że powinniśmy przerywać wyławianie rozbitków. Trawlerzy na pewno odpłyną, jeśli wystrzelimy kolejną torpedę. Poza tym wszyscy uratowani trafią z powrotem do morza. Przy tej temperaturze nie przetrwają ą nawet godziny - powiedzia

cicho Piotr.

- Ale jeśli nie zaatakujemy znów, większość trafi na brzeż i będzie mogła zabijać Norwegów. Zrobiją z Norwegią to, co zrobili z Polską- odpowiedział sucho Bogdan.

- Jeśli zrobimy tak jak każesz, nie będziemy w niczym od nich lepsi. Zabijemy bezbronnych ludzi. Skażemy ich na straszliwą śmierć - mówił dalej Piotr.

- Mój drogi Piotrze, jak możesz mówić, że będziemy gorsi od nich. Oni są najeźdźcami, atakującymi niewinnych ludzi. My tylko chcemy ich powstrzymać. To nie zabawa, to wojna. Nieste ty, albo ich zabijemy, albo sami zginiemy. To sprawa życia lub śmierci. Nie mam zamiaru zginąć, więc rozwalę ten statek. Może zabijemy kilkuset żołnierzy, ale na pewno ocalimy też kilka tysięcy Norwegów.

- Tak jest - odpowiedział Piotr. Nie zamierzał się kłócić z przełożonym, choć wiedział, że ten się myli. W końcu to mądry narka, a nie kółko dyskusyjne.

Tomasz czuł się zachwycony, że jego grupa znów była w akcji, i z niecierpliwością oczekiwał rozkazów kapitana. Druga torpeda została wystrzelona, a głośny huk świadczył o tym, że sięgnęła celu. Niemiecki okręt przełamał się na pół; najpierw zatonał dziób, a po nim wypełniona ludźmi rufa. Na rozkaz Bogdana Marek uwiecznił trafienie na fotografii.

Norweskie trawlerzy natychmiast zawróciły w stronę brzegu, zaprzestając zbierania rozbitków. I tak były już przepełnione.

Nastroje na „Orle” dopisywały. Nikt więcej nie zamierzał już pomagać Niemcom. Po niebie przeleciał samolot, ale nie zareagował na to, co się działo.

Piotr wiedział, że żołnierze ze statku nie mieli szans, by dopłynąć do brzegu, zwłaszcza że nie zdążyli opuścić szalup. Niektórzy mieli kamizelki ratunkowe, ale i tak zapewne nie udałoby się im przetrwać dłużej niż kilka godzin w lodowato zimnej wodzie. Piotr przeżegnał się w milczeniu.

Bogdan natychmiast nadał telegram do admiralicji, meldując o zatopieniu statku pełnego niemieckich żołnierzy, których obecność świadczyła o zbliżającej się inwazji na Norwegię. Podobna wiadomość została wysłana do rządu norweskiego. Po godzinie „Orzeł” zbliżył się do ciał unoszących się na powierzchni. Umundurowani niemieccy żołnierze. Inwazja.

Piotr i Franciszek zasugerowali wynurzenie i zabranie na pokład kilku ciał jako dowodu. Bogdan odparł, że skoro i tak są martwi, to nie ma sensu. Poza tym nie miał zamiaru narażać „Orła”, który, wynurzony, mógł stanowić łatwy cel.

Przez uniesiony peryskop widzieli, że ciała utrzymują się na powierzchni w kamizelkach, zbite w ciasną grupę. Niektórzy z rozbitków mogli wciąż żyć. Ale to wrogowie. Może nawet ci sami, którzy bezwzględnie napadli na Polskę. Żaden z członków załogi nie okazał współczucia, tylko Piotr i Franciszek pozostali niezadowoleni.

Nasłuchując tego wieczoru radia natknęli się na komunikat po norwesku, z którego wyłapali słowa „Rio de Janeiro”. Kilka minut później usłyszeli brytyjskie wiadomości, podające, że „dzisiaj w południe brytyjski okręt podwodny podczas wykonywania zadań patrolowych w pobliżu

Lillesand u południowego brzegu Norwegii storpedował i zatopił niemiecki statek towarowy, na pokładzie którego znajdowało się 400 żołnierzy i materiały wojenne".

Załoga zareagowała wybuchem radości. Rozgłośnia podała również, że tego samego dnia inny okręt podwodny zatopił czter-nastotonowy niemiecki tankowiec.

Tej nocy „Orzeł” otrzymał wiadomość ostrzegającą, że norweskie porty mają zamiar wyłączyć światła nawigacyjne w ramach całkowitego zaciemnienia kraju.

Czyżby nowa wojna?

Piotr pospiesznie sprawdził współrzędne trzech okolicznych latarni morskich, jeszcze zanim wygasły, a Bogdan postanowił kierować się na zachód, gdy tylko zapadnie całkowita ciemność. Po północy usłyszeli silniki kilku samolotów i zobaczyli odpala-

ne rakiety. Później dał się słyszeć ogień przeciwlotniczy i spadły pierwsze bomby. Widzieli też płonący wrak tankowca, zniszczonego wcześniej przez inny okręt podwodny. Znowu rozpoczęły się działania zbrojne.

„Orzeł” kontynuował patrol, a jego grupa torpedowa wciąż pławała się w chwale udanego ataku. Jednak gdy kadłubem wstrząsnęło echo eksplozji ładunku głębinowego, wraz z resztą załogi musieli szybko wrócić do wojennych realiów.

Bogdan omiół wzrokiem horyzont, zatrzymując się na chwilę w jednym punkcie.

- To chyba z samolotu - powiedział, komentując wybuch. - Ale w naszym kierunku płyną ścigacze. Pewnie zawiadomione z powietrza. Schodzimy na 50 metrów!

Rozpoczęło się to, co aż za dobrze znali z innych nalotów. Po chwili spadły następne ładunki głębinowe; okręt miotał się na wszystkie strony, rzucając siłą wybuchów. Pękało szkło, rury kipiały przeciekami, migotały światła. Bogdan rozkazał zejść na 80 metrów. Na pokładzie zrobiło się wilgotno, a atmosferę zmroziły nieprzyjemne wspomnienia strasznych chwil, które przeżywali na Bałtyku.

Ale tym razem było jednak inaczej. Wtedy, atakowani ze wszystkich stron, mogli tylko oczekiwać kolejnej eksplozji, nie wiedząc co robić, bez żadnej nadziei na przyszłość. Teraz wiedzieli, że jeśli przetrwają ten atak, będą bezpieczni w drodze do domu, że wystarczy tylko trochę szczęścia, a już niedługo ich okręt będzie wygodnie zacumowany w porcie.

Następna seria bomb głębinowych wybuchła bardzo blisko „Orła”.

Od hałasu pękały uszy, a ciągle drżenie okrętu rwało nerwy na strzępy. Nikt z załogi nie wpadł jednak w panikę; wszyscy raz jeszcze wzięli przykład z niewzruszonego kapitana.

W ciągu kolejnych dwóch godzin niemieckie jednostki zrzuciły jeszcze 50 bomb, nastawionych na różne głębokości. W wilgoci, przy prowizorycznym oświetleniu, załoga czekała w milczeniu wśród odłamków szkła i wszechobecnej wody.

Bartek wyglądał na przerażonego. Siedział sztywny, zbielełymi knykciami ściskając zawory.

- Martwisz się? - zapytał Tadeusz.

Marynarz powoli skinął głową, nie podnosząc jej.

- Myślisz o otwartych przestrzeniach?
- Myślę o tych cholernych zaworach głębinowych i o tym,

w którą stronę się przekręca- odparł Bartek ze wzrokiem utkwionym we wskaźnikach.

- Najgorsze już za nami - odparł spokojnie Tadeusz, - Nie długo znajdziemy się znów w porcie i będziemy mieć całą górę ważniejszych problemów. Trzeba będzie postanowić dokąd pójdziemy się upić, na co wydamy swój żołd, gdzie znajdziemy chętną dziewczynę. To poważne sprawy - położył dłoń na jego ramieniu. - Świetnie sobie radzisz - dodał.

Bartek nie bez ulgi zauważył, że Tadeusz zniknął. Mógł teraz całkowicie skoncentrować się na zaworach. Jednak poza tym pomyślał, że dobrze było usłyszeć, iż jakoś sobie radzi.

Kolejny atak. Cztery, pięć wybuchów. Dwa uderzają w burtę. Jeszcze więcej dzikiego kołysania, rzucania na boki, gulgotania i drżenia. Bogdan spokojnie obserwuje wskaźniki zanurzenia. Reszta załogi czeka w milczeniu, trzymając się wszystkiego, co daje jakiegokolwiek oparcie.

Kolejna seria wybuchów, tym razem jednak dalej. Po upływie dziesięciu minut następna, jeszcze dalej. A później już nic.

- Wynurzenie na głębokość peryskopową - rozkazał Bogdan po półgodzinie ciszy. - Peryskop w górę - szybko rozejrzał się dokoła.

Jesteśmy sami - stwierdził. - Wracajmy do bazy.

Po powrocie do Rosyth załoga „Orła” dowiedziała się, że przesłane przez nich ostrzeżenie przeszło bez echa.

Podczas wizyty w sztabie powiedziano Bogdanowi, że zatopiony przez niego statek płynął z Hamburga do Bergen z 400 żołnierzami niemieckiej piechoty i artylerią na pokładzie.

- To niesamowite - powiedział po powrocie swym oficerom. - Komendant miejscowej policji, gdy tylko uratowani Niemcy powiedzieli, co się wydarzyło, zadzwonił do sztabu norweskiej floty w Oslo. Miał pierwszy dowód potwierdzający niemiecką inwazję na Norwegię. Poradzono mu, by zwrócił się z tym do generała sztabu, lecz ten stwierdził, że nie ma czasu, by

przeczytać raport i się rozłączył. A wszystko to w sytuacji, gdy niemieckie przygotowania do inwazji były dobrze znane niektórym skandynawskim dyplomatom w Berlinie, a nawet ambasadom Norwegii w Kopenhadze i Berlinie. Trzeba jednak wiedzieć - kontynuował dowódca - że większość okrętów brytyjskiej floty obrony wybrzeża wysłano w cieśniny Morza Północnego i między Islandię a Grenlandię, by wypatrywały niemieckich jednostek, zmierzających na pomocny Atlantyk, bo tam właśnie Niemcy atakowali brytyjskie konwoje. Niemieckie operacje były tak skoordynowane, by rozpocząć inwazję równocześnie wzdłuż całego wybrzeża. Dlatego nawet gdyby Norwedzy poważnie przyjęli raport o niemieckich rozbitkach, i tak nie mogliby już nic zrobić, by powstrzymać atak - wyjaśniał z niedowierzaniem w głosie. - Jedyna korzyść z tego wszystkiego jest taka, że Londyn mógł ostrzec norweski rząd, dzięki czemu przeprowadzono mobilizację i zaciemnienie 8 kwietnia oraz zorganizowano ucieczkę norweskiej rodziny królewskiej. Na cokolwiek więcej było już za późno. Inwazja rozpoczęła się rankiem następnego dnia.

Załoga „Orła” powitała z ulgą powrót do Firth of Forth. Widok szkockiego wybrzeża, obecność wielu sojuszniczych statków i piękno okolicznego krajobrazu sprawiły, że marynarze poczuli się swojsko i bezpiecznie. Uczucie nadziei, wzmocnione wieściami o żonie Piotra i siostrze Jerzego, wywołało irracjonalny optymizm co do losu ich bliskich; optymizm ten jeszcze wzrósł, gdy Jan otrzymał wiadomość z polskiej ambasady w Londynie. Rozmówca prosił o pomoc w identyfikacji jeńca, którego schwytali Amerykanie.

- O co w tym wszystkim chodzi? - Jakub zadał pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta.

Jan był tak podekscytowany, że prawie nie mógł mówić, ale zdołał wyjaśnić tyle, że Amerykanie schwytali młodego Polaka ubranego w niemiecki mundur. Aresztowano go po tym, jak został znaleziony w amerykańskim samolocie, który przyleciał z Warszawy. Chłopak twierdził, że jest Polakiem, a jego brat służy w polskiej marynarce wojennej na okręcie podwodnym „Orzeł”. Opowiadał, że gdy przybyli Niemcy, został wcielony do Wehr-machtu i ze swą jednostką trafił do Warszawy. Tam z jednego posterunku przeniesiono go na inny, z którego udało mu się uciec. Trafił w końcu na lotnisko w pobliżu Warszawy. Dzięki panującemu tam zamieszaniu udało mu się dostać do ładowni samolotu, który wziął za brytyjski, a w rzeczywistości był amerykański. Samolot wkrótce wystartował. Chłopak o mało nie zamarł i prawie się udusił. Kiedy samolot wylądował w Northolt pod Londynem, był nieprzytomny. Natychmiast po wylądowaniu został aresztowany.

- Zapytali mnie, czy mam brata - opowiadał dalej Jan. - Ja na to, że mam dwóch. Zapytali o ich imiona, to mówię - Józef i Mi kołaj. Spytali, który jest starszy; odpowiedziałem że Józef, który ma prawie 18 lat. Kazali mi go opisać, więc powiedziałem, że ma metr siedemdziesiąt wzrostu, czarne włosy i niebieskie oczy. Za

pytali w końcu o znaki szczególne. Opisałem małe znamię, które ma na prawym udzie. W końcu wydawali się zadowoleni. Mówią, że w takim razie chłopak jest tym, za kogo się podawał - zakończył Jan, drżąc z podniecenia.

-1 co teraz? - spytał Michał, który wraz z małą grupką innych marynarzy skupionych wokół Jana słuchał z zapartym tchem.

- Przekazali go do polskiej ambasady. Tam mają zdecydować, co dalej z nim będzie. Mam nadzieję, że wyślą go do polskiej marynarki wojennej. Wtedy pewnie będzie stacjonował w Rosythy - rzekł Jan, zbyt uszczęśliwiony faktem, że jego brat jest bezpieczny, by przejmować się najbliższą przyszłością.

- Może przyślą go tutaj, na jeden z naszych statków. Albo pošlą go na zegarmistrza!

- To by było niezłe, ale on nie wie nic o zegarach. Tak jak i mnie strasznie go zawsze denerwowały - odparł Jan ze śmiechem.

Sławomir przysłuchiwał się tej pełnej emocji wymianie zdań, ale przy tym aż drżał z podniecenia, wezwano go bowiem na drugie badanie lekarskie. Przeszedł już jedno, pobieżne wraz z całą załogą, kiedy przybyli do Rosythy i zdołał się poskarżyć na swój problem z wagą. Nie może przytyć, czegokolwiek by nie jadł. Jak mówił lekarzowi, podejrzewa, że może chorować na jakąś przewlekłą wyniszczającą chorobę. Był uradowany, że wreszcie ktoś poważnie potraktował jego słowa, i oczekiwał teraz jakiegoś rozwiązania.

- Śmiejecie się ze mnie, od kiedy wam o tym powiedziałem, ale teraz już wiadomo, kto ma rację - triumfalnie oznajmiał każdemu, kto tylko zechciał go słuchać.

- Na miłość boską, zamknij się wreszcie! - bezduszenie rzekł Michał. - Słyszeliśmy to już tysiąc razy. Jak ty masz wyniszczającą chorobę, to ja chyba jestem w ciąży.

- Takie słuchy też chodzą - mruknął pod nosem Feliks.

Sławomir zniknął na pół godziny, a gdy wrócił, jego radość gdzieś znikła. Z twarzy biła mu bezbrzeżna rozpacz.

- Co się stało? - zapytał Marek, który na widok Sławomira nie mógł się powstrzymać od okazania współczucia.

- Cholerne nieuki - warknął Sławomir. - Co oni tam wiedzą.

-A czego nie wiedzą? - zapytał zdziwiony Michał - Co takie go ci powiedzieli?

- Jacy tam „oni” - odparł z jękiem w głosie. - Przyszedł tylko jeden. Lekarz bazy. Zapytał mnie, ile mam wzrostu, co było drugim pytaniem, bo przecież mnie mierzyli na pierwszym badaniu. W każdym razie mówię, że mam jakieś dwa metry i muszę się przez to ciągle schylać na okręcie. No, a ten mnie pyta, czy wiem, ile ważę, że tak się martwię. Powiedziałem, że ledwie 80 kilo,

a przy tym wzroście powinno być więcej.

- A co on na to? - zapytał Michał, nie mogąc powstrzymać rosnącego napięcia.

- Głupek jeden! Mówi, że tak naprawdę to ważę 95 kilo, co znaczy, że mam 10 kilo nadwagi i powinienem trochę schudnąć dla zdrowia. Wierzycie w to? Ja i nadwaga... - Sławomir wydał się wstrząśnięty.

- Wierzymy. Dlatego wołamy na ciebie „Grubas” - zaśmiał się Michał.

- Wołacie tak na mnie, bo to tak dla kawału. Dlatego do wysockich mówi się „mikrusie”, a do niskich „olbrzymie”.

- W takim razie powinniśmy nazywać cię geniuszem - podsumował Michał.

Sławomir odszedł niepokieszony.

Po prawie miesięcznym przebywaniu w zamkniętym pomieszczeniu Bogdan płał w luksusie swej własnej, stosunkowo obszernej kabiny. Niewiele widywał się na co dzień z załogą, bo wszyscy teraz codziennie uczęszczali na szkolenia lub mieli jakieś zajęcia w bazie. Tylko podczas cotygodniowych „obchodów”, czyli małych inspekcji, jakie przeprowadzał w kwaterze „Orla”, miał okazję spotkać się z załogą. Podczas jednego z tych obchodów *zaczepił* go Leszek.

- Czy mógłbym z panem porozmawiać? - zapytał z respektem należnym przełożonemu.

- Oczywiście - odparł Bogdan. - Masz jakiś problem?

- Niezupełnie, panie kapitanie. Wie pan, że kiedy przybyliśmy do bazy, lekarz obejrzał dłoń porucznika Tomasza i powiedział, że dobrze się spisałem, i że powinienem odbyć szkolenie medyczne.

Bogdan pokiwał głową.

- Aleja powiedziałem, że wolę zostać na „Orle” - kontynuował niedoszły medyk.

-Tak, to się chwali - rzekł kapitan. - Ale ja sam sądziłem wtedy, że powinieneś to jednak rozważyć.

- No właśnie, panie kapitanie. Zastanowiłem się lepiej nad tą sprawą i za pańskim pozwoleniem chciałbym zmienić swoją decyzję. Oczywiście jeśli nie jest za późno.

- Z całą pewnością nie jest za późno. Co cię do tego skłoniło?

- Obserwowałem porucznika Tomasza i wiele satysfakcji przyniosło mi patrzenie, jak niemal zupełnie normalnie posługuje się tą ręką. To był dla mnie znak, że zrobiłem coś potrzebnego innym. Pomaganie innym ludziom stało się dla mnie ważne.

- To dobrze - powiedział Bogdan, klepiąc młodzieńca po ramieniu. - Przekażę porucznikowi Piotrowi, żeby to zorganizował. Chciałbyś otrzymać przeniesienie zanim wypłyniemy, jak sądzę?

- Tak, panie kapitanie. Bardzo dziękuję.

Wychodząc od kapitana, szczęśliwy i spełniony, otrzymał jeszcze jeden powód do radości, tym razem od Kamila.

- Dokonałeś jakiegoś cudu z moim członkiem! - powiedział Kamil.

- Chcesz powiedzieć, że urósł do normalnej wielkości? Czy po prostu dziękujesz za to, że nie odpadł?

- Jest naprawdę o wiele lepiej. A to wszystko dzięki tobie. Byłem na badaniu u lekarza - powiedział, że wszystko jest w porządku. Ani śladu jakiegokolwiek choroby. To na pewno ten środek, w którym kazałeś go moczyć, tak podziałał. Co to było? Mówiłeś, że to jakiś tajemny rodzinny przepis.

- Ocet.

-Niemożliwe! Naprawdę?

- Naprawdę, zwykły ocet.

- Skąd wiedziałeś, że ocet pomoże?

- Nie wiedziałem. Po prostu nie miałem nic innego. Słyszałem, jak kiedyś mój ojciec pochlebnie wyrażał się o stosowaniu octu. Ale to chyba dotyczyło przyprawiania potraw. Najważniejsze, że podziałało.

- Z pewnością. Dziękuję.

- Nie ma za co.

Po raz pierwszy od wielu tygodni Leszek czuł, że życie *mi* smak.

Niemiecka inwazja na Norwegię trwała w najlepsze i krążyb pogłoski o tym, że niedługo „Orzeł” wróci na morze. Jedynym powodem zwłoki była tak długo oczekiwana wymiana głównego(działa).

Roztrząsanie sprawy powrotu na morze nasiliło się jeszcze bardziej po tym, jak w mesie marynarzy ogłoszono zebranie za logi.

- Kapitan ma zamiar ogłosić datę wypłynięcia - stwierdził Jakub.

- Nie bądź głupi - odrzekł Michał. - Nie ogłasza się daty wypłynięcia w czasie wojny. Wypływa się po cichu i bez rozgłosu.

- Na pewno przekaże nam jakieś nowe wiadomości z kraju - powiedział zniechęcony Feliks.

- Masz na myśli najnowsze wieści o twoim psie? - zakpił Michał.

- Nie, ty głąbie - odwarknął Feliks.

- A co ty o tym sądzisz? - Tomasz cicho zapytał Piotra.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Szef nic mi nie mówił, co samo w sobie jest niespotykane. Może faktycznie chodzi o wieści z kraju.

Bogdan już na samym początku przemowy uspokoił swoich ludzi.

- Wiecie, że jestem dumny ze swej załogi. Wasza odwaga, determinacja, zdecydowanie, hart ducha i spokój nie mają sobie równych w całej historii polskiej marynarki wojennej. Wszyscy dotychczas spisywaliście się nad wyraz dobrze. Naszą siłą był fakt, że jesteśmy zgraną drużyną. Każdy z nas może polegać na innych i każdy chętnie innym pomaga, niezależnie od stopnia i rangi. Ale, jak to się mówi, to co dobre szybko się kończy. Musimy przeprowadzić kilka zmian. Ze złych wiadomości mam taką, że pozostanę na stanowisku waszego dowódcy; zatwierdzono moją rangę (przez salę przeszedł szmer zadowolenia). Ale porucznik Piotr został awansowany do rangi kapitana i otrzyma pod dowództwo własny okręt, jeden z polskich niszczycieli (dało się słyszeć jeszcze więcej pomruków zadowolenia). Trzej kadeci, Eryk, Marek i Jarek, zostaną wysłani na inne okręty, by zdobyć doświadczenie (tym razem odezwały się tylko pojedyncze wiwaty, a trzech kadetów z niepewnymi minami spojrzło po sobie). Są też inne zasłużone awanse. Starszego bosmana sztabowego Artura przedstawiono do awansu na oficera. Pojedzie do ośrodka szkoleniowego Królewskiej Marynarki Wojennej na łudniowym wybrzeżu Anglii. Mat Marcin zostanie na „Orle” j starszy bosman sztabowy, a z kolei starszy marynarz Jakub dziś jest matem i również pozostanie na pokładzie „Orła”. Słyszysz geniusz medyczny, Leszek, uda się do szkoły medycznej Rc Navy w Portsmouth. Jeśli ktoś, kogo leczył, pragnie wnieść z siebie, zapraszam na koniec ogonka, ustawionego wzdłuż muru; Bogdan odczytał przydziały jeszcze trzynastu członków z jego, głównie starszych stopniem. Jedynym wymienionym szeregowym marynarzem był Bartek.

- Marynarz Bartek pracował szczególnie ciężko w przebiegu ostatnich tygodni. Miał on poważne problemy z lękiem przed zamkniętą przestrzenią. Choroba ta nazywa się klaustrofobią - tego co wiem, nikomu o tym nie powiedział.

Bartek był przerażony wyjaśnieniami kapitana. Sądził, że prócz Tadeusza o tym nie wie.

- Powierzone zadania wykonywał wzorowo - kontynuował Bogdan. - Ale uważamy, że jeszcze skuteczniej będzie pracować na łodzi lub na większej jednostce nawodnej.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Bartka, ale wyrażając jedynie sympatię i uznanie. On jednak tego nie dostrzegając; za potany, pochylił głowę.

- Wszyscy, którzy otrzymali przydziały, wyruszą za dwa tygodnie. Przykro mi, że się rozstajemy, ale życzę wam powodzenia i nadzieję, że dane będzie nam się spotkać po zwycięskiej wojnie:

Odprawa zakończyła się we wrzawie rozmów i spekulacji. Odchodzący doznawali mieszanych uczuć. „Orzeł” był ich memem, a załoga rodziną. Mieli teraz iść w nieznaną stronę, do obcego kraju, żyć z ludźmi, których nie znali. Przyszłość: wolała się być tak niepewna!

Wstrząśnięty i zaskoczony - te dwa przymiotniki najlepiej oddają reakcję Piotra i kadetów na nominację. Choć żadne słowo nie padło na ten temat, Piotr wiedział, że powinien podziękować za

awans Bogdanowi. Nie spodziewał się go, bo wiedział, jak ważne jest, by nie rozdzielać zgranych załóg łodzi podwodnych. Ale kiedy pierwszy szok minął, Piotr pozwolił sobie na uczucie dumy. Dowodzenie własnym statkiem, i to w dodatku niszczycielem, było czymś, z czego naprawdę mógł być dumny. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że będzie w stanie wykonywać tę pracę. Miał od kogo się uczyć, poza tym opracował już kilka własnych pomysłów.

Z pewnością miał za sobą zadziwiające sześć miesięcy. Stracił żonę, przyłączył się do wojny, wziął udział w ekscytującej ucieczce z Tallina i z akwenu Morza Bałtyckiego, przyplłynął do Anglii i odzyskał wolność; odnalazł żonę, by znów ją stracić, zatopił niemiecki transportowiec i wykrył niemiecką inwazję na Norwegię. Co jeszcze miało go spotkać?

Reakcje trzech kadetów były mieszane. Wszyscy odczuwali smutek z powodu zbliżającego się opuszczenia „Orla”, ale jednocześnie z niecierpliwością wypatrywali nieznanej przyszłości. Eryk i Marek żalowali, że zostaną rozdzieleni, ale obaj wiedzieli, że musiało to w końcu nastąpić. Jarek denerwował się najbardziej. *Zawsze* brakowało mu pewności siebie, cechującej pozostałych kadetów, ale potrafił przecież znaleźć własne miejsce na okręcie podwodnym, odpowiadające w pełni jego kwalifikacjom i możliwościom. Dobrze mu się pracowało z głównym sygnalistą Zygmuntem, od którego wiele się nauczył. Teraz jednak czekał na niego nowy świat, nowi ludzie, nowe sytuacje. Czuł przerażenie; miał jeszcze wątpliwą nadzieję, że uda mu się pozostać na „Orle”, chociaż wiedział, że jako kadet tak naprawdę nie ma wyboru.

Najbardziej dumny ze wszystkich był Artur, którego sen o awansie nareszcie się spełniał. Będzie musiał zdać egzaminy, a zazwyczaj wołał działać niż myśleć. Ale nauczył się, bo tak postanowił.

Nikt nie był bardziej zdziwiony swoim awansem od mai Marcina, który nagle został bosmanem. Sądził, że odbicie dzieł czyny przełożonego i bójka na zawsze zakończyły jego marzeń; o wyższym stopniu. Może uzyskał go dzięki temu, co zrobił d: Tomasza, a w ocenie kapitana - dla całej załogi. Z zamyśleń: wyrwał go właśnie Tomasz.

- Gratuluję. Zasłużyłeś sobie na to - rzekł, poklepując go przyjacielsko po plecach. - Pewnie sądzisz, że to z powodu tęgi co zrobiłeś dla mnie i dla statku, ale mylisz się. Swoją awans z wdzięczasz przede wszystkim temu, że jesteś dobrym marynierzem, znasz się na swojej pracy i na ludziach.

- Dziękuję ci - Marcin nie mógł powiedzieć nic więcej. Pierwszy raz w życiu czuł się zakłopotany.

Tadeusz podszedł do Bartka i odprowadził go w kąt sali.

- Nie masz się czego wstydzic - powiedział cicho. - Zdaniem większości byłeś najodważniejszym członkiem całej załogi. My nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jak niewiele dzieliło nas od śmierci przez ostatnich kilka tygodni. Ty jednak wiedziałeś. Mimo przerażenia bezbłędnie wykonywałeś swoje obowiązki. Jestem z ciebie naprawdę dumny i ty sam powinien być dumny z siebie.

- Święta racja - rzekł Tomasz, który zbliżył się do nich i usłyszał słowa Tadeusza. - To jest zdanie nas wszystkich.

Bartek miał łzy w oczach. Jedyne, co zdołał powiedzieć, ciche „dziękuję”.

Jakub uznał swój awans za żart. On miałby być matem? O chyba poszaleli.

- Jesteś mi krewny miesięczny żołąd - przeszkodził mu IV chał.

- A to z jakiej racji? - oburzył się Jakub.

- Założyłem się z tobą o miesięczny żołąd, że cię awansuj jeśli kiedykolwiek dotrzemy do Anglii.

- Akurat - uciął Jakub. - Kiedy?

- Gdy mijaliśmy Bornholm, tuż po tym, jak wysadziliśmy Estończyków. Nie ma sensu się kłócić. Mam świadków - odparł Michał, wskazując głową Feliksa, Bartka i Kamila, którzy potwierdzili jego słowa milczącym skinieniem głów.

- Jesteście bandą kłamliwych drani! - powiedział Jakub z rosnącym niedowierzaniem. - Nawet nie pamiętam rozmowy na ten temat. Poza tym ty się nie zakładasz. Nie postawiłbyś grosza na to, że twoja matka jest kobietą. Podły z ciebie typ. Ale i tak nie masz dowodu.

- Chyba mam kartkę ze spisana umową - powiedział Feliks, grzebiąc w kieszeniach.

Jakub zaczynał się martwić. Próbował ze wszystkich sił przypomnieć sobie, czy wśród wszystkich zakładów, jakie zawarł z załogą, znalazł się i taki. Feliks nadal szukał czegoś w kieszeni, podczas gdy reszta obserwowała scenę z poważnymi minami. Jednak koledzy nie zdołali ukryć uśmiechów, które wkrótce zamieniły się w rechot. Inni również zaczęli się śmiać.

- Może w przyszłości będziesz bardziej uważał na to, z kim i o co się zakładasz - wykrztusił Michał, nieomal tarzając się ze śmiechu.

- Parszywe dranie! - wrzasnął Jakub i przyłączył się do po wszechnej wesołości.

* *

Po odprawie wśród załogi „Orła” zapanowała dziwna atmosfera. Ci, którzy jeszcze pamiętali lata szkolne, mogli porównać obecną sytuację do ostatnich dni roku szkolnego. Odchodzący byli pełni zapału, zaś ci, którzy zostawali, chcieli już mieć te wszystkie zmiany za sobą i spokojnie wrócić na morze, do znanej sobie, rutynowej rzeczywistości.

Wszyscy zgadzali się co do trafności awansów. Jakub oczywiście padł ofiarą wielu niewybrednych dowcipów, na które odpowiadał żartobliwie, wcielając w życie swe nowe uprawnienia - nakazując Feliksowi przestać gadać o swoim psie i posprzątać w szafce, Michałowi przestać przeklinać, a Kamilowi zmienić podejście do życia. Wszyscy trzej kazali mu się wypchać.

Jerzy dostał 48-godzinną przepustkę na spotkanie z siostrami; Leszek od razu wyjechał do szpitala Royal Navy koło Port: mouth, a Artur otrzymał bilet kolejowy do Ośrodka Kształcenia Oficerów w Hove na południowym wybrzeżu.

Ostatni dzień przed wypłynięciem upłynął na pakowaniu i pożegnaniach.

Kto tylko mógł, korzystał z wolnego czasu na lądzie. Mar narze robili ostatnie zakupy;

owoców suszonych, świeżych i puszkach - nigdy dość. Kupowano chleb i papierosy, choć pal mogli tylko w przedziale silnika, gdy okręt był na powierzchni ale wtedy kołysanie skutecznie zniechęcało do dymka. W porcie większość paliła dwa-trzy razy więcej. Brali też na pokład kawa ki papieru do pisania i pakowania jedzenia. Większość dobytku została jednak na brzegu - albumy, stare listy i pamiątki.

Niepewność skończyła się nagle, gdy ogłoszono, że przepuski kończą się o 20.00 tego wieczora, a nazajutrz rano „Orzeł” n wypłynąć. Wiadomość przyjęto z ulgą.

O 5.30 rano okręt odbił od brzegu i pod bezchmurnym niebem, w świetle księżyca, odbijającego się w falach niespokojnego morza, wyszedł z Form of Form.

- Dobrze znów być na morzu - powiedział Tomasz, ofic wachtowny, do stojącego obok kapitana.

- Nareszcie - odpowiedział Bogdan z radością. - Nie mogłem już wytrzymać tych wszystkich formalności i codziennego życia w bazie. Zobaczmy, co ma dla nas przyszłość.

Epilog

Cisza.

Całkowita cisza.

Tak intensywna, że ciarki przechodzą po plecach. Tylko oddechy ludzi zebranych w pokoju radiotelegrafisty, coraz szybsze w miarę jak cisza gęstnieje, świadczą o obecności życia.

Pięć trupio bladych twarzy wpatruje się w głośnik wbudowany w czarną skrzynkę radia. Czekają na jakikolwiek znak życia. Jednak pudło uparcie milczy.

- Spróbuj jeszcze raz - słychać rozkazujący głos.

Radiotelegrafista ponownie nadał sygnał wywoławczy „Orła”, a po trzydziestu sekundach powtórzył go jeszcze raz.

Nic.

Piotr, który właśnie finalizował w kwaterze głównej bazy przejęcie pod komendę własnego niszczyciela, został wezwany do kabiny radiotelegrafisty. Jego przyjaciel z Royal Navy, Arm-strong, już tam czekał. Twarz Anglika była ciemna i poważna.

- Obawiam się, że nie mam dobrych wieści. Zdaje się, że „Orzeł” zaginął. Straciliśmy z nim kontakt, nie odpowiada na wezwania.

- Może mają problemy z radiem - odpowiedział Piotr z nadzieją. - Nie możemy tego wykluczyć.

- Możliwe, ale muszę ci coś powiedzieć. Niemieckie radio podało komunikat o zatopieniu brytyjskiego okrętu podwodnego w okolicy, w której powinien znajdować się „Orzeł”.

Piotr poczuł, jak jego ciało lodowacieje. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Już dawniej zdarzało mu się słyszeć złe wieści,

lecz niezależnie od tego, jak były poważne, zawsze miał w głębi duszy poczucie, że wszystko będzie dobrze, i ostatecznie tak to kończyło. Jednak tym razem nie czuł swojego dawnego optymizmu.

Próbował wmówić sobie nadzieję, lecz jego serce potwierdziło wszystkie najgorsze obawy.

- Gdzie się znajdowali? - zapytał Armstronga.

- Gdzieś koło Bergen, u wybrzeży Norwegii. Natknęli się niemiecki konwój w drodze do portu. Niemiecki raport, który słyszeliśmy, podawał, że właśnie tam zatopiono okręt podwodny. Nie mówili, w jaki sposób miało to się stać - czy to bombami głębinowymi, czy bombardowania z samolotu, czy podwodna miny.

- Armstrong westchnął bezradnie.

- Więc nie ma wątpliwości?

- Obawiam się, że nie.

Piotr z rozpaczą spojrzął na radiostację. Snuł nieśmiało przypuszczenia, co mogło jeszcze się wydarzyć innego. To przecież naprawdę mogły być kłopoty z łącznością! Gdy radio nie działa, nie można porozumieć się w żaden inny sposób. Kilka razy zdarzało się, że załoga okrętu, który rzekomo zaginął, w końcu się meldowała, komunikując, że oprócz kłopotów z łącznością wszystko było w porządku. Ale co z tym niemieckim okrętem? No cóż, od czasu do czasu podają fikcyjne trafienie „Orzeł” został „zatopiony”, gdy uciekali z Tallina przez Bałtyk i jeszcze raz jakiś czas później. Więc może wszystko będzie w porządku?

Lecz nic nie było w porządku i Piotr dobrze o tym wie*.

„Orzeł” przepadł i wszyscy na jego pokładzie zginęli. Jak to się mogło stać? Czy to mina, czy ładunek głębinowy, który zniszczył okręt wraz z całą załogą jednym wybuchem? Czy „Orzeł” został trafiony i leży na dnie, z częścią załogi wciąż zostającą przy życiu?

Piotr miał nadzieję, że stało się to pierwsze. Alternatywa brzmiała zbyt potwornie, by ją rozważać. Wiedział, że jeśli

byłoby to najgorsze, jego dobry przyjaciel Bogdan, gdyby żył, próbowałby zachować spokój. Pomagałby mu zawsze radosny Tadeusz. Ale czy musieliby uspokajać ludzi? Załoga „Orła” na pewno nie wpadłaby w panikę. To do nich zupełnie nie pasowało. Byliby opanowani i zamyśleni. Jakub zapewne zacząłby od nowej rozmowy o śmierci, chyba że do tego czasu znalazłby odpowiedź na swe wątpliwości. Z pewnością zacząłby pisać książkę, stawiając na to, że uda im się uciec. Michał jak zwykle narzekałby na wszystko, nie mówiąc ani słowa poważnie, byłby silny i opanowany jak inni. Feliks martwiłby się, kto zaopiekuje się jego psem. Tomasz i Marcin z pewnością umacnialiby swą nowo odkrytą przyjaźń, zgodni co do tego, że ich wcześniejsze kłótnie stanowiły stratę czasu. Jerzy żałowałby, że nie mógł pożegnać się z siostrą, i martwiłby się, że teraz zostanie całkiem sama.

Piotr pomyślał o swym długoletnim przyjacielu Franciszku, dawnym nauczycielu, i o ich wspólnych wspomnieniach. Nie wiedział, jak on zareagowałby w obliczu nadchodzącej śmierci, lecz z pewnością nie wpadłby w panikę. Woląłby dawać innym przykład. Łukasz modliłby się jak oszalały, wierząc, że wkrótce spotka się ze Stwórcą. Robert i Ryszard poważnie rozważaliby możliwe drogi ocalenia, wiedząc doskonale, że nic to nie da słuchającym, prócz złudnej nadziei.

Przypomniawszy sobie słabo skrywane podniecenie Marcina i Jakuba otrzymanymi awansami. Zastanawiał się teraz, jak trzej kadeci - wesoły Eryk, poważny Marek i nerwowy Jarek - a także Artur i Leszek, zareagują na zasłyszane wieści. Podobnie jak on, teraz zapewne poczują rozpacz i strach pomieszane z poczuciem winy, że nie byli z resztą załogi, kiedy to się stało.

Pomyślał o wszystkich trudnościach, jakim razem stawiali czoła, o przeprawie przez pole minowe, ucieczce z Tallina, niemieckich atakach ładunkami głębinowymi, przedarciu się przez Sund i zatopieniu „Rio de Janeiro”. I na co to wszystko? I dlaczego, dlaczego właśnie jemu miało się udać przeżyć?

Osamotniony Piotr spoglądał na swych kolegów, którzy nie zumieli jego rozpacz, lecz nie mogli mu pomóc w żaden sposób. Powinienem wyjść, pomyślał, i oszczędzić im zażenowani oczyścić swój umysł.

- Idę się przejść - rzucił i wyszedł na dwór. Był ciemny, pochmurny dzień. Dzięki Bogu, nie świeci słońce, pomyślał.

Odpowiedzią na jego problemy wydawał się spacer w stror stoczni, choć przywoływało to tyle wspomnień niedawnej przeszłości. Chciał iść się napić do jednego z barów, lecz z pewnością spotkałby tam kogoś znajomego, kto będzie oczekiwał rozmowy.

Szedł więc w stronę bramy, gdzie jego uwagę przyciągnęły dwie kobiety, pogrążone w rozmowie nad kartką papieru. Zdecydowanie nie wyglądały na te, które widuje się w bramach. Dobre i z gustem ubrane, atrakcyjne. Piotr zauważył, że obie mają czarne włosy i nie noszą makijażu.

- Przepraszam - powiedziała wyższa z dam, podchodząc do niego. - Może mógłby nam pan pomóc? - usłyszał, że mówi z obcym akcentem.

- Postaram się - odpowiedział uprzejmie, niezadowolony, zakłócono jego samotność.

- Szukamy polskiego okrętu podwodnego „Orzeł” - Piotr poczuł, jak przechodzą go ciarki. - Słyszałyśmy, że tutaj stacjonuje. Mój mąż jest tam pierwszym oficerem, a mąż tej pani, Andrzej, oficerem na tym okręcie.

Pierwszą reakcją Piotra było niedowierzanie - sądził, że to jest jakaś mistyfikacja. Przecież to on był pierwszym oficerem „Orła”. Gubił się w myślach, próbując zrozumieć, o co chodzi. Znowu nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Wpatrywał się w kobiety, całkowicie zdumionego reakcją. Po chwili zaczął powoli rozumieć. Niemożliwe! To byłoby zbyt straszne i zbyt nieprawdopodobne!

- Nie mogliśmy wydostać się z Polski, aż w końcu pomogła nam pewna wspaniała organizacja ratująca Żydów - wyjaśniała kobieta. - Pierwsze dwa dni tutaj spędziłyśmy w Londynie. Tam, w polskiej ambasadzie, powiedziano nam, że powinniśmy spróbować w Rosji. Mówili, że „Orzeł” tu stacjonuje.

Piotr spojrzawszy na obie kobiety, nie wiedząc co powiedzieć i jak powiedzieć to, co musi. W końcu wyjąkał odpowiedź. - Aleksandra? - zapytał niepewnie.

- Tak - odpowiedziała zdziwiona - tak mam na imię. Jestem

żoną Bogdana. Czy pan go zna? - zapytała.

- Bogdan był kapitanem „Orła”, a Andrzej jednym z oficerów na tym okręcie - odpowiedział po polsku.

- Pan jest Polakiem? - spytała z niedowierzaniem.

A potem dodała: - Był?

- Tak - odparł Piotr cicho. - Powinniśmy usiąść i porozmawiać.